

Maciej Żytowiecki



Mój prywatny

DEMON

Spis treści

[Karta redakcyjna](#)

[Rozdział I – Całe mnóstwo martwych ludzi](#)

[Rozdział II – Powrót do służby](#)

[Rozdział III – Piękny dzień i piękne panie](#)

[Rozdział IV – Ciemna noc](#)

[ROZDZIAŁ V – Powroty](#)

[ROZDZIAŁ VI – Supeł](#)

[ROZDZIAŁ VII – W młynie](#)

[ROZDZIAŁ VIII – Końce i początki](#)

[Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje](#)

MACIEJ ŻYTOWIECKI
MÓJ PRYWATNY DEMON

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2013
Redakcja Joanna Śłużyńska
Korekta Maciej Śłużyński
Redakcja techniczna zespół RW2010
Copyright © Maciej Żytowiecki 2013
Okładka Copyright © Maciej Kaźmierczak
Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2013
e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-038-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała to książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010
Dział handlowy: marketing@rw2010.pl
Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Rozdział I – Całe mnóstwo martwych ludzi

Miejsce wyrwane z koszmarów. Miękkie od wilgoci ściany to jego trzewia, a nadgniłe ciało leżące przede mną to jego niestrawiony posiłek.

Podłoga porusza się w rytm kroków ciężkich policyjnych butów. Pokój pulsuje, jakby oddychał, a jego smrodliwe tchnienie wdiera mi się w nozdrza, pomimo rozsmarowanej nad wargą nafty, i wywołuje zawrót głowy.

Ekipa kończy zabezpieczanie śladów. Zwijają się jak w ukropie, nie mogąc doczekać chwili, kiedy będą mogli wyjść na świeże powietrze. Jakiś krawężnik potrąca mnie niby przypadkiem, burcząc coś pod nosem. Łapię go za rękaw i przyciągam blisko, jak do pocałunku. Patrzy wściekle, dopóki nasze spojrzenia się nie skrzyżują. Wtedy spuszcza wzrok. Szarpie, próbując się wyrwać, ale bez przekonania. Nagle jest spocony, nagle przestraszony... Biedny frajer. Może nienawidzić mnie jak reszta, ale nic nie poradzi na to, że znowu jestem w siodle. Znowu pracuję i ja tutaj rządzę.

– Przepraszam, szefie – duka w końcu, podnosząc głowę. Szukam w jego oczach szczerości, ale nic nie mogę wyczytać z tych małych, czarnych punkcików wielkości główki od szpilki. Mam ochotę zdzielić go przez łeb jak rozkapryszzonego brzdąca.

– Do roboty, a nie plątać mi się tu – cedzę przez zęby.

Odpycham gnoja na bok i nie poświęcam mu więcej uwagi.

Kolejny zawrót głowy i...

Czuję ten dreszcz na plecach. Symptomy są aż nazbyt znajome. On zaczyna się budzić. Chce wyślizgnąć się spod ciepłego koca ciała i metalicznym głosem wydawać rozkazy. Podryguje niespokojnie w moich

bebechach, aż czuję, jak wszystko w środku się przewraca. Moje nogi miękną, jak gdyby zrobiono je z waty, pot występuje grubymi kroplami na czoło.

– Nie, nie teraz! – warczę.

Na miękkich nogach idę w kierunku okna. Jeden facet z ekipy jajogłowych patrzy na mnie z ukosa, zastanawiając się pewnie, czy ma mi zwrócić uwagę, bym niczego nie zdeptał. Zastyga ze zmiotką w jednej ręce i torebką w drugiej. Mruga zza grubych denek okularów rzęsami wielkimi jak zęby grzebienia. Wygląda głupio. Wzrusza w końcu ramionami, myśli: „Po co mi to?” – i opuszcza głowę.

Dopadam do parapetu. Łapię okiennice. Jak wszystko w tym gnijącym domu, tak i one stawiają opór. To mieszkanie nie chce gości. Chce powoli, do spółki ze szczurami, karaluchami i innym robactwem, trawić trupa. Wciągać go w siebie jak opary opium. Nie w smak mu, że przyszliśmy.

Przekłęte okno. Zamknięte na amen i nawet nie drgnie, a ten popapraniec, który siedzi w mojej głowie, miota się coraz gwałtowniej. Wrażliwiec, nienawidzi zapachu ludzi, a co dopiero smrodu ich nadgniłych zwłok.

Chyba odstawiam niezłe widowisko? Nie muszę się odwracać, i tak wiem, że prawie każdy się na mnie gapi. Ezra wymiękł na stare lata. Po cholere przywracali do pracy tego pierdziela? Pijacka menda, przez którą każdy mundurowy wygląda źle, skaza na błyszczącej odznace policji naszego miasta. I bez niego ludzie na nas pluli, wypominając, że gliniarzom wolno wszystko. Najlepiej niech wyskoczy przez okno i oszczędzi nam widoku swojej parszywej gęby.

Przestaję oddychać nosem. Haustami łapczywie połykam powietrze, starając się być obojętnym na odór. Szarpię i szarpię, jakby moje życie zależało od otwarcia tego okna. Mam gdzieś, czy patrzą, czy gadają. Niech patrzą, niech mówią, byle tylko On się nie rozbudził.

Trach! Słyszę, jak coś pęka. Okiennica szybuje do góry. Powiew zimnego powietrza migiem przegania cały syf i za chwilę jest tylko zimny letni wieczór, woń miasta, olejów i benzyny.

Wdycham to wszystko zachłannie, bo to perfumy mojego miasta.

Nerwowo szukam po kieszeniach paczki samosiejki od Cyganów. Wyciągam z niej jednego skręta i zapalam srebrną zapalniczką, którą dostałem kiedyś od ojca. Dym koi płuca, nerwy i diabły. Przy drugim papierosie jestem całkiem spokojny. Wypuszczam dym, który jak mgiełka unosi się nad zarzuconym nocną płachtą miastem. Oglądam ten cały show kolorowych świateł i wsłuchuję się w kakofonię uwięzionych w ulicach samochodów, Fordów T i Taunusów, Pięćsetek i innych, których z wysokości nie rozpoznaję. Tłumy ludzi na chodnikach gnają jak mrówki w korytarzach mrowiska; każdy skupiony, żeby przeć naprzód w tej żywej rzece.

Lustruję okna pobliskich budynków. Te rozświetlone i te ciemne. Tam mieszkańcy miasta śpią, ufając, że ochronimy ich przed zbrodnią. Nie wiedzą nic. Nie mają pojęcia, jak wygląda prawdziwy świat... I lepiej, żeby tak zostało.

– Cholera. – Poznaję auto, które parkuje pod blokiem. Doskonale wiem, kto zaraz z niego wysiadzie.

– Ezra, musisz pogadać z jednym z sąsiadów – z zamyślenia wyrывa mnie głos Pollocka.

Dobry, stary Pollock. Mój partner. Jedyne człowiek, którego mógłbym nazwać przyjacielem, jeśli kiedyś zdobyłbym się na tak patetyczne określenie łączącej nas więzi.

– Pollock, podejdź – rzucam przez ramię.

Wskazuję na zaparkowany pod drzwiami pojazd. Zdążył akurat, żeby zobaczyć zgrabną nogę opiętą błyszczącym nylonem, a zaraz później charakterystyczny, łaciaty kapeluszek dziennikarki.

– Jakim cudem dowiedziała się tak szybko? – pytam. Nie odpowiada. – Mamy w ekipie szczura.

Pstrykam niedopałkiem na zewnątrz, a on frunie jak skarłała kometa sypiąca z ogona iskrami, aż rozbija się na masce samochodu. Kobieta patrzy w górę, a my odruchowo cofamy się do środka.

– Dalej masz niezłe oko. – Pollock szczyrzy zęby.

– Celowałem w kapelusz.

We dwóch idziemy przez pokój, mijając nadgniętego trupa leżącego pośrodku czarnej plamy rozpuszczonej skóry. Bezzębna szczęka zdaje się uśmiechać do nas, ale ogromne martwe oczy nie błyszczą radością. Są puste jak źrenice każdego trupa, jakiego widziałem. Wszyscy po śmierci widzą nicość.

Pollock staje w drzwiach. Robi znak krzyża. Jest bardzo wierzący, naprawdę dobry z niego człowiek, modelowy policjant. Kto wie, może zostanie kiedyś politykiem, burmistrzem albo prokuratorem generalnym i wreszcie zaprowadzi tutaj porządek. Wystarczy spojrzeć na przystojną twarz i lśniące włosy. Pewnie za dwadzieścia lat przyprószą się siwizną na skroniach, dodając powagi i czyniąc go atrakcyjnym dla żeńskich wyborców w prawie każdym wieku. Natomiast perfekcyjny przebieg służby uczyni z niego bohatera, którego poprą faceci. Ideał, prawdziwy diament, gdyby nie jedna skaza... Ja.

Kiedy mnie zawiesili, powinien się cieszyć, że nie ściągnę go w dół jak kotwica przyczepiona do szyi, tymczasem pomógł mi wrócić do służby. Biedny frajer.

– Kolejna pracująca dziewczyna – oznajmia z przejęciem. – Siódma.

Kiwam w milczeniu głową, a on wskazuje na bezzębną szczękę trupa. To jak podpis.

– Ta – przytakuję. – Nasz człowiek nie zwalnia tempa.

– Kiedy go dorwę... – syczy Pollock. Nie umie ukryć, jak bardzo mu zależy.

– Co zrobisz? – wchodzę mu w słowo. – Powiem ci: odczytasz prawa, zaobrączkujesz i dopilnujesz, żeby włos mu z głowy nie spadł, zanim nie

dojedzie na posterunek. A później przypilnujesz, żeby chłopcy nie za bardzo go wytarmosili podczas przesłuchań. Groźby w twoich ustach brzmią cokolwiek śmiesznie, partnerze. Zbyt porządny z ciebie facet na taką robotę.

– Spasuj, Ezra.

– Zajmij się lepiej tą rudą cizią, która już pędzi po schodach, gotowa zasypać nas pytaniami.

– A mundurowi przy wejściu do budynku?

– Mają rozum cegły, a ona jest cwana. Pewnie dawno ich wykiwała. Potrzebuję tam kogoś, kto da radę oczarować tę sunię, Pollock.

– W porządku. – Wzdycha. To zabawne, jak za każdym razem broni się przed rozmową z atrakcyjną kobietą. Zupełnie jakby złota obrączka na palcu zakazywała mu nawet tego.

– Ezra... – zaczyna, kiedy wychodzimy na korytarz.

– Ta?

– Zajrzyj do gościa spod szesnastki. Utrzymuje, że widział kogoś... Sam nie wiem, czy mu wierzyć, ty zdecydujesz. Może dowiesz się czegoś więcej. – Macha eleganckim notatnikiem obłożonym miękką kozią skórą. Mój, który leży teraz w kieszeni, zamknięty jest w tekturkach.

– Spróbuję.

– I, Ezra...

– Ta?

– Nie denerwuj się, kiedy będziesz z nim rozmawiał. Dość specyficzne z tego dziadka indywidualium.

Wzruszam ramionami i każdy idzie w swoją stronę. Pollock wkrótce znika za zakrętem prowadzącym na schody. Ja zatrzymuję się jeszcze na chwilę przy wejściu do mieszkania i spoglądam ostatni raz na bezzębne zwłoki dziwki.

– Na pewno masz lepiej niż ja – kwituję.

Idę korytarzem. Pasiaste tapety przypominają mokry sweter. Kropelki formują się na nich i ściekają ciurkiem, jakby ktoś za ścianą odkręcił kran. Ściągam wysłużoną Fedorę, przejeżdżam palcami po włosach i strzepuję z dłoni pot. Dlaczego tu jest tak cholernie gorąco, kiedy na dworze chłodna letnia noc?

Liczę numery na drzwiach. Lampy przymocowane do ścian pomrują ostrzegawczo raz za razem. Czuję, jak pod marynarką cały się lepnię, a ciężki Colt 45 wraz z kaburą przykleja się do boku.

Większość mieszkań jest opuszczona. Te wynajmowane na piętrze mogę policzyć na palcach jednej ręki. I dobrze. Zawsze mniej ludzi do przesłuchania, a przy sprawie o takim profilu nie stać nas na błędy. Myślę, że trzeba będzie też sprawdzić okoliczne budynki, nadać ogłoszenia do gazet i radia, a później zweryfikować każde najdurniejsze doniesienie. To oznacza kolejne nadgodziny, nieprzespane noce i całą masę rzeczy, o których wolę nie myśleć.

Wszystko na mojej głowie, czarnej owcy policji, która teraz powraca do służby w glorii bohatera. Fakt, może i mam najwięcej doświadczenia w takich sprawach, ale doskonale wiem, dlaczego szef ryzykuje posłanie starego Ezry tam, gdzie niucha prasa i gdzie, jak królika z kapelusza, ktoś może wyciągnąć sprawę Emmy Tallin...

– Policja! – Grzmocę pięścią w drzwi, aż te stękają z bólu.

Otwiera staruszek w okularach. Reszkę włosów, jaka mu pozostała, pieczołowicie zaczesał na łysinę, ale bezlitosne światło dodaje czaszce połysku, niwecząc cały trud. Uśmiecham się pod nosem.

– Patrzy pan na moją głowę? – pyta.

– Nie. Wcale nie.

Mruczy pod nosem, ale zaprasza do środka. Mieszka wśród starych mebli, koców i półek uginających się od książek, opatulony zapachem lekarstw i rycyny.

Wskazuje na jeden z foteli wyłożony słomkową narzutą. Sam zajmuje identyczny naprzeciwko, spleta pokrzywione palce i przygląda mi się z uwagą.

– To była dziwka – zaczyna.

– Słucham?

– Ta spod jedenastki – uściśla. – Wezwiecie kogoś do tego smrodu?

– Odpowiednie służby zostaną powiadomione. – Wyciągam postrzępiony notes i ołówek. Kartki trzymają się na słowo honoru, więc przewracam je ostrożnie, omijając rysunki i notatki z poprzednich zabójstw oraz spraw, które zamknąłem jeszcze przed powrotem do policji. Mam wrażenie, że kajet czekał na mnie przez cały ten czas.

– Imię i nazwisko?

– Moje? – Kiwam głową. Co za głupie pytanie. – Zachary Berkowitz, lat osiemdziesiąt, emeryt, kawaler. Pana kolega już wszystko zanotował.

– Jestem tu po to, żeby upewnić się, czy czegoś nie przegapił. Znał pan denatkę?

– Jak każdy porządny obywatel tylko z widzenia. – Robi minę, jakby właśnie zjadł coś niesmacznego, a teraz zastanawia się, czy wypada to wypluć przy gościu. – Była kurwą.

– Proszę uważać na język, rozmawia pan z funkcjonariuszem.

– Jakbyście sami uważali na słowa. – Klepie otwartą dłonią w udo i skrzeczy jak wrona. To chyba śmiech.

– Możemy dokończyć rozmowę na komisariacie, pana wybór. – Nie lubię go. Tańczy na granicy. Jeden fałszywy krok, a pozna moją mniej przyjemną stronę. Czuję, że coś z nim jest nie tak; gdyby nie fakt, że porusza się z trudem, a jego powykręcane artretyzmem palce wyglądają, jakby ktoś przepuścił je przez młynek do kawy, wylądowałyby na liście podejrzanych. Zresztą gdybym opierał się na moich przecuciach, lista podejrzanych pękałaby w szwach. Taka profesja ofiar – tanie dziwki nie mieszkają w pięciogwiazdkowych hotelach, a ich sąsiedzi i znajomi to nie anioły.

Mógłbym przyskrzynić każdego z nich i pewnie zrobiłbym przysługę społeczeństwu.

– Skąd te nerwy, panie detektywie? Proszę nie targać starego człowieka na komisariat tylko dlatego, że używa takiego języka, do jakiego przywykł.

– Proszę się powstrzymać od przekleństw. – Zakreśliłam w notatniku słowa „stary pierdziel”, a potem dopisuję kilka kolejnych epitetów. – Czy w ostatnim czasie widział pan coś podejrzanego?

– W jakim czasie?

Podnoszę głowę znad kajetu. Przyglądam mu się tak długo, aż odwraca wzrok i zaczyna się interesować półką z książkami. Poprawia nerwowo okulary.

– Dużo pan czyta – zmieniam temat.

– A co może robić emeryt? Nie lubię radia. Nie mam pieniędzy na kino. Grałbym w brydża, ale nikt mnie nie lubi.

Wstaję z fotela. Przeciagam się, aż słyszę i czuję bolesne stęknięcie kręgosłupa. Ostatnie dni dały mi popalić. Próbuje sobie przypomnieć, jak to jest spać we własnym łóżku, a nie na krześle, w samochodzie albo, w najlepszym wypadku, na kanapie w komisariacie, i nie potrafię. Zabawne, że teraz zaczynam myśleć ciepło o pracy prywatnego detektywa. O tamtych czasach, kiedy sam sobie byłem szefem. Być może jeszcze do tego wrócę, jeśli dotrwam do wcześniejszej emerytury. Na razie wypada cieszyć się ze stałego zajęcia, bo wielu nie ma choćby tego. To nic zabawnego, gdy całe dni i tygodnie czeka się na kolejne zlecenie...

Przyglądam się tytułom, ale nic mi nie mówią.

– *Mein Kampf*? – pytam. – To po niemiecku.

– Adolfa Hitlera. Mam również wydanie po angielsku, z tego roku, w tłumaczeniu Vincenta. Chętnie pożyczę – odpowiada prędko.

– Nie interesuję się polityką. Ma pan rodzinę? – Wskazuję na niewyraźną, oprawioną w ramki fotografię. Stoi pośrodku małego stolika, w centralnym punkcie niczym święty kielich na ołtarzu. – Pana syn?

Na zdjęciu ogolony na rekruta osiłek sympatycznie szczerzy białe zęby, zaś mój rozmówca w swej czarno-białej wersji jest równie paskudny jak w rzeczywistości.

– Bratanek – wyjaśnia z niespodziewaną czułością, a później milknie na dłuższą chwilę.

– Na razie nie ma pewności co do czasu zgonu. Panująca w budynku wysoka wilgotność znacznie przyspieszyła proces rozkładu, jednak koroner przypuszcza, że zginęła nie dalej jak kilkanaście dni wcześniej – szybko wracam do tematu. – Czy w tym okresie widział pan kogoś podejrzanego?

– Tak. – Kiwa głową i zaraz dopowiada, że nie wychodzi zbyt często, chociaż wcale o to nie pytałem.

– No więc? Kto to był? – poganiam starca.

Patrzę na zegarek. Jest środek nocy i wiem, że po tym wszystkim tutaj, czeka mnie jeszcze komisariat. Jeśli dobrze pójdzie, skończę do szóstej...

– Widziałem przez judasza, jak po korytarzu kręcił się jakiś negroid. Wielki jak szafa, prawdziwy muł pociągowy. Zdatny do roboty.

Spoglądam na biblioteczkę starego, a potem na niego.

– Uważa pan, że ten człowiek mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią Sabiny Braunbaum? – Dopisuję jeszcze kilka komentarzy przy zwrocie „stary pierdziel”, przy czym ten pierwszy jest najgrzeczniejszy.

– Jak dla mnie to więcej niż pewne – przytakuje gorąco. – Dupodajka pewnie i czarnemu dałaby się z chęcią nadziać na rożen, taka z niej bladź. No, a negroid jak to półzwierz, jeśli nie zaprzęgniesz takiego do roboty, nie ma co zrobić z energią, więc do wszystkiego zdolny.

Wstaję z fotela.

– Gdzie jest łazienka?

Trochę zdziwiony wskazuje palcem na drzwi.

Wchodzę do środka. Odkręcam wodę w umywalce. Przypominam sobie o kapeluszu, więc odwieszam go na hak obok ręcznika, a potem nachylam się pod mosiężny kran. Kryształowy chłód ścieka po włosach, lepiąc je

do czaszki. Stoję tak długo, aż nie mogę więcej wytrzymać. Dopiero wtedy podnoszę głowę i widzę własne odbicie w lustrze. Zmęczoną, poskładaną przez lekarzy mordę, do której bym się nie przyznawał, gdybym miał jakiś wybór. Spojrzenie moje i spojrzenie odbicia spotykają się, i nie podoba nam się to, co widzimy.

Dlaczego ta przeklęta rzecz mnie wybrała?

Uderzam czołem w lustro. Szkło zamienia się w pajęczą sieć pęknięć, ale przynajmniej nie muszę już siebie oglądać. Kilka kropel krwi leniwie ścieka na brew, ginie w niej, a potem spływa do oka. Mrugam, a potem przemywam skaleczenie wodą. Sięgam do kieszeni płaszcza i wyciągam plastry, które stale przy sobie noszę. Odgryzam kawałek i najlepiej jak umiem, zalepiam świeżą ranę na czole. Naciągam kapelusz.

Wychodząc, zabieram jeszcze solidny kawał szarego mydła z umywalki.

Stary spogląda zdziwiony. Chce zaprotestować, ale coś we mnie, coś w moich oczach każe mu zamknąć jadaczkę. Sadzam faceta w fotelu. Nachylam się, odciągam mu szczękę w dół i pakuję do gęby kawał mydła. Później zaciskam, żeby sobie dobrze zagryzł.

– Odezwiemy się w sprawie rysopisu tego mężczyzny – rzucam na odchodnym. – I w razie dodatkowych pytań.

Kolejny kwadrans zajmuje mi rozdysponowanie zadań pomiędzy ludźmi. Przyglądam się ich twarzom, równie zmęczonym jak moja, i prawie mi żal, że zostali przydzieleni do tej kabały. Chociaż i tak mają szczęście. Zakończą pracę na zabezpieczeniu dowodów oraz zebraniu zeznań, a my z Pollockiem będziemy jeszcze musieli posklejać to wszystko do kupy.

Mundurowemu, który wpadł na mnie niby przypadkiem, zostawiam nadzór nad całym tym bajzlem i wychodzę. Idąc schodami w dół, wsłuchuję się w stękanie zmęczonego drewna oraz głosy ludzi przenikające cienkimi ścianami na korytarz. Są jak ścieżka dźwiękowa tego szpetnego budynku. Hałasy mieszają się jak na karuzeli. Przytłumione, beznamietne głosy z puszek. Pędzą wokół, wciskają się uszami do głowy i dudnią echem.

Muszę być bardzo zmęczony, bo dopiero po dłuższej chwili rozumiem, co się dzieje. Tak szybko? Dopiero cię uspokoiłem, a ty już wracasz i naparzasz w ten swój blaszany bębenek?

– *Zwierzęciu-człowieku* – mlaszcze tym piekielnym głosem przypominającym zgrzyt metalu, aż zaciskam zęby, ledwie powstrzymując je przed stukaniem. – *Mięsie-tłuszczu-posoko. Mój Przyjacielu. Mój Ezro.*

– Zawrzyj gębę – mamroczę.

– *Tkanko-rozkładzie. Dlaczego nie chcesz mnie słuchać?*

Drżącymi dłońmi próbuję sięgnąć po papierosy. Nie mogę znaleźć kieszeni, chociaż na pewno jest tam, gdzie zawsze. Palce płaczą się w połach płaszcza. Nie czuję, czego dotykam, jakbym zamiast rąk miał drewniane protezy. Wszędzie wokół zalegają czarne cienie, tańcząc wściekłe tango do rytmu mrugających lamp elektrycznych. Tracę równowagę. W ostatniej chwili łapię poręcz, ratując się przed upadkiem. Ściskam ją jak przerażone dziecko matkę i siadam.

– *Zrób, czego od ciebie wymagam* – naciska.

Każde jego słowo powoduje ból. Paczka cygańskich samosiejek wysuwa się z palców, prześlizguje pomiędzy prętami trzymającymi poręcz i spada, niknąc w mroku. Czarna paszcza połyka ją i pozostaję sam z moim wrogiem.

Odgłosy kroków gdzieś na górze. Nie mogę pozwolić, żeby ktoś mnie zobaczył w takim stanie. Wiem, co by sobie pomyśleli. Wciąż jestem na cenzurowanym i plotki, że wróciłem do picia, to ostatnie, czego potrzebuję.

Ignoruję jego napastliwą obecność. Kiedy opieram się jego poleceniom, traci cierpliwość – i z każdym dniem jest coraz bardziej agresywny. Wiem, że tylko opóźnię nieuniknione. Muszę zacząć z nim współpracować, choć nie mam pojęcia, co w ostatecznym rozrachunku będzie to dla mnie oznaczać. Dla mnie, dla miasta, kraju, a może i dla wszystkich ludzi na planecie. Jestem ślepcem w ciemnym pokoju. Nikt nie może mnie poprowadzić.

Zaciskam dłonie na poręczy, aż słyszę trzask protestujących kostek palców. Jednym, mocnym ruchem podciągam się do pozycji stojącej. Prawie wypadam za barierkę, ale łapię równowagę i powolnym, ale pewnym krokiem schodzę w dół.

– *Ja nie odejdę – sący do ucha. – Jesteś mój, przyjacielu-sługo. Ezra-zwierzę. Trkt. Ezra-robak.*

Nad głową wybucha żarówka, zasypując moją ulubioną Fedorę deszczem iskier i szkła. Odruchowo stawiam kołnierz płaszcza i otrzepuję się jak mokry pies. Czaszkę rozsadza ciśnienie. Mam wrażenie, że cały ten cholerny dom zaraz siądzie mi na barki.

– Dość – syczę. – Daj mi spokój.

– *Jesteś mój, jesteś moim domem, Ezra. Miałeś być tylko garniturem, który przywdziewałem przed przebudzeniem, ale zostałeś czymś więcej. Nie cieszysz się?*

– Tańczę z radości. – Spluwam.

Ślina jest czerwona.

Myślę, ile jeszcze zostało tych schodów. Podnoszę głowę, rozglądam się, ale nie widzę dalej niż na kilka metrów, jakby ktoś powlekł wszystko ciemną mgłą.

– *Dzisiaj jest ta noc, mój psie. Krrrkt. Dzisiaj głowa wyjawia nam swoje sekrety.*

Lampy rozjaśniają się. Płoną oślepiającym światłem niczym reflektory w jakimś efekciarskim finale teatralnego przedstawienia. Są jak małe słońca. Zasłaniam dłonią oczy, ale promienie przenikają przez skórę, aż widzę zarys kości palców powleczonych różowym ciałem.

– *Dzisiaj, Ezra-człowieku. Dzisiaj.*

W końcu kiwam głową. Zgadzam się. Wiem, że nie mam wyboru. Żarówki eksplodują, pogrążając klatkę schodową w całkowitej ciemności. I jedyne, co słyszę, to mój oddech.

Na dworze chłodna letnia noc. Łykam powietrze jak odratowany topielec, dziś już kolejny raz. Wreszcie zapalam papierosa z mojej paczki, którą znalazłem u podnóża schodów. Leżała na podłodze wśród ciemności, oznaczona światłem ulicznych latarni jak mazakiem.

Otrzeputuję płaszcz z resztek szkła i brudu, czyszczę spodnie na kolanach. Zdejmuję kapelusz i zrywam z czoła zakrwawiony plaster, żeby zastąpić go nowym.

Miasto patrzy na mnie zimnymi oczyma. Przemawia jazgotem, wiecznie żywe i wiecznie spragnione. Jesteś mój, wydaje się mówić. Oddychasz mną, a ja tobą. We mnie przyszedłeś na świat, we mnie odejdiesz, kiedy nadejdzie czas.

Ale ja nie należę już do miasta. Teraz należę do Niego.

Dzisiaj upływa pół roku od dnia, kiedy wróciłem do pracy. Tyle samo brakuje mi do emerytury. To szczególny dzień.

– Panie detektywie! – Ruda dziennikarka wyrywa się Pollockowi i biegnie, wymachując notatnikiem. Krok za nią drepcze jej fotograf, śmieszny facecik z wąsikami, którego nazwiska nie potrafię zapamiętać. – Panie detektywie!

Obskakują mnie jak psy. Ona pyta, a on pstryka aparatem, wypalając mi magnezją oczy. Zasłaniam twarz dłonią, łapię za rękaw nadbiegającego Pollocka i wciągam go do służbowego auta. Ruda patrzy z wyrzutem. Jest zawiedziona. Znowu była pierwsza, ale niczego nie uzyskała, więc będzie musiała oprzeć artykuł na domniemaniach i swoich, bądź okolicznych żuli, ponurych fantazjach. Powodzenia, dziecińko. Niech ci pióro lekkim będzie.

Pollock odpala silnik i wycofujemy się z parkingu, zostawiając budynek mundurowym oraz dziennikarzom, którzy wkrótce pojawią się większą gromadą, obsiadając dom jak muchy zwłoki.

Widzę jeszcze, jak ruda biegnie do drzwi gmachu, gdzie zostanie zatrzymana przez moich ludzi, jeśli nie będzie dość wygadana. A potem w szyby uderza deszcz i cały świat poza kabiną się rozmazuje. Wycieraczka

bezskutecznie odgarnia wodę, chociaż pracuje na pełnych obrotach. Równie dobrze mogłoby jej nie być.

Prawie na ślepo włączamy się do ruchu.

– Powinieneś zostać i pogadać z prasą – Pollock odzywa się po dłuższym czasie.

Tacy jak on zawsze służą dobrą radą. Dzięki popaprańcom mojego pokroju wykuwają sobie schody do katolickiego nieba. Jestem krzyżem, który nosi, chociaż mógłby go odrzucić. Święty Pollock wciąż ciągnie do przodu, na samą górę, gdzie skończy marnie. Musi to wiedzieć lub choćby przeczuwać. Jak to mówili w Piśmie? Nie odsuwaj ode mnie kielicha?

– Wiem – zgadzam się, żeby mieć spokój.

– Zawrócić? – Waha się.

– Nie. Miałem dość tego miejsca. Muszę wrócić do siebie.

Zatrzymujemy się na światłach. Czerwona, rozmazana plama na szybie rozbłyska w najgorszym momencie, pozwalając Pollockowi na naciśnięcie hamulca i przekręcenie głowy w moją stronę. Nie odwracam się. Obserwuję sygnalizację. Nie muszę patrzeć na niego, by wiedzieć, że jest wściekły.

– Ezra, chcesz wszystko zepsuć?

– Co miałbym im powiedzieć? – odpowiadam pytaniem. – Siódma w ciągu kilkunastu dni, zabita dokładnie w taki sam sposób. To ich uspokoi? A może fakt, że nie wiemy praktycznie niczego, co pozwoliłoby nam zidentyfikować mordercę? Miasto pogrąży się w chaosie, Pollock. Moja gadanina nic nie zmieni. Jedyne, co może pomóc, to złapanie drania, który za tym stoi. Jest czas na gadanie i czas na pracę.

– Mógłbyś ich uspokoić.

– Jakimś banałem? Zapewnić, że robimy wszystko, co w naszej mocy? – podnoszę głos. Na szczęście plama światła jest teraz zielona, więc mój partner wrzuca bieg i ruszamy leniwie przed siebie. – Czasami „wszystko” to za mało.

Milczymy przez kilka minut. Odkręcam trochę szybę. Nie zwracam uwagi na wpadające do kabiny krople i mój prawy rękaw ciemnieje od wilgoci. Zapalam jeszcze jednego papierosa. Pójdę z torbami przez te fajki, ale nie mam wyboru. Dym i woda to jedyne, na co demon mi pozwala. Koniec z jedzeniem, koniec z alkoholem...

Stek z cebulką. Ostatni raz jadłem to wiele miesięcy temu. Wyobrażam sobie tryskający tłuszcz na patelni i unoszący się zapach, obietnicę wspaniałej uczyty, szklącą się cebulę i ciężki gęsty sos, którym to wszystko polewam. Jak wiele bym dał choćby za kęs.

– Myślisz, że była pierwsza? – głos Pollocka zagłusza stukot kropel.

– Co? – Strząsam popiół na zewnątrz przez szparę, ale na końcówce skręta osiada kropla, więc kolejny raz wyciągam zapalniczkę.

– Sabina Braunbaum – uściśla. – Czy myślisz, że była pierwsza?

– Możliwe. Wygląda, że załatwił ją przed pozostałymi znalezionymi do tej pory. Rozkład ciała jest bardzo zaawansowany... Mimo że w mieszkaniu było wilgotno, to i tak musiała tam leżeć dłuższy czas.

Kiwa głową. Nie odpowiada przez chwilę. Walczę z zapalniczką ojca, która właśnie teraz uparła się, że nie pomoże mi na nowo rozpalić peta. Wyraźnie jej zależy, żeby jeszcze bardziej spieprzyć mi ten wieczór.

– Dlaczego tego nie zrobisz? – Kątem oka łapię jego rozbawione spojrzenie.

– Czego? – pytam.

– No wiesz, tej twojej sztuczki z ogniem.

Wzruszam ramionami. Naciskam kilka razy, ale pamiątka po ojcu musiała zamoknąć i jeszcze długo nie będzie przydatna.

– Nie daj się prosić – nalega.

Co mi zależy, myślę. Pstrykam palcami i końcówka papierosa zaczyna się żarzyć. Twarz kolegi rozjaśnia uśmiech. Zaciągam się mocno.

Pollock nie pyta, dlaczego rzadko używam mojej skromnej umiejętności. Pamięta czasy, kiedy na policyjnych rautach przypalałem na odległość fajki

każdemu, kto o to poprosił. To był taki mój znak rozpoznawczy. Wiadomo, oto idzie Ezra, może niezbyt zabawny, trochę ponury i z niewyparzoną gębą, ale zna tę sztuczkę...

Rozkoszuję się dymem i milczeniem mojego intruza. Mówi o sobie Awian, nazywa siebie Pogromcą, Zbawicielem, Cudem, Ulubionym Synem, Tryksterem i masą innych, równie głupich określeń, które u większości ludzi wywołałyby uśmiech. Mnie nie bawią. Dla mnie to demon albo diabeł.

– Zabiorę cię do domu, ale najpierw musimy pojechać na komisariat.

Patrzę na zegarek. Jest dobrze po północy.

– Musisz pogadać z szefem. Zanim obsmaruje cię prasa – wyjaśnia jak dziecku.

– W porządku, o ile facet będzie się streszczał. Potrzebuję odpoczynku.

Deszcz przestaje padać.

Kwadrans później zajeżdżamy pod komendę, otoczoną płotami i parkingiem, wysoką na kilka pięter budowlę, która kojarzy mi się z twierdzą. Otoczona bąblami latarni, smarującymi czarne ściany bladym światłem, przypomina też potwora, który połyka wciąż nowych ludzi, wypluwając potem w ich miejsce kogoś zupełnie innego. Zazwyczaj gorszego. Nieważne, czy jako gliniarz codziennie gubisz w niej ideały, czy jako zbir słyszysz zarzuty.

Wspinam się na stopnie. Pajęczyny popękanego tynku sypią ciemnym pyłem, kiedy jacyś gliniarze otwierają drzwi. We dwóch prowadzą skutego draba, przyginając mu kark niemal do ziemi, choć nadal jest prawie równie wysoki jak oni. Porusza pękatymi barami, aż trzeszczy obcisła koszula. Przypomina byka w klatce, którego zaraz wypuszczą na arenę rodeo, żeby rozprawił się z durnym kowbojem usadzonym na jego plecach.

Gliniarze są młodzi. Ich niewinne pyski wywołują we mnie litość. Pot lejący się z ich skroni oraz przejęcie w rozbieganych oczach... Daję im

darmową lekcję. Staję naprzeciw. Zatrzymują się zdziwieni, a byk prychnął wściekle. Podchodzę do niego, łapię za ramiona.

– Bądź grzeczny – szepczę jak zaklinacz.

I z całej siły ładuję mu kolano w krocze. Kwili cicho, zwija się w kulkę, a nogi drżą mu, jakby nagle nie mogły utrzymać stu pięćdziesięciu kilogramów wagi.

– Prosto – rozkazuję, a olbrzym prostuje się na tyle, na ile potrafi.

Młodzi funkcjonariusze patrzą na mnie zdziwieni. Są tutaj bardzo krótko, skoro nie kojarzą od razu, kim jestem.

– Po co się męczyć – tłumaczę. – Teraz będzie was słuchał, a jeżeli nie, to zapakujcie mu jeszcze jednego.

– To pan? – duka jeden z nich. Blondyn. Wygląda jak cherubinek. Dziecinnego tłuszczu nie zastąpiła jeszcze męskość i zastanawiam się, czy chłopak ma chociaż co golić? – Nie wiesz, kto to jest? – Odwraca się do kolegi.

– O rany. To pan złapał tamtego mordercę.

– Barnabę i jego współniczkę. No i nie złapał ich, tylko załatwił.

– Jest pan bohaterem – paplają jeden przez drugiego.

Patrzą na mnie teraz jak pieski na pana, który właśnie rozpakował kiełbasę i zastanawia się, czy dać im po kawałku, czy spałaszować całość samemu. A więc kilku młodych widzi we mnie bohatera... Sam nie wiem: śmiać się czy płakać?

– Odtransportujcie więźnia – ucinam sucho i wchodzę na górę, zostawiając młodzież ich fantazjom.

Za plecami słyszę charakterystyczny stukot twardych podeszew Pollocka. Nie raz zwracałem mu uwagę, żeby nosił bardziej wygodne buty do pracy. Najwyraźniej facet za punkt honoru postawił sobie, żeby dobrze wyglądać nawet w czasie bójki w knajpie.

Wchodzę na drugie piętro, wprost do biura, poprzez oszklone drzwi osadzone na zawiasach rodem z westernowego saloonu, i witam nasz

wydział. O tej porze nie wszystkie biurka są zajęte. Właściwie okupowanych jest ledwie kilka z czterdziestu. Rozjaśniane trójkątnymi światłami biurkowych lamp postacie nie zauważają nas – koledzy są zbyt zajęci pracą, a może wściekli na nadgodziny, za które pewnie nikt nie zapłaci.

– Ezra! – wrzask mąci ciszę pomieszczenia. Przetacza się jak lawina, burząc pozorny spokój tego miejsca.

Te kilka gąb odwraca się, patrzy na mnie ze znużeniem, rozbawieniem albo w ogóle bez wyrazu.

– Co ty tu robisz, do diabła? – Chociaż dzieli nas cała wielka sala, widzę, jak szef wściekle strzyka śliną spomiędzy zębów. – Gdzie reszta?

– Jeszcze na miejscu.

– Do mojego biura! – Trzaska drzwiami. Szyby w jego drewniano-szklanym boksie drżą, jakby miały zaraz wypaść.

Pollock uśmiecha się znacząco i wzrusza ramionami. Temperament szefa jest legendarny, wielu nigdy nie słyszało, żeby mówił w normalny sposób. Sprawa Dentysty, jak określiła psychopatę prasa, na pewno nie koi nerwów. Tym bardziej że chodzą słuchy, iż burmistrz wydzwania teraz o każdej porze dnia i nocy, wciąż wypytyjąc o postępy. A staremu kończą się wymówki... Chociaż muszę przyznać, że to był diabelnie sprytny ruch – przydzielić do sprawy kogoś mojego pokroju. Czarna owca na odstrzał, a komisarz pozostaje kryty. Przecież przydzieliłem bohatera, mojego najlepszego człowieka, będzie tłumaczył, podczas gdy tak naprawdę nienawidzi mnie do szpiku kości. Nie dziwię mu się. Ma powody.

– Walniesz kielicha, Ezra? – pyta prawie spokojnie, kiedy wchodzi. Pollockowi pokazuje, że ma zostać na zewnątrz. Partner patrzy na mnie z troską godną matki, ale bez słowa zamyka za sobą drzwi. Pozostajemy we dwóch: ja i szef.

Komisarz Mills siada za biurkiem. Wypolerowane na połysk buty układa na blacie i nachyla się do szuflady, grzebie – słycać szelest przewracanych

papierów, wreszcie wyciąga półpełną butelkę z whisky, której mętna barwa w przyciemnionym pomieszczeniu przypomina siki. Potem wyciąga dwie szklanki z grubego szkła. Patrzy pytająco. Nie odzywam się, więc pyta na głos:

– Gólniesz?

– Nie piję – odpowiadam.

– A więc to prawda, co gadają. – Szczerzy zęby jak lis. Jego ciężki, rudy wąs ciemnieje od śliny. – I prawda, co Pollock nawciskał sędzinie. Zmieniłeś się. Zmieniłeś swoje życie. Może znalazłeś Boga? – drwi.

– Nikogo nie znalazłem. Po prostu już nie piję.

– Twoja strata. – Napełnia szkło do połowy, drugą szklankę na powrót wrzuca do szuflady. – Nie ma jak whisky.

– Nigdy za nią nie przepadałem.

Sięgam po krzesło, chociaż po jego minie widzę, że wolałby, żebym stał. Nie protestuje jednak – cokolwiek myśli, pozostawia dla siebie. Jest wyjątkowo spokojny. To zły znak. W czasach, kiedy się przejmowałem, pewnie drżałbym ze strachu. Teraz, dzisiaj, te sztuczki są co najwyżej zabawne.

– Liczę na ciebie, Ezra.

– Ta? – udaję zdziwienie.

Rzucam kapelusz na biurko. Łąduje koło oprawionego w ramkę paskudnego zdjęcia jego szpetnej żony. Żałuję, że nie trafiłem i nie nakryłem tej twarzyczki. Pewnie byłby wdzięczny.

– Zdrowie pani Mills – mówi, jakby czytał w myślach. – Spójrz mi w oczy, Ezra.

Robię, jak każe. Szef nie spuszcza wzroku przez dłuższą chwilę, zupełnie jakby toczył ze mną pojedynek.

– Powiedz, że jesteś już blisko. Powiedz, że nasz kochany morderca czuje twój śmierdzący oddech na plecach. Powiedz, że coś masz – cedzi słowa nieznośnie powoli.

- Idę do domu.
- Po to przyszedłeś? Żeby mi to powiedzieć?
- Przyszedłem, ponieważ wołałeś.

Nigdy nie lubiłem komisarza. Właściwie to chyba nikt za nim nie przepadał. Gdyby zrobić konkurs na najbardziej nielubianego glinę, w którym prawo głosu mieliby wyłącznie starzy wyjadacze, nie stanąłbym na najwyższym stopniu pudła. Należałoby mi się drugie miejsce. Chociaż myślę, że gdyby Mills był zwyczajnym detektywem, a nie szefem całego wydziału, dzierżyłbym palmę pierwszeństwa. On przecież musi mieć jakieś dobre strony, skoro dotarł tak wysoko. Ktoś na górze pewnie go lubi.

- Nie rób sobie jaj, Ezra. Co z tą dziwką? Jego robota?
- Ta – kiwam głową. – Jego robota. Albo jej.
- Przyjmijmy, że to facet. W końcu to prawie nigdy nie są kobiety.
- A ta moja? – Wspominam Delilę, która stała się dla mnie biletem powrotnym do służby. Ona i jej pomocnik, Rzeźnik Barnaba, jak barwnie nazwały go pismaki.
- Delila pociągała za sznurki. Nie mówimy o sznurkach.
- Też wołałbym, żeby ta sprawa była mniej poplątana.
- Co masz? – stary nie ustępuje.

Wkłada końcówki wąsów do ust i wysysa z nich resztki alkoholu.

– Wygląda na robotę naszego człowieka. Ofiara w brutalny sposób pozbawiona uzębienia. prostytutka. Biała. Śmierć nastąpiła kilkanaście dni temu. Najprawdopodobniej. – Kartkuję notes. – Mocno posunięty stopień rozkładu uniemożliwia na tę chwilę dokładniejsze przybliżenie terminu zgonu, tym bardziej że w lokalu denatki było jak w cholernej saunie.

- Czyli koroner nie popisał się konkretami...
- Nie musiał. Uszkodzony zegarek ręczny zatrzymał się drugiego, a zeznania lokatorów budynku potwierdzają tę datę jako prawdopodobną, więc będę się tego na razie trzymał.

– Niemal dwa tygodnie... – Wygląda na zamyślonego. Jego przekrwione oczka wpatrują się gdzieś w dal. Domyślam się, czego szuka i mógłbym podpowiedzieć, ale wolę poczekać, aż sam sobie przypomni. – To byłaby najwcześniejsza z nich.

Wreszcie.

– Tak. Była pierwsza. Potwierdza to również istotny szczegół... Tym razem nie znaleźliśmy naszyjnika.

Cisza. Powoli sączy swój ulubiony trunek. Zastanawia się, układa przemówienie dla prasy, a może rozgrywa w głowie scenariusze wywiadów?

Dziennikarze nazywają mordercę Dentystą. Ktoś puścił farbę, że usuwa ząbki z maniakalną dokładnością. Razem z korzeniami – jeżeli jakiś zostaje po usunięciu, to rozrywa dziąsła i wygrzebuje resztę. Tyle wie prasa. Nie wiedzą, że robi z nich później naszyjniki, które zostawia jako znak rozpoznawczy – nawleka kły jak koraliki pieprzonych różańców, każdej kolejnej ofierze pozostawiając pośmiertny prezent z uzębienia jej poprzedniczki. Co zabawne, pismaki nie mają pojęcia, jak dokładnie trafili z przydomkiem zwyrodnialca. Wszystkie znalezione do tej pory zęby są spróchniałe.

– To wskazuje, że była pierwsza – odzywa się po chwili Mills. – Albo zmienił *modus operandi*. Nie miał czego jej podarować lub nie wymyślił jeszcze, jaka będzie jego wizytówka?

Komisarz nie oczekuje odpowiedzi.

– A reszta obrażeń? – pyta.

– Została podziurawiona jak sito. Narzędzie zbrodni pozostaje tajemnicą.

– Jeżeli przy niej się rozprawczył, nie mógł być jeszcze sprawnym kochankiem. Przyciśnij konowała. Może uda się dowiedzieć więcej niż z tych, które znaleźliśmy później.

Przytakuję.

– Zapaliłbym. – Prawie niezauważalnym gestem szef wskazuje na płaszcz zwisający z ustawionego w rogu pokoju wieszaka. – Prawa kieszeń.

Wstaję, słysząc jak zwykle protest starych, zmęczonych kości. Zegar na ścianie wybija pierwszą, więc niewiele nocy mi pozostało. Latem świta po czwartej, a wciąż muszę coś wykopać. Niechętnie przyznaję, że mój demon sprawił, iż jestem trochę lepszym człowiekiem. Kiedyś łamałem przyrzeczenia na potęgę i nikt nie mógł na mnie liczyć. Teraz to się zmieniło. On wierzy w potęgę danego słowa, a od kiedy we mnie zamieszkał, i ja muszę wierzyć. Złożonych mu obietnic nie wolno łamać.

Wyciągam paczkę – a z niej papierosa dla siebie – po czym odrzucam ją do szefa. Łapie, nawet nie patrząc. Wciąż ma sprawne ręce. Zanim dupa przyrosła Millsowi do fotela, całkiem nieźle radził sobie na ringu w zawodach. Wieść niesie, że żadnemu gliniarzowi, który lubił tłuczenie po mordach, nie udało się przestawić mu nosa. Chociaż patrząc na kulfon rudzielca, trudno w to uwierzyć.

Zapalniczka ojca wyschła, więc znowu pali dobrze. Zaciągam się i z ulgą oddycham dymem, który momentalnie puchnie nad naszymi głowami jak burzowe chmury.

– *Pamiętaj, mój przyjacielu, mój powierniku. Mój psie* – skrzekliwy głos w czasie nabrzmiewa, kiedy najmniej się tego spodziewam.

Przecież pamiętam.

– Czas na mnie – oznajmiam.

Zapada cisza. Szef nie odpowiada. Pali spokojnie swoją fajkę, popija whisky i patrzy na mnie. Ja również palę i również patrzę na niego. Czas przepływa gdzieś obok, przesuając leniwie wskazówki zegara.

– Nie skończyłeś na dzisiaj – mówi wreszcie. Powoli i wyraźnie, jakby nawijał do niedorozwoja. – Reszta na miejscu, jeszcze pracują... A ty chcesz wziąć sobie wolne?

– Chcę. – Co innego mam powiedzieć? Nie mam ochoty się przed nim tłumaczyć.

Od trzech dni prawie nie spałem. Komisariat z drugiego domu stał się tym pierwszym. Ja już nie jestem zmęczony – jestem wyczerpany. Jedyne, co sprawia, że nie zasypiam na stojąco, to adrenalina i wypalane papierosy. No i siedzi mi w bebechach jakiś stwór, który posiada dość mocy, żeby przewrócić cały nasz świat do góry nogami, jeżeli będzie miał taki kaprys. To chyba niezłe powody, żeby podarować sobie tę nockę.

– Ezra... Stary jesteś. Długo pracujesz. Niedawno wróciłeś, chociaż wiesz dobrze, że nikogo to nie cieszy. Dzisiaj znajdujemy kolejną zarżniętą kobietę, a ty olewasz sprawę, bo chcesz się przekimać?

– Mój bak jest już pusty, Mills. – Dobra. Wygrałeś. Dam ci chociaż palec.

– Potrzebuję chociaż czterech godzin. Świat się nie zawali przez cztery godziny.

– Nie chcę, żeby Pollock siedział nad tym sam – stawia jasno sprawę.

– Jemu też daj wolne. Nie pracujesz dobrze, jeśli musisz czytać linijkę raportu sześć razy, żeby zrozumieć jej znaczenie.

Uważam rozmowę za skończoną. Komisarz też ma chyba wszystkiego dość, bo nie zamierza się sprzeczać ani dawać poleceń służbowych. Wie, że to chore i że jak będzie nas tu dalej trzymał, to pewnie zaczniemy do siebie strzelać. Niech kolejna zmiana, która została w tamtym mieszkaniu, składa dzisiejsze puzzle.

– Dobra. Wyznaczę kogoś na twoje zastępstwo do rana.

– Jesteś prawdziwym aniołem, szefie. Archaniołem.

– O siódmej meldujesz się na służbie.

– Ta jest!

– Czekaj jeszcze – zatrzymuje mnie, kiedy kładę rękę na klamce.

Odwracam się powoli. Widzę, jak Mills wstaje ciężko z fotela. Dopiero teraz zauważam plamy potu, które wykwitły na jego eleganckiej koszuli. Czyżby nie czuł się podczas tej rozmowy tak komfortowo, jakby się wydawało? Gasi papierosa na podłodze i przydeptuje butem. Ja jestem

dopiero w połowie mojego, tak więc ćmiąc spokojnie, czekam, aż do mnie podejdzie.

– Wiesz, dlaczego ciebie przydzieliłem do tej sprawy? – Staje tak blisko, że jego pijacki oddech tłumi inne zapachy. – Dlaczego przydzieliłem takie ścierwo do tego?

– Pewnie mi powiesz.

– A jakże! Powiem. – Beka ciężko. Potem bierze głęboki oddech i zaczyna wyrzucać słowa niczym karabin maszynowy kule. – Jesteś najlepszym detektywem, jakiego mam. Mimo tego, że kawał gnoja z ciebie, jesteś najlepszy. Załatwiłeś tego Barnabę, a i wcześniej rozwiązałeś kilka śmierzących spraw. Ezra, jesteś najlepszym człowiekiem do tej roboty, ale jeśli będziesz się stawiał, to Bóg mi świadkiem, że cię usadzę. W dupie mam, że brakuje ci kilku miesięcy do emerytury i że prasa zrobiła z ciebie bohatera. Masz mnie słuchać albo pożałujesz, że wróciłeś. Usadzę cię jak cholera.

Naciskam klamkę i otwieram drzwi. Później je zamykam. Odwracam się, wymijam szefa, podchodzę do biurka i podnoszę wysłużoną Fedorę. Tym samym ruchem kładę wizerunek jego żony twarzą do blatu.

– Nie usadzisz mnie – szepczę.

– Słucham?! – podnosi głos, jakby szykował dłuższą tyradę, ale mu przerywam.

Mówię cicho, a on nie śmie się wtrącić.

– Nie usadzisz mnie – powtarzam. – Wiem dobrze, dlaczego to muszę być ja. To nie może być nikt inny. To musi być ktoś, kto stanie na środku pokoju, kiedy gówno uderzy w wentylator. Potrzebujesz kozła ofiarnego, Charlie.

Purpurowieje. Wygląda zabawnie – te marchewkowe włosy i wąsy do kompletu z twarzą koloru buraków.

– Spierdalaj! – krzyczy, szarpnięciem otwierając drzwi.

Wychodzę. Nie oglądam się. Pollock patrzy pytająco, ale wzruszam tylko ramionami, więc milczy.

– Mamy wolne do siódmej – rzucam.

Jadę przez pustoszejące ulice. Księżyc przegonił deszczowe chmury i teraz świeci mocno i wyraźnie, kąpiąc dachy budynków w mlecznym blasku. Miasto nie śpi, tylko czeka. Mój demon nie śpi również. Cicho podszeptuje, co mam zrobić.

Najpierw odwiozłem Pollocka do jego pięknego domku na przedmieściach, gdzie żona pozapalała wszystkie światła, kiedy tylko przestąpił próg. Jakże inaczej świat wygląda, kiedy stoi się wśród równo przystrzyżonych, zielonych trawników, pomalowanych na żółto drewnianych ławeczek i czerwonych skrzynek na listy, których nigdy nikt nie zadrapał. Że też Pollock wraca do komendy i babra się w tym wszystkim... Oszalał, że opuszcza ten idealnie skrojony raj? Może i jego to miasto zaklęło, tak jak mnie, i nie może dłużej żyć bez zimnego oddechu nocy napełniającego płuca, bez spojrzenia zimnych okien...

Mrugam. Powieki lepią się, jakbym wysmarował je klejem. Ledwie widzę drogę.

– *Prędkiej Ezra-zwierzę. Odkop głowę, a będziesz krok bliżej do naszego rozstania.*

Wyjątkowo jego głos mnie nie drażni. Dziękuję w duchu za każde słowo. Przynajmniej nie zasnę i nie wjadę w ścianę jednego z mijanych domów, przebijając mur i ładując się ciężkim Fordem prosto do sypialni jakichś bogobojnych Włochów albo Irlandczyków.

Wreszcie znajduję to miejsce. Na szczęście nie jest tak daleko od domu, jak zapamiętałem. Wsiadam z samochodu i ruszam do bagażnika, skąd wyciągam podręczną, wojskową saperkę. Chowam ją za pazuchę płaszcza, naciągam mocniej kapelusz i idę poprzez ulicę wilgotną od wody wypływającej z zepsutego hydrantu. Jakieś łobuzy musiały zrobić sobie

wcześniej zabawę. Woda tryska w górę jak gejzer, ale nie obchodzi mnie to, póki nie niszczy mi butów.

Wstępuję na chodnik, a z niego na trawnik. Przed sobą widzę rosnące drzewa, które tłoczą się wokół drabinek, huśtawek i basenów z piasku. Plac zabaw jest wymarły nocą. Kiedy nie ma na nim dzieci, przypomina cementarz. Gdy przez niego przechodzę, łańcuchy huśtawek skrzypią niepokojąco, a wiatr z wyciem przesiewa ziarnka w piaskownicy.

Jest i moje drzewo...

Nie mam pojęcia, dlaczego go nie wycięli. Wygląda jak wrzód pośród zielonych, zadbanych i pękatych od tłustych liści dębów. Wygląda, jakby po coś sięgało, bo pomięte i prawie łyse gałęzie ma skierowane w bok, zamiast do góry. Kora o niezdrowym, żółtym odcieniu odpada w niektórych miejscach, przywodząc na myśl straszliwe rany, odsłaniające kość.

Przyklekam pod nim. Łapię za granitowy kamień, który ułożyłem tam pół roku wcześniej. Wyciągam saperkę i zaczynam kopać. Nie mija wiele czasu, kiedy trafiam na nadgniły, wilgotny karton. Unoszę wieko i widzę pokryte bielmem oko. Przypatruje mi się z ciekawością. Drugiego już nie ma. Zżarły je robaki. Łapię mocno głowę i wyciągam, żeby obejrzeć ją w świetle księżycy. Przez dziurę w czaszce, którą wywaliłem moim Coltem, dostrzegam kawałek mózgu i skolopendrę, która się tam zaległa. Wytrzepuję robala na ziemię. Nie chcę zabierać tego paskudztwa do domu. Popękane usta poruszają się z mlaskiem, aż słyszę głos.

– Panie? – gada Barnaba.

– Zamknij się.

Podróż do domu trwa dłużej, niż pamiętam; czas ciągnie się jak guma, ale kiedy wreszcie parkuję pod ceglany budynek, ze zdziwieniem odczytuję na zegarku, ile godzin pozostało do rana. Mam nawet szansę się zdrzemnąć.

Sklepy żółtków są pozamykane, więc nie muszę oglądać ich wykrzywionych złością gąb. Zatarg z tymi cwaniaczkami zaognia się

z każdym dniem – na pewno jest w tym trochę mojej winy, ale nie przejmuję się, bo to domena słabych. Nie mogę pozwolić sobie na słabość.

Księżyc wisi nad dachem budynku jak lampa. Oświetla świeży tynk, położony na odbudowanych ścianach mojego mieszkania na trzecim piętrze, ścianach rozwalonych w mak przez demona podczas naszego pierwszego spotkania. Dom pozszywany jak Frankenstein.

Biorę pakunek i pokonuję cztery schodki dzielące mnie od głównych drzwi. Znajomy chrobot klucza i skrzypienie zawiasów sprawiają, że czuję coś miłego w dołku. Własne leże zawsze najlepsze.

Przy wtórze skrzypienia schodów i mrugania ściennych lamp wspinam się na górę, aż wreszcie jestem u siebie. Moje mieszkanie, moje niedawne biuro. Wita mnie stara, pokryta kurzem kanapa stojąca naprzeciw wejścia, otoczona szafami pełnymi ezoterycznych ksiąg, które zostawił mi ojciec, a których nigdy nie miałem czasu ani ochoty przeczytać.

Podchodzę do dużego stołu przy oknach. Zostawiam paczkę. Prawie potykam się o krzesło, którego w półmroku nie zauważyłem. Jedno z trzech, jakie mi pozostały. Komplet składał się z czterech, ale demon jedno zniszczył. Drań.

Odwieszam kapelusz, płaszcz i kaburę, zrzucam buty i odkopuję je byle jak pod ścianę przedpokoju. Rozpinam koszulę, odpinam pasek i opuszczam spodnie. W samych skarpetach, podkoszulce i gaciach, wchodzę do łazienki, gdzie przekręcam kurek i czekam, aż kryształowa ciecz napełni mosiężną wannę. Woda to doskonały przewodnik.

– *Nie mamy wiele czasu. Pospiesz się.*

Dobrze wiem, co mam robić. Podobnie jak on z każdym dniem dowiaduje się o naszym świecie więcej, tak i ja się uczę. Wiem, co mam robić i czego oczekuje, chociaż nigdy przedtem nie zajmowałem się magią, a cały mój kunszt zaczyna się i kończy na jednej sztuczce wywoływania płomyka. Zresztą tylko na tyle wystarcza mojej własnej mistycznej mocy.

– *Teraz jest wyjątkowa noc. Wyjątkowa* – mówi stwór. – *Użyczę ci części mojej potęgi, zwierzę-ssaku-człowieku.*

– Mam nadzieję, że dzięki temu się ciebie pozbędę – syczę.

– *Uwierz, nie pragniesz tego mocniej niż ja* – zgrzyta w mojej głowie. – *Świadome współistnienie z kimś z twego pośledniego rodzaju jest skrajną obrzydliwością.*

Zdejmuję podkoszulek. Ściągam skarpetki i wrzucam je do kosza na brudną bieliznę, po czym wracam do pokoju po paczkę z głową Barnaby. Kładę ją na kafelkowej podłodze i popijam wodę z kranu.

– *Czy jesteś gotów?* – pyta.

Zamykam kran, ściągam gacie i trzymając karton, ładuję się do wanny. Gorąca woda parzy, ale zaciskam zęby i nie zwracam uwagi na ból.

– Ta. Możemy zaczynać, demonie – potwierdzam, wyciągając głowę Barnaby.

– *Po raz ostatni... Nie jestem demonem. Demony nie istnieją. Diabły nie istnieją. Anioły nie istnieją. Nie zostały zapisane w Księdze Egzystencji i są jedynie wytworem wyobraźni waszej kloacznej rasy. Krrrkt. Ja jestem Awianem, przednim Tryksterem, Pogromcą...*

Głowa boli mnie od tych nic nieznaczących tytułów. Jest księciem w kraju, gdzie tytuł szlachecki wart jest tyle, ile gotówki za nim stoi. Jego przechwałki nic nie znaczą, przedłużają jedynie to nieznośne terkotanie.

– Cicho, Paddy. Zaczynamy.

I milczy. Nawet On ma tej nocy ważniejsze sprawy niż próba karania mnie za zuchwałość.

Przyglądam się odciętej głowie. Wyglądasz nawet gorzej niż w dniu, kiedy mnie spotkałeś, Barnabo. Chociaż wpakowałem w ciebie cały bęben magazynka, zaś Awian urznął ci łeb przy samej szyi, wciąż nie chcesz zemrzeć jak człowiek, pokrako. Coś uparcie każe ci żyć, wbrew rozsądkowi i prawom natury.

Myślę o nim sprzed Dnia Rudego Śniegu... Zapewne był nikiem, kolejnym statystycznym zerem, którego ani śmierć, ani narodziny nikogo nie obeszły. I w tej jednej cholernej chwili został odmieniony, jak wielu innych obywateli tego kraju. Każdemu wedle zasług... Nie w tym przypadku. Ja, stróż prawa, otrzymałem dar zapalania papierosów na odległość, a ten zbir stał się nieśmiertelny. I gdzie tu sprawiedliwość?

Barnaba przewraca okiem i oblizuje spierzchnięte usta grubym, czarnym językiem. Końcówka szyi ścięta równo jak przy linijce ukazuje pulsującą ciążę krtań.

– Znowu światło jest – sepleni. – Nie chcę znowu być ciemno.

Dziura w głowie nie najlepiej wpłynęła na jego zdolności krasomówcze.

– To ja, Paddington. Pierwszy wśród Awian, na którego przybycie oczekiwałeś – mówię nieswoim głosem. Mój prywatny demon przekazuje słowa wprost do ust.

Woda w wannie zaczyna mętnieć.

– Dzięki, Panie, dzięki! – Pojedyncza, czarna łza spływa po policzku ciężko jak ropa. – Dzięki za łaskę dla niewartego nic sługi.

– Odpowiadaj więc. – Przetykam ślinę. Smród potężnieje z każdą chwilą.

– Pan pytać, a sługa odpowiadać.

Jego usta drżą.

Głowa jest ciężka. Ręce męczą się, a skóra nie-trupa wilgotnieje od pary. Prawie upuszczam ją do wody, ale Paddington uprzedza, że nie wolno tego zrobić. Jeszcze nie. Jest za wcześnie. Więc ściskam mocniej lepkie policzki, wpatruję się w pobielające oko, w którym ledwie widać źrenicę, i rozkazuję:

– Opowiedz, jak poznałeś Delilę.

– Panie, to być zaraz po Rudym Śniegu. – Oblizuje wargi. – Choćby dzień nie minął. Nawet nie jeden dzień. – Ślina ścieka z kącika jego ust. Łąduje w wodzie. Z trudem opanowuję wzdrygnięcie obrzydzenia. – Słabo... Ale pamiętać. – Przez dziurę w jego czole widzę przeciwległą ścianę. Kto chciałby taką nieśmiertelność, jaką ma Barnaba? Nie ja. Nie ja.

– Nie wiem, kim być przed śniegiem. Pewnie nikim być. Nikim. Śnieg zmienił. Biały to nie być śnieg. Smak jak rdza. Rudy, krwawy śnieg. A ja iść ulicą, kiedy on pada. I nagle, nagle, przygniótł ogromny ciężar. Ja nie móc iść. Przygnieciony do ziemi głową. Skręca się ciało, wyżyna i łamie. Rwie skórę, gniecie kończyny... Potem ciemność. Spokój. I nagle wracać. Jakby coś kazało. Jak rozkaz z nieba, co takiemu nie móc się sprzeciwić – ciągnie po chwili przerwy. – Być z powrotem, na środku ruchliwej ulicy. Rozglądać się. Rozglądam się. Nie wiem, skąd tam akurat... Wozy buczeć i krzyczeć wokół, szturchają i uderzają. Później tamta ciężarówka, z ciemnej nocy. Na pace węgiel, co wypada na boki. Dwa okrągłe światła na przedzie. Patrzyć na nie. Patrzyć na nie... Bum. I fruwać jak ptak. Na krótko. Zaraz ląduję w jakichś śmieciach. Samochody dalej buczeć i jechać. Nikt się nie zatrzymał. Nikt! – prawie krzyczy.

Czarne łyzy zaczynają płynąć coraz obficie. Opuszkami palców wyczuwam drganie mięśni pod policzkami. To, co Paddy z nim robi, na pewno nie sprawia przyjemności. I dobrze. Nie żałuję potwora. Wystarczy, że zamknę oczy i widzę cały legion ofiar, jakie zebrał w dziurze, w której się ukrywał.

– Leżeć długo. Nie ruszać się. Chcę poruszyć nogami, ale one tylko rwą ścięgna i skórę. – Wypowiada kolejne słowa coraz szybciej, jakby czuł, że czas się kończy i jeżeli teraz nie zdąży opowiedzieć swojej historii, to kolejnej okazji nie będzie. – Księżyc. Okrągły zza chmur. Księżyc prawie sięgać dachów budynków, kiedy czerwony wóz stanąć. Wysiada ona, piękna jak anioł. Delila. Ona wziąć mnie do bagażnika. I my jechać. Ja to słyszeć, bo nic nie widzieć. W bagażniku ciemno. Jak pod ziemią. – Teraz wyrzuca słowa tak szybko, że ledwie go rozumiem. – Ona składa do kupy moje nogi. Potem wrzucić je do szyn. I ja chodzę. Delila opowiada, co się stało. Opowiedzieć, że teraz nikt nie zdoła mnie zabić, bo Rudy Śnieg dać mi moc. Ona znać cuda. Już wcześniej, długo przed Rudy Śnieg, ona zna

cuda. Ale i jej modlitwy zostać wysłuchane, bo i ona otrzymać dar w tamten Dzień.

– Profetyzm – szepczę własnym głosem, przerywając na chwilę jego wywód.

– Taaak. – Uśmiecha się niemal lubieżnie. – Delila mówić, że może wiedzieć, gdzie jest wszystko, czego ona zechcieć odszukać.

Głowa ciąży. Czuję, że nie utrzymam jej dłużej. W myślach pytam demona, co dalej, ale ten milczy. Zazdroszczę mu, że nie może teraz oglądać tego łba, że może tylko słuchać.

– Po co ci ten dar, ja spytać. Nie woleć nieśmiertelność, jak ja? – ciągnie dalej Barnaba. – A ona na to, że nie. Ona tylko tego potrzebować. I wtedy pokazuje pieczęć.

Drzę na samo wspomnienie. Widzę znowu paskudny przedmiot, który wyciągnął na światło dzienne ukrytego we mnie potwora. Ciężki, żelazny drąg, przypominający pogrzebacz. Zakończony znakiem krzyża w okręgu.

– Delila opowiadać, że dzięki temu zobaczyć anioły. Bo anioły ukryte są w ludziach, wiesz, Barnaba? Tak ona mówić. Bóg wbić je w ludzi do chwili jego ponownego przyjścia. I one czekać tam. Zamknięte. Uwięzione. I kiedy wyjść, wtedy i Bóg nadejść, żeby nas nagrodzić. – Awian ledwie powstrzymuje śmiech, słysząc tę część opowieści. Miło, że chociaż komuś dopisuje humor. – Ona robić różne cuda i ja już wierzyć. Bóg musi być dobry, skoro stworzył magię. Barnabo, czy wierzysz? Ona pyta. Ja mówię, że tak. Wierzyć jak cholera. Potem ona pytać, czy ja zostanę jej sługą i pomogę odnaleźć anioły. A ja na to, że tak. Tak! Tak! Tak! Krzyczeć z radości. Podskakiwać na kulach.

– A potem ją zdradzasz – przerywam. Głowa zaraz mi upadnie. Palce wgniatają policzki, a skóra jest miękka jak budyń. Nasz czas się kończy.

– Nie. Nie zdradzać, nie zaraz – zaprzecza. – Zdradzać Delilę dopiero kilka miesięcy później. My, we dwoje, szukać aniołów w ludziach, ale ich nie ma. Ona mówi, że nie umieć ich wskazywać tak dokładnie, więc

musimy ciągle próbować nowych. Ja się zgadzać, skoro my nie mieć wyboru. Ale jest problem. My zrobić dużo trupów. Bo jak ktoś nie ma w sobie anioła, to umierać. My nie mieć już miejsca, żeby pakować tyle trupów.

– Dlaczego ją zdradziłeś?

– Ona w końcu znaleźć miejsce, gdzie jesteś, panie. Teraz być pewna. My cieszyć się, ale nocą, kiedy spać, ja śnię, że ona mnie zdradzić. Ona wziąć całą chwałę na siebie. Mnie wyrzucić. Chociaż ja ich łapię, ja biję, ja przynoszę.

– A więc kradniesz jej pieczęć i zaczynasz działać na własną rękę?

– Tak, panie. Znać miejsce, więc zbierać ludzi stamtąd i próbować... Ale w końcu, to ona ciebie odnaleźć – kończy ze smutkiem.

Wspominam dzień, kiedy do mnie przyszła. Delila o przecudnych kształtach, kipiąca seksem, rzucająca uroki spod tłustych, czarnych rzęs i płonąca wściekle rudymi włosami. Zbyt piękna dla kogoś takiego jak stary Ezra.

Siada naprzeciwko. Czerwone płomienie włosów kontrastują z mętym kielichem Zielonej Wróżki, znad której ją obserwuję. Nie pracuję wtedy w policji, nie jestem psem, tylko kundlem. Możesz wynająć mnie do wszystkiego, jeśli wystarczająco dobrze zapłacisz. Ona płaci.

Jakim byłem głupcem! Siadłem do rozgrywki, w której karty zostały wcześniej oznaczone – jako jedyny jeleń przy stole. Zapomniałem starej zasady: jeżeli nie widzisz frajera, ty nim jesteś. Musiałem przegrać.

Awian cicho szepcze. Rzeczywiście coś dzisiaj wisi w powietrzu. Coś dziwnego unosi się w parze. Tym razem nie rozumiem słów, które wypowiada. Przemawia w swoim języku – zwykle tego nie robi, zamknięty w klatce ciała, skąd nie ma przecież żadnej władzy nad światem rzeczywistym. Jest więźniem i chociaż mógłby mnie zostawić, jedno trzyma go mocniej niż jakiegokolwiek kraty. To strach.

Ale dzisiaj jest niezwykła noc. Dzisiaj może uchylić rąbka tajemnicy, splunąć mocą bez obawy, że któreś z pozostałych go odnajdzie. Więc szepcze te swoje słowa, a ja czuję, że moje usta poruszają się nieznanym rytmem i mój głos wkrótce znowu staje się jego głosem. Zgrzyta zmęczonymi żeliwnymi trybami, terkocze zapadkami, wizga maszynową torturą. Głowa nie jest już ciężka, teraz waży tyle, co nic. Białe oko mruga, a naskórek na policzkach, gdzie ułożyłem dłonie, zaczyna się łuszczyć. Całymi płatami rosi teraz ciemną wodę, a ta zaczyna bulgotać, jakby czerpana z jakiegoś gorącego źródła na moczarach. Bąble rosna, później pękają z plaskiem i teraz nurzam się w gorącej smole. Ta jednak nie parzy. Jej dotyk jest pieśczętą.

W łazience zrywa się wichur. Drzwi są zamknięte, wyciąg od wentylacji również, ale to żadna przeszkoda dla magii. Moje włosy tańczą, a tafla marszczy się i rodzi niewielkie fale. W tym samym czasie moje palce wbijają się w głowę Barnaby jak w ciepłe masło. Głęboko. Żarówka mruga. Krótko. Kątem oka dostrzegam cień – skrzydlaty cień o ciele naszpikowanym nożami. Demon jest blisko, ledwie włos dzieli go od mojego świata... A równocześnie nadal czuję go w środku, nadal jestem tutaj, cały z ciała, a nie zastąpiony żywą stalą.

Jego psalm urywa się nagle. Głośny pisk to ostatnia głoska. Głowa szarzeje i pęka, spada deszczem prochu, który miesza się z moją kąpielą. Osuwam się na plecy, skrajnie wyczerpany. Czuję, że mógłbym spać chyba z tydzień.

Jednak to jeszcze nie koniec.

Ciemna woda zmieszana z prochem porusza się leniwie. Drży i unosi się w górę, formując znajomy kształt. Znajomy, kuszący kształt.

– Jest mi tak zimno. – Usta Delili drżą w malignie, jej głos zdaje się dochodzić z oddali.

Jej odwiedziny są dla mnie zaskoczeniem. Demon po wielokroć powtarzał, że my ludzie nie posiadamy duszy i po śmierci rozmywamy się

w mgłę. Może tylko drwił?

– Panie?

Nie. Nie drwił. Pojmuję, że to, co widzę przed sobą, kształt jej ust na wodzie, i to, co słyszę, jej piękny głos, są ledwie ostatnią iskrą życia Delili, która pozostała z Paddingtonem, kiedy ukatrupił czarownicę. Tak jak wszyscy zabici pozostawiają piętno na swoim oprawcy, tak i ona to uczyniła. Przywołaliśmy cię, który z pierwszym promieniem słońca odejdzie na zawsze. Nie mamy duszy. My, ludzie, nie mamy duszy, demon mówił prawdę.

– Chcemy skorzystać z twego talentu trupie-kobieto bez istnienia.

– Jestem do usług, panie. – Drży na drobnych falach.

– Pokaż, gdzie są pozostali. Pokaż mi, gdzie ukryli się potomkowie Protoplasty, moja rodzina – mówimy ekstatycznym chórem.

Nasze głosy mieszają się i uzupełniają. Mój głos ludzki i jego zbudowany ze zgrzytu.

I ona pokazuje nam miejsce.

Rozdział II – Powrót do służby

Sześć miesięcy wcześniej.

Czerwone, stożkowe klosze lamp zatańczyły pijanego walca trącone podmuchem wiatru, który wkradł się przez otwarte drzwi. Chciały wyrwać się kablom, którymi przymocowano je do sufitu. Bezskutecznie. Żarówki zapłonęły jaśniej, nasycając ukryte pod kapeluszem ogniste włosy kobiety, a później znowu przygasły, topiąc salę w półmroku.

Jej włosy nadal płonęły.

Stała w wejściu, jakby kogoś szukała, jednak pomyślałem, że to tylko poza – chce, żebyśmy wszyscy dokładnie ją obejrzel. Wysoką, smukłą i piękną, o kształtach, jakich nie skryje nawet ten luźny płaszcz. Alabastrowa skóra sprawiała, że wyglądała jak zjawa.

Czysta magia. Iluzja, którą tak łatwo rozmyć.

Jakaś zachlana ćma barowa przyfrunęła, skuszona nowym źródłem światła. Wybełkotała kilka słów, jednak nieznaczne poruszenie wydętych pogardą ust piękności wystarczyło, by odfrunęła do swojej szklaneczki, przygaszona, wyzuta z pijackich złudzeń. Nie dla ciebie dzisiaj chwała, przyjacielu.

Nieznajoma złapała moje spojrzenie – siedziałem w pasiaku utworzonym z cieni żaluzji, ale przejeżdżający ulicą Ford T skapał moją facjatę w świetle reflektorów. Nigdy nie uciekam wzrokiem, czekam, aż one to zrobią, lecz w tamtej chwili coś kazało mi spojrzeć na kieliszek absyntu. Odbicie zmęczonej, krzywej gęby na zielonej powierzchni. Mimo wszelkich starań z czasem nie ma już czego składać do kupy.

– Pocałuj mnie zielonymi ustami – szepnąłem do Zielonej Wróżki, wiedząc, że tej nocy kolejny raz będzie moją kochanką.

Zaszumiało ubranie. Ktoś usiadł naprzeciw, słysząc moją cichą prośbę. Nie musiałem podnosić wzroku, żeby wiedzieć, kto to. W końcu byłem prywatnym detektywem.

– Whisky na kamieniach.

Powoli uniosłem głowę, zaraz potem w górę powędrowały brwi. Była jak perła. Zdawała się promieniować wewnętrznym blaskiem, który zamieniał tę podłgą budę w najpiękniejsze miejsce na ziemi.

Czyżby wreszcie miało mi się poszczęścić?

– Kamieniach? – zdziwiłem się. Oczekiwała diamentów?

– Whisky z lodem, podwójną od razu. Po co marnować czas – powiedziała, obserwując mnie spod długich, grubych rzęs.

Wstałem, wzdychając ciężko. Moje kości nie były już tak dobre jak kiedyś. Czasem miałem wrażenie, że ledwo unoszą rosnący ciężar ciała, bo każdego ranka karmiły mnie bólem, który ugasić mogła tylko ciężka garść piguł. Bar zatańczył mi w głowie, jednak jakoś dotarłem do lady.

Moje palce biegały po blacie, kiedy czekałem, aż Samuel skończy nalewać piwo koleśowi, który chyba z trudem dostrzegał kufel.

– Co będzie, Ezra? – zapytał wreszcie. Biała ścierka fruwała, kiedy wycierał nią szklaneczkę do whisky.

– Lód ze szkocką na trzy palce.

– Dobra – potwierdził Murzyn. Poprawił na głowie zniszczony beret, który nosił od dziesięciu lat, od kiedy zaczął łysieć. – Nie wypijesz swojej Wróżki?

– Myślę o tym.

– Dobrze dla ciebie. Pomyśl. – Postawił otuloną papierową serwetką szklankę na barze, a ja w zamian rzuciłem srebrnego dolara. – Nie obraż się, ale wolałbym cię już tu nie oglądać.

Nie tylko ty, Sam. Nie tylko ty.

Rozpięta płaszcz, blady dekolt zabłyszczał w świetle lampy. Wyspa skarbów, do której nie miałem szans dotrzeć. Zdjęła kapelusz i położyła go

na stole obok mojej wysłużonej Fedory. Rude loki rozpełzły się jak płomień.

– Widziałam pana przed wejściem do klubu...

– Ezra, mów mi Ezra. Wszyscy tak robią.

– Byłeś w klubie.

– Nie dosłyszałem twojego imienia.

– Delila – rzuciła prędko. Ledwie zrozumiałem. – Widziałam, że byłeś na spotkaniu tych żalonych pijaków.

– Przyprował mi tam przyjaciel.

– A teraz jesteś tutaj. W barze. Wśród żalonych pijaków.

– Do baru przyszedłem sam. A ty?

– Ja?

– Ty też jesteś tutaj. Dlaczego przyszłaś? Z pewnością są lepsze lokale dla dam. Śledziłaś mnie?

– Masz coś w sobie.

– Rozumiem. Jestem tak śliczny, że nie potrafiłaś się oprzeć.

Odsunęła się, rozsiadając wygodnie i prezentując kształny biust. Gdybym był młodszy, spuściłbym wzrok, jednak jestem stary, zmęczony, a widok tej parki to najlepsze, co spotkało mnie od wielu tygodni. Nie przeszkadzały jej moje spojrzenia. Sięgnęła do kieszeni świetnie skrojonej marynarki i wyciągnęła elegancką papierośnicę zdobioną delikatnymi rytami. Lśniaca, białe szkło, wiele godzin ręcznej roboty. W środku, ułożone w rząd, wąskie, damskie papierosy pachnące tytoniem i perfumami. Wyciągnęła to cudo, więc się poczęstowałem, rad, że mogę odpocząć od mieszanki sprzedawanej przez Cyganów z Brudnego Mostu. Wydęcie purpurowych ust było jedynym komentarzem do braku manier, którym się popisałem. Użyła własnej zapalniczki.

– Jesteś silnym mężczyzną – mówiła, strzepując popiół do popielniczki.

– Dzisiaj nie ma wielu takich.

Co rano oglądałem w lustrze własną głowę. Nieudane dzieło chromego czeladnika. Grube, toporne rysy, sieć blizn w miejscach, gdzie cmoknęła mnie masa różnych narzędzi, od cegły po metalową rurkę. Siwe włosy ścięte prawie równo ze skórą, łyse miejsce z boku głowy, gdzie ktoś ożenił mi kosę. Na ulicy porządni ludzie przechodzili na drugą stronę, kiedy mnie widzieli; nie umykali z drogi tylko pijacy, ślepi albo ci, którym już wszystko jedno.

Byłem za stary na złudzenia.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Co byś powiedział, gdybym sprawiła, że przestałbyś pić? – odpowiedziała pytaniem. Pytaniem nie na miejscu.

– To śmieszna propozycja dla kogoś, kto siedzi tam, gdzie ja. – Wodziłem po niej wzrokiem bez zażenowania. Skoro przyszła do takiej dziury, musiała być przygotowana na podobne traktowanie.

– Nie lubisz przyjmować pomocy. – Koła dymu układały się nad naszymi głowami jak paciorki różańca, zanim docierały do chmury pod sufitem. Wodziła palcami po brzegu szklanki: blade pająki tkające gniazdo. – Siedzisz w tym samym miejscu od dłuższego czasu. Oglądasz kieliszek absyntu, obok leży łyżka, cukiernica... Nie pijesz.

– Piję, kiedy mam ochotę na picie.

– I czekasz, aż cię najdzie? Aż nie będziesz się mógł powstrzymać?

– Czego ty właściwie chcesz? – Zgasilem papierosa. Zza pazuchy wyciągnąłem paczkę wykałaczek. Ratująca życie sztuczka, gdy muszę oszczędzać mieszankę, bo nie wiem, kiedy stać mnie będzie na nową partię.

– Proszę. – Czytała mi w myślach. Poczęstowała następnym eleganckim papierosem, zanim zdążyłem wetknąć wykałaczkę w kącik ust. – Znam cię, Ezra. Potrzebuję właśnie kogoś takiego.

– Potrzebujesz starego pijaka.

– Ezra... Zamknij się na chwilę, dobrze? – Umiała ze mną postępować. Uniosłem ręce w geście poddania. – Jak powiedziałam, znam cię. Wiem

wszystko o twoim problemie.

Spojrzała wymownie na stojący przede mną kieliszek.

– Tutaj wszyscy mają problem. – Wzruszyłem ramionami.

– Miałeś się zamknąć, chyba to ustaliliśmy? – Wyszczrzyłem zęby. W tamtej chwili wziąłbym ją na stole, mocno. – Grzeczny chłopczyk. – Posłała mi czarujący uśmiech.

Złapałem za łyżeczkę – pamiątkę z dawnych, lepszych czasów, kiedy jeszcze dla wielu ludzi cokolwiek znaczyłem. Prezent na dziesiątą rocznicę pracy w policji.

Zdjąłem pokrywkę z cukierniczki i nagarnąłem płaską porcję, następnie zanurzyłem łyżeczkę na moment w absyncie i zapaliłem, przyglądając się, jak delikatny, niebieski płomień ogarnia słodycz, jak ją topi i sprawia, że ścieka wydrążonymi dziurkami.

– Wolisz pić, niż pracować – zauważyła. – Zielona Wróżka sprowadziła cię na dno, ale nie potrafisz jej odmówić.

– To moja jedyna kochanka. Chcesz zająć jej miejsce?

– Do klubu, na spotkanie grupy przyprowadził cię przyjaciel. Gliniarz, twój dawny partner. Zaprowadził pod wejście i przypilnował, żebyś zamknął za sobą drzwi. Ale ty uciekłeś. Nie umiałeś usiedzieć, kiedy kolejny frajer wędrował do mównicy, żeby opowiedzieć o swoim problemie. Skręcało ci flaki, gdy słuchałeś tych słabeuszy, potrzebujących wsparcia, nieumiejących pokonać bólu.

Mocno zamieszałem łyżeczką w kieliszku, a potem uniosłem go w górę, pozwalając, żeby światło lamp dało nura w mętny płyn. Karmel rozbłysnął jak rozrzucone diamenty.

– Dobrze mieć wielbicielek.

– Uciekłeś tylnym wyjściem i przyszedłeś tutaj. Do baru, żeby znowu się napić.

– Ta. – Pociągnąłem solidny łyk. Gorąco rozlało się po moim ciele i poczułem, jak znika napięcie mięśni, wraca spokój. – Zdrowie kolejnego

przegranego frajera.

– Mogę sprawić, że wszystko odzyskasz.

– Jasne. Jesteś dżinem i spełnisz moje życzenie, jeśli tylko odpowiednio cię potrę.

– Nie ma dżinów. – Uśmiechnęła się delikatnie, prawie niezauważalnie. Jej dłoń powędrowała ku mojej, zamknęła się na niej. – Jestem za to ja.

Coś sprawiło, że spojrzałem na kieliszek. We wnętrzu zamiast absyntu wiły się niewielkie, zielone węże. Zakończone ostrymi kłami paszcze syczały, drwiąc, że tak bardzo potrzebuję ich całusów. Jeden zaczął wspinać się ku brzegowi naczynia. Cofnąłem rękę.

– Mogę sprawić, że przestaniesz pić. Bez próśb i poniżenia, wystarczy jedna drobna przysługa, a będziesz wolny. Wrócisz do pracy.

– Skarbie, żeby życie było takie proste...

– Umiem czynić cuda.

Położyła palec na papierośnicy. Na pomalowanym krwisto paznokciu zapęłgały błękitne ogniki... A może było to złudzenie. Delila wodziła po eleganckich rytach w niemalże erotyczny sposób, wędrowała wydrążonymi wiele lat wcześniej drogami, aż wreszcie nacisnęła pudełko i jednym zgrabnym ruchem wyciągnęła drugą papierośnicę z pierwszej, jakby wysuwała kartę z talii. Stworzyła idealną kopię oryginału.

– Jak w świętej księdze. – Oblizwała usta. – Rozmnożył ryby. Chleb. I tak dalej.

Otworzyłem kopię z cichym trzaskiem. Wewnątrz brakowało nawet trzech papierosów, które zdążyliśmy spalić. Kanciaste znaki, układające się w mozaikę, również nie różniły się od tych zdobiących oryginalne pudełko.

– To prezent, żebyś we mnie uwierzył.

Wyciągnąłem jednego i zapaliłem na próbę. Ten sam delikatny, jedwabisty smak rozlał się po podniebieniu, delikatnie umościł w płucach.

– Potrafię dużo, dużo więcej – oświadczyła. Położyła na stole pękata kopertę z szarego papieru. – W środku znajdziesz pieniądze, zaliczkę.

– Drugie tyle po wypełnieniu zadania? – zakpiłem.

– Tak. – Była śmiertelnie poważna. Jej szmaragdowe oczy wpatrywały się we mnie intensywnie. – W kopercie jest zdjęcie pewnego mężczyzny. Starca. Barnaby. Znajdziesz tam jego aktualny adres zamieszkania i rysunek przedmiotu, który dla mnie odzyskasz.

– Za takie rzeczy ludzie idą do więzienia.

– Tylko jeśli ich złapią, a nie widzę tutaj żadnych gliniarzy. – Rozejrzała się, jakby rzeczywiście jeden z moich dawnych kolegów miał wychylić się zza żaluzji albo wyskoczyć zza baru. – Jesteś za to ty, Ezra.

– Jestem prywatnym detektywem. Nie oprychem do wynajęcia.

– Czy to jakaś różnica? – Uśmiechnęła się kącikiem ust, oczy pozostały zimne. – Nie w tym mieście, nie w tych czasach.

Dopiłem absynt, który znów stał się alkoholem. Ułożyłem dłonie na blacie stołu. Nie drżały jak wcześniej.

– Jak cię znajdę? – zapytałem wreszcie.

– To ja znajdę ciebie.

Trzeci dzień na czatach jest zawsze najgorszy. Mija pierwsze napięcie związane z nową robotą i zaczynam się nudzić.

Siedziałem w fotelu o rozprutym brzuszysku, a wystające z siedziska sprężyny boleśnie wrzynały się w tyłek. Zakurzona draperia była moją kochanką, przytuloną do policzka, kiedy w ciemności wynajętego pokoju wypatrywałem Barnaby. Znałem każdy fragment budynku po drugiej stronie, pamiętałem każdą z desek, którymi zabito okna na parterze, oraz ułożenie zasłon w oknach na pierwszym piętrze. Kiedy zamykałem oczy, widziałem krzywe mordy gargulców przycupniętych na dachu, łypiących smutno na mnie i na przechodniów.

Nowiutki czerwony słup ogłoszeniowy z rozsypującą się padliną budynku, przed którą został ustawiony, tworzyły przedziwną parę. Wyglądało to jak plakat burdelowego artysty, chcącego wyeksponować zachwalaną dziwkę. Coś nowego i zadbanego z czymś starym i brzydkim.

Takie rzeczy po prostu do siebie nie pasują. Obok stał jeszcze kiosk z gazetami, dalej mały sklepik z żarciem. I to wszystko.

Trzeciego dnia znałem na pamięć cały brudny pejzaż, który stał się moim domem, lecz nadal musiałem czekać na okazję.

Stary Barnaba prawie nie opuszczał domu. Jedynym wyjątkiem były poranki, kiedy schodził na dół do stoiska z prasą. Poruszał się o dwóch kulach, wsparty na nich tak ciężko, że wyginały się, jakby miały zaraz pęknąć. Nogi wsadzone w metalowe szyny postukiwały przy każdym kroku. Był wysoki i chudy – widząc go pierwszy raz, pomyślałem, że byle podmuch wiatru zabije dziada. Złamię jak patyk.

Liczyłem, jak długo zajmuje mu powrót. Dwieście-dwanaście, dwieście-trzyznaście, dwieście-czternaście... Nie dość długo.

Jego mieszkanie zajmowało całe najwyższe piętro budynku. Prawie dwieście metrów kwadratowych – za dużo, żeby podczas nieobecności starca znaleźć przedmiot, którego potrzebowała Delila. Nie sądziłem, żeby Barnaba trzymał go na widoku. Musiałem czekać.

Minął kolejny dzień, potem następny... Dzieliłem je pomiędzy pobliski diner a zapchlony pokój, między obserwację a krótkie sny przepełnione koszmarami o krwi i cierpieniu, o żywym ciele złączonym ze stalą. Złożyłem je na karb wyrzutów sumienia.

Jadłem dobrze i syto, pozostawiałem trzeźwy na tyle, żeby być w każdej chwili gotowy do akcji. Paliłem dużo. Etui Delili nappełniało się w cudowny sposób, kiedy tylko kończyłem ostatniego papierosa, starczyło je zamknąć, otworzyć, i można było palić od nowa. Prawdziwa magia, coś równie rzadkiego jak czarna perła albo miłość.

Czas przesypywał się przez palce jak ziarenka piasku.

Piątego dnia nie wyszedł po gazetę. Nastąpiła noc, a ja musiałem podjąć decyzję. Czekać kolejny dzień czy może spróbować od razu? Wiedziałem, że starzy ludzie z rzadka odstępują od codziennej rutyny; przypuszczałem, że kopnął w kalendarz. Poczulem, że czas przestał być moim przyjacielem,

a rozkładające się zwłoki prędko zmuszą sąsiadów do chwycenia za telefony. Obrabianie nieboszczyków niosło znacznie mniejszy ładunek ryzyka niż krojenie spitych frajerów w zapluty, zarzyganych knajpach albo wyciąganie kasy od neptków dość głupich, żeby brać pożyczki u bukmacherów z powiązaniem – pocieszyłem się.

Założyłem swoje „robocze” ubranie: czarne spodnie i sweter, rękawice z czarnej skóry, które od częstego używania odbarwiły się na czerwono i wytarły, zaś kapelusz zamieniłem na kominiarkę. Za pasek schowałem krótką, giętą pałkę, która została mi po pracy w policji, oraz wysłużony rewolwer z przetrąconym celownikiem.

Pochylony, przemknąłem ulicą, od motelu do zamkniętego nocą stoiska z gazetami. Zaczaiłem się pod daszkiem, spoglądając w okna na piętrze. Były ciemne.

Wszedłem do środka. Skoncentrowałem się i wyczarowałem nad głową niewielki płomyk, mający oświetlać drogę.

Nie wspominałem, że wcześniej byłem na parterze. Zajrzałem tu na kilka chwil, ale to wystarczyło, żeby zapamiętać rozmieszczenie pokoi i schodów. Dlatego teraz szedłem pewnie, gotów w każdej chwili zdusić ogień w dłoni.

Wchodziłem na górę, nadstawiając uszu. Było cicho, zbyt cicho jak na mój gust. Stare schody, choć wyglądały, jakby zaraz miały się rozpaść, nie wydawały dźwięku, nawet nie wzdychały pod moim ciężarem. Na poręczach wyczuwałem sypki nalot.

Kurz – zauważyłem, przysuwając rękawicę do światła.

Wnętrze budynku sprawiało wrażenie przeznaczonego do rozbiórki.

Dlaczego jest tak cicho? – zastanawiałem się wciąż.

Dom powinien trzeszczeć, schody skrzypieć, drewno odkształcać się pod ciężarem milionów kroków, które latami stawiali tutaj ludzie.

Dłoń odruchowo powędrowała ku rękojeści rewolweru, jednak szybko zmieniłem zdanie. Przecież w tym domu nie przebywał nikt poza starcem.

Wyciągnąłem zza paska gumową pałkę.

Na piętrze było równie cicho, jeśli nie ciszej.

Przytłumiłem płomyk na tyle, na ile potrafiłem, żeby nie zgasł. Przypominał teraz świetlika fruującego wokół mojej głowy. Cienie zgęstniały wokół, jakby tysiące mrocznych postaci czekało na dogodną chwilę, żeby rzucić mi się do gardła. Prawie czułem ich mroźne szpony.

Stąpałem ostrożnie, starając się nie hałasować, chociaż myślę, że równie dobrze mógłbym tupać i skakać, a niewiele by to zmieniło. Podłoga milczała, odgłos moich kroków nie niósł się po pustym korytarzu, jak powinien.

Podobnie cicho bywa, kiedy ma się stać coś niedobrego.

Drzwi wyłoniły się z ciemności. Jeżeli rozmieszczenie pokoi było podobne do tego na parterze, to za nimi czekało na mnie mieszkanie Barnaby, pewnie już zimnego trupa. Oczywiście przy założeniu, że starzec musiał jeść i nie był jakimś cholernym joginem czy innym dziwactwem.

Robienie zdjęć niewiernym mężom, wymuszenia, pobicia, a teraz włam do domu jakiegoś dziadka. Ciężko związać koniec z końcem w tych podłych czasach.

Nacisnąłem delikatnie klamkę, przygotowany na skrzypnięcie albo na stuknięcie zapadki zamka. Nic podobnego, drzwi ustąpiły cicho. Zawiasy jak świeżo naoliwione.

Gdybym wierzył w duchy, z pewnością do tej pory wybiegłbym stamtąd z krzykiem. W takich warunkach wyobraźnia potrafi płatać figle. Na szczęście nie należałem do tej bandy ezoterycznych kretynów, którzy zdobywali ostatnimi czasy popularność wśród burżujów. To jest, wśród zamożnych i poszukujących obywateli.

Tylko dlaczego włoski na karku stanęły mi dęba?

Pieprzyć to! – postanowiłem, że zaryzykuję i podkręciłem moje magiczne światełko na tyle, na ile starczyło sił.

Biała fala mojego prywatnego światła rozlała się po pomieszczeniu. Mocniej złapałem gumową pałkę, stanąłem w rozkroku, pochylony, przygotowany na ewentualny atak starca poruszającego się o kulach.

Pomieszczenie było puste. Barnaba nie przywiązywał wagi do wystroju – krzesło stojące pośrodku było jedynym meblem. Cienie uciekające przed moim płomykiem nie miały się gdzie skryć.

Na przeciwległej ścianie dojrzałem kolejne drzwi i już szedłem w ich stronę, kiedy moją uwagę przykuło coś dziwnego. Przykucnąłem przy krześle, metalowym i bardzo solidnym. Pośliniłem czubek palca, po czym przeciągnąłem nim po poręczy i uniosłem do ust. Krew – potwierdziłem, czując na języku znajomy cierpki smak. Nie pomyliłbym go z niczym innym, wystarczająco często czułem go w ustach.

Schowałem pałkę za pasek i zamiast niej wyciągnąłem rewolwer. Odciągnąłem kurek i gwałtownie otworzyłem kolejne drzwi, uznając, że czas podchodów minął.

Jednak spokojnie... Nie wbiegłem do środka, a przycupnąłem za ścianą i wychyliłem się ostrożnie dopiero po chwili cierpliwego nasłuchiwania. Lata szkolenia w akademii, szmat czasu spędzony na ulicy... Nic nie mogło zabić wyuczonych odruchów. Odruchów, które wiele razy ratowały mi życie. Jak mówią, nie nauczysz starego psa nowych sztuczek. Zostanie tym samym psem, nawet jeśli wypieprzysz go z domu.

Kolejny pokój był pusty. Stara szafa stęknęła, kiedy padł na nią mój wzrok. Westchnąłem z ulgą – wreszcie dom wydał jakiś dźwięk.

Nie miałem już dokąd iść. Według moich obliczeń powinno być jeszcze jedno pomieszczenie, jednak otaczały mnie tylko gołe ściany. Żadnego wejścia, ukrytej skrytki, nic. Szafa i kanapa, to wszystko.

Cholera. Dziad gdzieś zniknął. Spaprałem prostą robotę. Pięknie.

Usiadłem zrezygnowany na kanapie. Była twarda. Chociaż rozłaziła się w oczach, pruć i sypała, chociaż trzymała się w kupie na słowo honor – była twarda. Coś znajdowało się w środku. Otworzyłem ją prędko, kierując

rewolwer na schowek we wnętrzu mebla, i zamarłem. Mój ogień rozbłysnął mocniej, jakby odpowiadając na zaskoczenie.

W środku leżała dziewczyna. Naga jak po urodzeniu. Kucnąłem, przykładając stary zegarek do jej ust i pilnując jednocześnie, żeby płomień nie przypalił mebla. Z pewnością była martwa, jednak jeżeli czegoś mnie nauczyło kilkanaście lat pracy w policji, to ostrożności – zawsze lepiej się upewnić. Dłonie miała skrępowane, powrozy werżnęły się tak głęboko, że prawie zrosły ze skórą. Poruszyłem więzy czubkiem lufy, ale ani drgnęły. Jej małe piersi sterczały, przypominając boleśnie, że długo nie miałem kobiety.

Zabawne, już wtedy lubiłem myśleć, że siedzi we mnie ktoś inny i że to nie do siebie czuję obrzydzenie.

Odgarnąłem włosy dziewczyny. Widziałem ją wcześniej. Mieszkała w mojej okolicy. Była alkoholiczką i była brzydka, naprawdę brzydka. Jeśli ktoś ją wziął, zanim została zamordowana, sam musiał być pijany w sztok.

– Co do diabła?

Zauważyłem wypalony symbol krzyża w okręgu. Ktoś przysmażył dziewczynę, kiedy jeszcze żyła, a ja wiedziałem nawet, czego użył. Wystarczająco długo wpatrywałem się w rysunek przedmiotu, który miałem odzyskać dla Delili, żeby nabrać pewności.

Światelko zamrugnęło. Dochodziłem do limitu swoich żalonych możliwości. Postanowiłem, że sprawdzę jeszcze szafę, i wynoszę się.

Przygotowałem rewolwer, złapałem za jedno ze skrzydeł mebla. Nacisnąłem klamkę. Coś trzasnęło i poczułem napór z wnętrza. Oba skrzydła otworzyły się z hukiem, niemalże wylatując z zawiasów; ja upadłem do tyłu. Ostry ból w plecach – trafiłem w jakąś wystającą z podłogi deskę. Zdążyłem wypalić, kiedy dwóch typów, skrytych w meblu, skoczyło na mnie. Nie trafiłem. Szarpałem się, ale byli zbyt ciężcy, a ja nie miałem dość miejsca, żeby porządnie uderzyć. Miotalem się jak zwierzę, czekając tylko, aż wbiją mi nóż w bebechy. Cios jednak nie następował.

– No pięknie – warknąłem, zrozumiawszy wreszcie, co się stało.

Oddychałem ciężko, ale byłem już spokojny, chociaż wściekły na tę amatorszczyznę, którą odwaliłem. Z trudem odsunąłem trupy i wstałem, stękając z bólu. Dwóch mężczyzn. Nagich. Z wypalonymi krzyżami na klatce piersiowej.

– Znakowani jak konie. – Splunąłem, masując obolałe miejsce.

Usłyszałem stuknięcie za plecami. Odwróciłem się w ostatniej chwili, żeby zauważyć starucha pędzącego na mnie z nienawiścią wymalowaną na twarzy tak wyraźnie, że byłem pewien, iż zobaczę ten obraz jeszcze nie raz przed zaśnięciem. Wyglądał jak opętaniec. Napchany wścieklizną po uszy. Dopiero uwolniony z łańcuchów, stęskniony, żeby wrazić połamane zębiska w mięso. Wymachiwał kulami przyczepionymi do rąk, jakby to była broń. Jego połamane nogi stękały i chrobotowały przy każdym kroku, a szyny i pasy, które trzymały to wszystko w kupie, natężyły się, jakby zaraz miały pęknąć.

Uchyliłem się w ostatniej chwili – jedna ze szwedek świsnęła mi nad głową. Trafiała w płomyk, rozbijając go na dziesiątki małych iskier. Jak miniaturowy fajerwerk. Przy drugim ciosie nie miałem tyle szczęścia. Poleciałem na ścianę. Resztki magicznego światła rozsypały się po pokoju poczęły przygasać. Zapadała ciemność.

Uniosłem się na łokciu i wystrzeliłem, zanim zdążył mnie znowu dopaść. W rozbłysku dostrzegłem zniekształconą gębę Barnaby, wypisana na niej wściekłość nie pozostawiała złudzeń – albo on, albo ja. Wystrzeliłem jeszcze trzykrotnie w stronę starego i naprawdę nastąpiła ciemność.

Leżałem.

Oddychałem ciężko.

Mój oddech był jedynym dźwiękiem.

Wiedziałem, że mam jeszcze jeden nabój w rewolwerze, nie musiałem liczyć. Stara szkoła. Nigdy tego nie robiliśmy. Naciskaj tylko pięć razy, aż nie upewnisz się, że jesteś bezpieczny. Trzymaj ostatni nabój do chwili,

kiedy zaczniesz przeładowywać. Słowa pierwszego sierżanta brzmiały w mojej głowie, chociaż facet nie żył od lat.

Zaczęło jaśnieć. Pomyślałem, że straciłem rachubę czasu i słońce zaczyna wstawać, ale się pomyliłem. Stara kanapa płonęła. Widocznie upadła na nią iskra.

W blasku rosnących płomieni zobaczyłem, że Barnaba wstaje. Ciężko wspierał się na szczudłach, toczył wściekle krwawą pianę. Jego czarne oczy popatrywały wokół, jakby dopiero się obudził.

Poderwałem się, uniosłem rewolwer, celując prosto w czerep maniaka. Dłoń mi drżała – nie bałem się, po prostu brakowało mi siły. Moje ciało było jedną wielką mapą bólu.

– Chodź tu, kutasie – wycodziłem.

Warknął. Nie odpowiedział, ale warknął jak zwierzę. I rzucił się na mnie. Znow pędził na połamanych kończynach, podobny do śmiertelnie ranionego zwierzęcia. Dzikiego psa albo postrzelonej hieny. Pomyślałem, że tak jak ja w tamtej chwili czuje się ktoś, kto stanie naprzeciwko rozpędzonej lokomotywy.

Poczekalem, aż będzie naprawdę blisko i wypaliłem. Mózg wyleciał tyłem z fragmentami czaszki, ale i tak gość walnął we mnie z rozpędu dość mocno, by nasze ciała wgniotły dziurę w starej ścianie.

Po dłuższej chwili zebrałem się do kupy. Taki już jestem. Nieważne, jak bardzo dostanę po ryju, zawsze wstaję.

Płomienie na kanapie sięgały mi już do pasa. W pomieszczeniu było jasno jak w dzień, dzięki czemu zauważyłem dziwne załamanie światła przy jednej ze ścian. To wiele wyjaśniało. Odnalazłem ukryte pomieszczenie.

To, co zobaczyłem w skrytce, nie zrobiło już na mnie żadnego wrażenia. Śmierdziało jak w grobie; napchał tam trupów jak szprot do puszki.

Coś zabłysło w rogu niewielkiego pokoiku, pomiędzy truposzami: żelazny przedmiot długości przedramienia, którego poszukiwałem.

– Przepraszam, ja tylko na chwilę – rzuciłem, przeciskając się między zmarłymi. Czułem, że wraca mi humor.

Wychodząc, usłyszałem jęk starca. Niewiarygodne, ale Barnaba jeszcze żył. Mogłem zostawić go na pastwę ognia, jednak nie byłem potworem. Zważyłem w dłoni ciężki przedmiot i pomyślałem o tych zabitych ludziach... O dziewczynie...

Uniosłem go nad głowę i uderzyłem. Później znowu. I jeszcze raz, aż stary przestał oddychać. Aż przestał wreszcie charczeć.

Musiałem się napić.

Stukot przywołał mnie do rzeczywistości. Przez półprzymknięte i polepione śpiochami oczy dojrzałem butelkę absyntu turlającą się pod stół. Łapała wpadające przez nieszczelne żaluzje promienie słoneczne, sycąc je kolorem, rozrzucając wokoło zielone plamy światła. Pijacki kalejdoskop.

Naciągnąłem na głowę koc, jednak natarczywe uderzenia przebijały i tę barierę, drenując tunele wprost do mojego mózgu. Myśl, że ktoś tak bardzo chciał zobaczyć zapitą mordę Ezry – podziałała trzeźwiąco. Pamiętając o miejscu, jakie zajmowałem i zajmuję w rankingu popularności mieszkańców tego miasta, jak najciszej sięgnąłem pod poduszkę, szukając rewolweru. Zagryzłem wargi, wstrzymując jęk bólu. Choć minęły dwa dni, pamiętki po randce z Barnabą nadal lubiły o sobie przypominać.

Namacalem znajomy kształt i wyciągnąłem broń, celując od razu w kierunku drzwi, w cień za przymgloną szybą opisaną słowem „oruiB”.

Zakląłem, widząc, że komory są puste. Od powrotu nawet nie załadowałem gnata, nazbyt zajęty ssaniem butelki. Czyżby przyszedł czas spłaty kredytu zaciągniętego na życie?

Zwlokłem się z łóżka, stopa zaplątała mi się w koc i runąłem jak długi na podłogę. Rewolwer wypadł mi z dłoni.

– Już otwieram. Chwila. – Starąłem się cały czas mówić. – Jeżeli to w sprawie tego pieprzonego żółtka z naprzeciwka, to nie miałem zamiaru łamać mu ręki. To był wypadek, choć sobie na to bękart zasłużył.

Doczołgałem się do płaszcza, wywracając krzesło, na oparciu którego wisiał, i sięgnąłem do kieszeni, szukając naboji. Kilka sztuk wypadło na podłogę. Chwyciłem garść, otworzyłem bęben, zacząłem wpychać jeden za drugim. Usłyszałem stuknięcie drzwi, wycelowałem rewolwer w tamtą stronę, ale nie domknąłem magazynku i naboje powypadały. Ledwie jeden pozostał; utknął zakleszczony do połowy w komorze.

– Ezra... – usłyszałem znajomy głos. W wejściu stał Pollock. – Jak ty wyglądasz? Co się stało?

– Nic.

– Dlaczego wyszedłeś ze spotkania?

Spojrzałem na niego spode łba, co miało starczyć za odpowiedź.

– Wiesz dobrze, że musisz tam chodzić. To jeden z warunków ugody.

Pozbierałem się z podłogi. Siadając, złapałem kubek z niedopitą kawą, a kiedy czarny płyn zalał moje gardło cierpkim smakiem, w duchu odetchnąłem z ulgą.

– Ezra, chłopie. Wiesz, za ile sznurków musiałem pociągnąć, żeby cię z tego wyciągnąć?

Świętobliwy z niego człowiek, każdemu pomoże. Cud prawdziwy, że nadal pracował jako glina, a nie radiowy kaznodzieja. Przysunął krzesło i usiadł naprzeciwko.

– Wiesz, że masz problem.

Kawa była paskudna.

– Jak ty wyglądasz?

– Bez wycieczek osobistych. Ja cię o to nie pytam? – zachnąłem się.

– Dzisiaj o dwudziestej. Jeżeli nie przyjdiesz, prokurator znowu zacznie się tobą interesować.

– Trzęsę się ze strachu.

Wstał. Podszedł do drzwi, zatrzymał się z ręką na klamce, odwrócony do mnie plecami. I zaczął gadać:

– Na litość Boską, Ezra. Wyciągam do ciebie rękę, próbuję pomóc, ale sam nie dam rady. Znamy się tyle lat... To ty wprowadziłeś mnie do pracy, wszystkiego nauczyłeś. Byłeś najlepszym policjantem, jakiego znałem.

Odwrócił się. Nerwowym ruchem poprawił kapelusz.

– Przestań się obwiniać... To był wypadek, nieszczęście.

Emma Tallin, lat dziewiętnaście.

– Dzięki, od razu czuję się lepiej. Wypadki chodzą po ludziach.

– Alkoholizm to choroba. To potwór.

– Każdy ma swojego potwora.

– Przyjdź na spotkanie. – Wzruszyłem ramionami. – Przyjdź, bo inaczej nie będę mógł ci dłużej pomagać.

– Jakiego ty masz potwora, Pollock? Nosi habit czy może ma gęsie skrzydła i gra na harfie?

– Do zobaczenia o dwudziestej.

– Alleluja. – Trzask drzwi sprawił, że prawie pękła mi czaszka.

Mylił się. Nie obwinałem się za śmierć tamtej dziewczyny. Emma Tallin, lat... Nie obwinałem się. Nie obwinałem się.

– Mam coś do załatwienia – powiedziałem do pustej przestrzeni i położyłem się spać.

Znalazła mnie, jak obiecała.

Na horyzoncie czarne zęby wieżowców pożerały słońce, a ja zwalczałem kaca szklanką lodowatej wódki. Cieszył mnie chłód tych procentów. Dzięki zaliczce od rudzielca mogłem na nowo puścić prąd do biura, więc znów działała lodówka.

Ślady walki zaczęły znikać. Ciemnoszare sińce zmieniały kolory jak na malarskiej palecie, żebra nie rwały już tak ostro, a mój oddech przestawał przypominać gwizd czajnika. Założyłem spodnie, świeżą koszulę, wyczyściłem broń i wsunąłem ją za pasek. Ogolony i wreszcie umyty, wyglądałem tak dobrze, jak tylko może wyglądać facet, któremu nos,

szczękę oraz chyba każdą z kości twarzy złamano w życiu przynajmniej raz.

Dochodziłem do siebie, a wraz z przemijaniem bólu wspomnienie Barnaby zacierało się. Może pięć, sześć lat temu obeszloby mnie, że go zabiłem, dzisiaj już nie. Dziadyga zasługiwał na to. Dostał karę, oszczędziłem kasę podatników, a jeszcze miałem za co się urznąć – myślałem, że świat wreszcie przestał kopać mnie w tyłek.

Zimno butelki wódki niesionej do stołu, przy którym czekała dziewczyna, przywołało mnie do teraźniejszości.

Delila splotła nogi, jak tylko dama potrafi. Pod pajęczą siateczką pończoch zgrabnie zarysowały się idealnie wyrzeźbione łydki. Siadając, rozpięła guzik garsonki – może w biurze było za ciepło, bo nie sądziłem, żeby chciała zrobić na mnie wrażenie. Role między nami zostały już ustalone.

– Masz to? – zapytała.

Czułem, że nie może usiedzieć na tym seksownym kuperku. Wykrzywiłem usta w uśmiechu i skinąłem głową w stronę łóżka. Mimowolnie zerknąłem na budzik stojący obok: do dwudziestej niespełna pół godziny. Jeszcze mógłbym zdążyć na spotkanie z Pollockiem.

– Gdzieś się spieszysz? – Uniosła brwi.

– Nie wiem. Może – odpowiedziałem, pociągając solidny łyk rozgrzewającego trunku. – Chyba że zależy ci, aby mnie zatrzymać na dłużej, paniusiu.

– Chcesz czegoś spróbować, Ezra? – Drwiący, purpurowy uśmiech był zagadką. Zachęcał czy ostrzegał?

– Skądże, jestem rycerzem w lśniącej zbroi. – Uniosłem kąciki ust w parodii uśmiechu. Złe przecucie musnęło mnie zimnymi palcami po grzbiecie, każąc mi się pilnować.

– I dobrze dla ciebie.

– To twoje zdanie.

Podszedłem do łóżka i odsunąłem koc. Usłyszałem jej westchnienie, kiedy wyciągałem to ustrojstwo. Przedmiot pożądania piękności wyglądał niespecjalnie. Ciężki i toporny, dzieło kogoś wyjątkowo niewprawnego albo początkującego w rzeźbiarskim fachu, na dodatek zupełnie nieoryginalne: dwa wijące się węże, jak na kaduceuszu, trzymające w pyskach krzyż wpisany w okrąg. Coś takiego mógłbym najwyżej postawić przy kominku, żeby służyło za pogrzebacz.

– Pieczęć. – Głos Delili syciło ledwie skrywane podniecenie.

Usiadłem przy stoliku, kładąc pośrodku blatu dziwaczny pręt. Znowu potrzebowałem rozgrzewającego tchnienia wódki w brzuchu, więc nalałem sobie pół szklanki. Delila wypielegnowaną dłonią powstrzymała mnie od uniesienia naczynia. Wzdrygnąłem się, czując, jak prąd przepływa po mojej skórze.

– Nie pij. Coś ci obiecałam, pamiętasz?

– Lekarstwo na mój „problem”? – Delikatnie wyswobodziłem się z jej uścisku. – Pamiętam, ale nadal wołałbym forszę.

Uśmiechnęła się. Może ciut smutno, kto wie? Nie jestem specjalistą, jeżeli chodzi o takie niuanse.

Odchyliła się na krześle, sięgając do stojącej na ziemi torebki. Babka, która mnie niańczyła, zawsze powtarzała, że dama nie kładzie torebki na podłodze, bo wtedy traci pieniądze. Czyżbym nie obcował z damą?

– Proszę – powiedziała, kładąc kopertę. Jeszcze grubszą od tej, którą dostałem wcześniej.

Zawahałem się, a ona to dostrzegła.

– Może wolałbyś uwolnić się od swojego problemu?

Uniosłem w górę szklankę, jakbym miał zamiar wypić za jej zdrowie. We wnętrzu naczynia tańczyły żółte kłosa światła, załamując się na tłustych odciskach moich palców. Za oknem słońce zostało pożarte, a ja zdałem sobie sprawę, że nie pamiętam, kiedy włączyłem lampę.

– Najpierw porozmawiajmy – zdecydowałem.

Gdzieś w środku, w bebeczach, nadal siedział gliniarz, detektyw. Ciekawski mały gość, który za wszelką cenę musiał poznać prawdę.

– Co to jest? Płacisz dużo pieniędzy. Zbyt dużo za zwykły pogrzebacz.

Zaśmiała się. Szczerze. Perliście. Tak pięknie, że mógłbym słuchać tego śmiechu wiecznie. Do diabła, sam miałem ochotę jej zawtórować. Była naprawdę przepiękna, kiedy te wyrzeźbione w marmurze rysy wypełniała radość.

– To pieczęć – oznajmiła, poważniejąc nagle. – Prawdziwa rzadkość, jeden z trzech istniejących egzemplarzy.

– Dobrze płacisz. Zbyt dobrze, ale pewnie nie najwięcej.

– Mylisz się. – Zamknęła oczy. – Nie ma konkurencji, o istnieniu tych przedmiotów nie wie nikt... stąd.

– Pewnie są tacy, którzy mogliby dać więcej.

– Nie płacą zielonymi. Mają inną walutę. Walutę, której...

– Tak sobie myślę, że są ludzie gotowi dla tego przedmiotu zabić – przerwałem.

– Zabić? Nie zgodzę się. Są ludzie gotowi zrobić dla tych pieczęci o wiele więcej. Poświęcić każdego i wszystko, co kochają. Po prostu. Bez mrugnięcia okiem.

– Chyba wczoraj pozbyłem się jednego z nich.

– A więc Barnaba gryzie ziemię? To bardzo niedobrze dla ziemi. – Była stworzona do grzechu, nie do żartów. – Wiedziałaś, że mnie nie zawiedziesz.

– Do moich obowiązków weszło więc zabójstwo. Zabójstwo i kradzież.

Kiwnęła głową.

– A płacisz tylko za kradzież.

– Twardy z ciebie negocjator. – Westchnęła.

Nagle zrozumiałem, że udaje. Że każdy gest, którym podpieraa wypowiadane zdanie, jest wystudiowany i wyuczony. Jakby cały czas grała.

– Mogłabym zapłacić więcej, dużo więcej. Forsa nie przedstawia dla mnie żadnej wartości. Kiedy jest jej dość dużo, przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie.

– Tym bardziej ucieszyłoby mnie, gdybyś podzieliła się z facetem, który dla forsy zaprzedałby duszę.

– Naprawdę nie potrzebujesz pieniędzy. Chcesz jeszcze jednej szansy od życia, chcesz odbić się od dna, wydostać z tego miejsca. – Z pogardą taksowała wzrokiem moje biuro.

– Dawno nie wyglądało tak dobrze – zaprotestowałem.

– Nie chcesz już być niewolnikiem szklanki, ale nie pozwalasz sobie pomóc. Dlaczego?

– To przez mój talent.

Uniosła brwi, pierwszy raz chyba szczerze zaskoczona.

– Mam talent do krzywdzenia ludzi. Wróg albo przyjaciel, to nie gra roli. Lepiej trzymać się ode mnie z daleka. – Moja powaga zaskoczyła ją. Otworzyła piękne oczka centymetr szerzej.

Przez dłuższą chwilę milczała, jakby rozmyślając nad czymś intensywnie. Mogłem podejść, wyciągnąć gnata i przyłożyć jej lufę do skroni, a nie zwróciłaby na to uwagi. Mógłbym pewnie zrobić co innego... Nie było jej tutaj, odpłynęła gdzieś daleko.

– Sprawię, że będzie dobrze – powiedziała, przerywając wreszcie ciszę. Na jej twarzy wykwitł uśmiech, tym razem jednak taki, że ciarki przebiegły mi po plecach. Coś kazało mi wstać i spieprzać jak najdalej.

– Barnaba miał dziwne hobby – zauważyłem niby mimochodem. W rzeczywistości zmierzałem do tego od początku rozmowy. – Używał twojego cudeńka do znakowania ludzi. Przypalał ich jak zwierzęta. Posiadał całą kolekcję ciał.

– Kretyn... Sam nie miał szans na powodzenie – mruknęła.

– Co ty powiesz? – Położyłem rękę na kolanie, a potem powoli przesunąłem ją w kierunku broni. Pomału wyciągnąłem rewolwer zza

paska, licząc na to, że blat zasłania mnie wystarczająco. – A kto miałby lepsze szanse?

– To chyba oczywiste. – Zaśmiała się. – Rozładuj broń i rzuć ją na podłogę.

– Myślę, że to nie byłby najlepszy pomysł. – Wycelowałem w rudowłosą.

– A ja myślę inaczej.

Potem powiedziała słowo, którego nie znałem.

Chciałem rozkazać, żeby położyła ręce na blat, kiedy zrozumiałem, że nie mogę się ruszać. Czułem się, jakby ktoś zamknął mnie we wnętrzu żelaznej dziewicy; jedyne, co mogłem zrobić, to patrzeć. Błady dym sączył się z porów mojej skóry, unosząc jak mgła. Otulał mnie jak szal, szczelnie i ciasno, trzymając w potrzasku.

– Widzę, że rozumiesz. – W jej dłoni zatańczyła papierośnica, ta sama, której używałem. – Nie bez przyczyny przez ostatnie dni karmiłeś się moim dymem.

Wstała z krzesła. Delikatnie ujęła pieczęć, uniosła ją w górę i przycisnęła do piersi, jak matka tuląca dziecko.

– Spisałeś się, Ezra.

Napinałem się niczym pasek po wigilijnej kolacji, ale zakłęcie nie ustępowało. Dym pełzał po mnie jak wąż po ciele egzotycznej tancerki. Byłem w pułapce, z której brutalna siła nie mogła mnie wydostać.

– Wkrótce będzie po wszystkim. – Cmoknęła mnie w policzek.

Zrzuciła ze stołu wszystkie znajdujące się nań przedmioty, usłyszałem brzęk tłuczonego szkła i poczułem wzbierającą złość. Razem z wódką upadła również koperta z moimi pieniędzmi. Oby alkohol nie zniszczył banknotów.

Położyła pieczęć na środku blatu, a potem wyciągniętą skądś kredą zaczęła wokoło rysować jakieś dziwaczne symbole.

– Pamiętasz Dzień Rudego Śniegu? – spytała nagle. – Musisz pamiętać, przecież z ciebie też czarodziej. Chociaż taki tyci. – Zrobiła znak palcami,

pokazując, jaki ze mnie karzełek.

– Niektórzy mówią, że tamtego dnia umarł Bóg, a cała jego potęga opadła na ziemię, rozdzielając się między ludzi. Inni twierdzą, że to wina rządu, jakiegoś nieudanego eksperymentu. Słyszałam też teorię, że w dzień śniegu pękła zasłona pomiędzy światem rzeczywistym a światem magii – mówiła, nie przerywając rysowania. – Wiele tych hipotez... Pewnie sam też masz jakąś. Nie wiem, co stało się naprawdę, i może nigdy się nie dowiem, jednego jednak jestem jednak: tamtego dnia, kiedy tysiące szczęściarzy otrzymało magiczne zdolności, pojawiła się garstka wybrańców. Ludzi, którzy usłyszeli głos Pana.

Wariatka. Takie moje szczęście, cholera.

– Uwolnijcie dzieci moje, rozkazał. – Wreszcie zakończyła rysowanie. Poprawiła włosy i wsunęła je za uszy. Jej długie, mocno pomalowane tuszem brwi przypominały czarne półksiężycy, a oczy lśniły taką żądzą, że gdyby nie zaklęcie wiążące, jeden z moich mięśni poruszyłby się na pewno. – Wiedziałam, że mi przekazał szczególną rolę. Czułam to w sercu.

Przepięknie. Zawsze wiedziałem, że zgubi mnie kobieta. Miałem wobec płci pięknej zbyt wiele skrupułów.

– Bo posiadam pewien specjalny talent. – Przysunęła się do mnie, aż poczułem jej zapach. Nie perfumy, kremy albo inne cuda używane przez kobiety, nie. Poczułem jej prawdziwy zapach. Była podniecona. – Kiedy bardzo chcę, umiem znaleźć wszystko. Zamykam oczy i widzę, gdzie jest to, czego potrzebuję.

Usiadła okrakiem na moich kolanach, przysunęła się niebezpiecznie blisko. Twarz Delili przy mojej gębie. Dzielił nas tylko dym.

– Okradł mnie. – Opar umykał przed jej dłońmi, kiedy przesuwiała nimi po moim ciele. – Akurat kiedy znalazłam jednego z potomków Pana. – Zręczne palce rozpinały guziki. – Barnabę zaślepiała chciwość. Chciał, żeby na niego spłynęła cała chwała – zachichotała. – Ale ja nie byłam głupia. Nie powiedziałam mu wszystkiego, więc szukał na oślep, biedaczysko.

Ostatni guzik ustąpił, rozchyliła koszulę i wstała. Pochyliła się nad pieczęcią, wyszeptała kilka niezrozumiałych słów, przypominających raczej radiowy szum niż ludzką mowę. Krzyż zatknięty w kole rozżarzył się złotym, nienaturalnym blaskiem. Wokół niego zaległa ciemność, jak gdyby pożądał światła tak mocno, że wysysał je z otoczenia, otaczając się mroczną aureolą.

– Szukał ciebie. – Dotknęła mnie rozpalonym przedmiotem. – Więc mu ciebie dałam, wiedząc, że nie mógłby skrzywdzić żadnego z potomków.

Chciałem krzyknąć, ale nie mogłem. Czułem smród palonej tkanki i czułem, jak krzyż wtapia się w moją pierś. Kiedyś oparzyłem dłoń wrzącą wodą. Tamten ból jawił się teraz jak niewinna pieszczota...

To był koniec. Powinienem był wtedy umrzeć.

Ale nie umarłem.

Kiedy odchodziłem w ciemność pośród potoków cierpienia, zobaczyłem, jak drzwi za plecami wariatki uchylają się i staje w nich postać rodem z koszmaru: uwięziony w metalowych szynach, podziurawiony jak sito starzec, który nie miał prawa żyć. A w ręce trzymał mojego partnera – ociekającego krwią. Pomyślałem wtedy, że go zabił, że Pollock nie żyje.

Kręgosłup przeszył kolejny sztylet bólu. Plecy wygięły się i pękły. W mojej głowie rozległ się inny, obcy głos...

Jakiś czas później przyglądałem się zmarszczkom na obliczu Zielonej Wróżki. Przez pasy żaluzji widziałem mokre od nocnego deszczu ulice i ludzi przeskakujących nad kałużami. Niebo często płakało ostatnimi czasy. Słyszałem warkot zmęczonych aut.

Drzwi otworzyły się nagle, wpuszczając do środka nocny ziąb i mężczyznę, którego bardzo dobrze znałem. Dostrzegłem spojrzenie Sama przy barze, pytające, czy wszystko będzie w porządku. Wyprostowałem się w fotelu. Sam, skąd mam wiedzieć, pomyślałem.

Pollock zamówił piwo i usiadł naprzeciw mnie. Był pocerowany jak trzydziestoletni kozuch, prawą rękę trzymał na temblaku, a spod kapelusza

smętnie zwisał koniec bandaża.

– Co tam masz? – Wskazał na kartonowe pudło, które ułożyłem na krześle obok siebie.

– Załatwiłeś? – zapytałem, zamiast odpowiedzieć.

– W porządku. Wracasz.

Pollock zamilkł. Wypił trochę piwa, ale nie smakowało mu, bo skrzywił się przeraźliwie.

– Stałeś się bohaterem. Podobno nawet chcieli ci dać medal, ale ze względu na przeszłość... Sam rozumiesz.

– Ta... – Kiwnąłem głową, nie spuszczać wzroku z kompana. – Znalazłem się w odpowiednim miejscu i czasie.

– Nie bądź taki skromny. Wcześniej jakoś nikt nie połączył zniknięć w tej okolicy w jedną całość.

– Byłem na miejscu. Wystawiłem się im na przynętę. To wszystko – kłamałem jak z nut. Tej wersji zamierzałem się trzymać.

– Mogłeś mi powiedzieć, że nad czymś takim pracujesz – zaczął, ale mu przerwałem.

– Uwierzyłbyś pijakowi? – Pytanie zawisło w powietrzu, nikt nie zamierzał na nie odpowiadać. – Miałem wtedy problem, wiemy o tym obaj. Ale to przeszłość.

Pollock zamilkł. Spojrzał wymownie na absynt, który czekał w kieliszku oplecionym moimi palcami, gotów do wypicia.

– Nie wypiję tego – wyjaśniłem. – To tylko taka gra.

– Prawda. Od kilku dni przychodzi, zamawia i zostawia. Gapi się na Wrózkę godzinę i wychodzi. – Sam, który musiał usłyszeć fragment naszej rozmowy, zakrzyknął, wychylając się zza baru. – Zastanawiam się, czy nie wlewać tego z powrotem do butelki.

– Dzięki, Sam – powiedziałem. – A teraz wracaj do tego sikacza, którego nazywasz piwem.

– Ssij gwoździa, palancie – parsknął.

Pollock wzruszył ramionami i jeszcze raz spróbował zawartości kufła. Po dwóch solidnych łykach skrzywił się, odstawił półpełne naczynie na stół, po czym wstał ciężko. Nałożył kapelusz i ruszył ku wyjściu.

– Ezra, powiem to, bo uważam cię za przyjaciela – stwierdził, stając przy drzwiach. – Raport w tej sprawie nie trzyma się kupy.

Wzruszyłem ramionami.

– Ale to już nieważne, bo wkrótce wracasz do służby. – Po tych słowach wyszedł, zostawiając mnie samego.

Uniosłem w górę Zieloną Wrózkę, czując jej ostry zapach drażniący nozdrza, rodzący obietnicę, której wcześniej nie umiałem się oprzeć. Przyłożyłem brzeg kieliszka do ust... I zaraz odłożyłem na stół, czując tępy ból w potylicy.

ON zaprotestował.

Chociaż minęło wiele dni, wciąż słyszałem trzask rozrywanej skóry i łamanych kości, kiedy po raz pierwszy wyłaził z moich trzewi. Pamiętałem przepelnioną podziwem twarz czarownicy i sposób, w jaki demon podziękował jej i Barnabie, zanim z powrotem wniknął w moje ciało, odbudowując je, jakby nic się nie stało. Przyszedł na nasz świat i nic nie mogłem zrobić, żeby temu zapobiec. A teraz jesteśmy zdani na jego łaskę.

Pamiętam policję i setki pytań. Głupią historyjkę, którą wymyśliłem na poczekaniu, a która jakimś cudem zadowoliła wszystkich słuchaczy. Miałem rzeszę trupów w domu starca, nieprzytomnego Pollocka... Być może to wystarczyło, ale niepokojąca myśl z tyłu czaszki nie dawała spokoju. Oni chcieli mi uwierzyć. A może – tego obawiam się najbardziej – musieli.

Odsunąłem szklankę ze wstrętem i spojrzałem w dół. Delikatnie uniosłem wieko pudła. Głowa Barnaby zamrugała z nadzieją.

Założyłem kapelusz, wsunąłem pakunek pod pachę i wyszedłem w noc.

Rozdział III – Piękny dzień i piękne panie

Słońce kładzie szare krechy cieni na ulicach. Zaspani, ziewający sklepikarze odwijają stalowe żaluzje kryjące rzędy błyszczących szyb, rozwijają markizy i rozstawiają kolorowe stragany. Robotnicy wychodzą na ulicę, witając pierwsze od wielu dni bezchmurne niebo. Wiaduktem nad ich głowami sunie lokomotywa, ciągnąc wagony i dudniąc cicho. Jakiś leżący pod wiatą pijaczek przewraca się na drugi bok.

Ruszam spod świateł. Dociskam gaz. Jest dobrze po szóstej, a muszę jeszcze odebrać Pollocka.

Nieprędko będzie mi dane porządnie się wyspać. Wczorajszą noc wciąż czuję w mięśniach i kościach, a zmęczenie nie odstępuje mnie na krok. Nie pamiętam, kiedy go nie było, mam wrażenie, że jesteśmy razem od początku świata. Oddałbym królestwo za kawę, mocną i czarną, z pięcioma czubatymi łyżkami cukru, gęstą jak pudding. Demon jednak nie pozwoli. Milczy od zeszłej nocy, ale nie pozwoli.

Dla mnie tylko woda. Od sześciu miesięcy tylko woda i papierosy... Dawno powinienem nie żyć. Ale on trzyma, tymi pazurami ostrymi jak brzytwa, trzyma mnie za gardło i na nic więcej nie zezwala. Nie mogę jeść, nie mogę umrzeć z głodu, bo on pompuje życie i daje akurat tyle, ile potrzeba. Odmierza idealne dawki. Piękny post.

Widzę swoje odbicie w szybie. Przez te pół roku nie straciłem nawet kilograma i nadal wyglądam jak drab. Opętanie konserwuje lepiej niż sport i dieta, lepiej niż gorzała. Zrobiłby jeszcze coś z tą pomietą gębą i byłbym mu prawie wdzięczny.

Hamuję. Dociskam pedał do oporu. Samochód zostawia za sobą ślady spalonej gumy. Ze zgrzytem protestującego silnika niezręcznie wrzucam wsteczny i cofam automobil o kilkanaście metrów. Staję pod domkiem pięknym jak z obrazka, gdzie mieszka szczęściarz Pollock ze swoją żonką. Jeżeli życie to tort, on umie wykrawać z niego duże kawałki – nie to co ja. On do obrzydliwości uczciwie otrzymuje od losu wszystko, czego zapragnie, podczas kiedy ja muszę ostro zapierdalać, kombinować... I nie mam nic.

Uderzam w klakson. Na nim mogę się wyżyć, więc walę kolejny raz. I jeszcze. Wreszcie zaspany Pollock wychodzi na podjazd. Zatrzymuje się obok żółtego płotka, tak wysokiego, że powstrzyma co najwyżej jeża. W ręce trzyma parujący kubek, na ramiona zarzucił karmelowy płaszcz, który jakimś cudem nigdy się nie brudzi ani nie gniece. Wygląda jak żywcem wycięty z jakiegoś cholernego żurnalu. Nawet słońce świeci dzisiaj jak trzeba. Tylko zawiązany krzywo krawat niszczy wrażenie perfekcji.

– Ezra. – Kiwa na mnie. – Potrzebuję jeszcze chwili. Wejść.

No tak, to pewnie przez krawat.

Z trudem gramolę się na zewnątrz. Pocieram policzki i czuję pod palcami szorstki zarost. Zerkam w lusterko, żeby zobaczyć czerwone, podkreślone ciemnymi półksiężycami oczy. Idę, przyglądając włosy ręką.

– Po co go tu zaprosiłeś? – Kobięcy głos wita mnie od drzwi.

Pukam grzecznie we framugę, ale jej to nie przeszkadza. Ignoruje mnie i dalej suszy głowę biednemu mężowi. Pani Pollock, jakaż piękna, piękna bestia.

– Dzień dobry. – Ze wstydem zauważam, że mnę ulubioną Fedorę w dłoniach.

Odkładam więc kapelusz na wieszak i wchodzę do przestronnej kuchni z wielkim stołem pośrodku. Pani Pollock trzyma nóż. Mam ochotę sięgnąć do kabury, żeby poczuć się pewniej.

– Poczekaj, Ezra. Tylko dopiję kawy. Też może chcesz? – Jego żona patrzy w taki sposób, jakby zamierzała mnie zamordować, jeśli się zgodzę.

– Chętnie – mówię.

Gdyby spojrzenia mogły zabijać...

Nасыpuje dwie łyżeczki, patrzy pytająco, a ja kiwam głową, że tyle wystarczy. Nalewa wody z parującego czajniczka, nachyla się kusząco do szafek pod zlewem, wypinając przy tym seksowny tyłeczek, i wyciąga cukiernicę.

– Cztery. – Pani Pollock patrzy wściekle, więc dodaję: – Poproszę.

Nakłada kostki eleganckimi szczypczykami, a potem wyciąga małą łyżeczkę, miesza i podchodzi z gotowym napojem. Uśmiecha się tymi pełnymi, czerwonymi ustami. Jej złote włosy wymykają się spod chustki, opadają na wysokie czoło, pieszczą wypielęgowaną brew, sięgając do niebieskiego oka. Mruga poirytowana.

– Proszę bardzo. – Więszego chłodu w głosie nie jestem sobie w stanie wyobrazić.

Łapię parzący kubek, zaciskając zęby.

– Zapomniałem portfela! – wykrzykuje Pollock, klepiąc się po piersi. – Poczekaj, skoczę na górę.

I wybiega. Nie zdążyłem zaproponować.

Pani Pollock spogląda spod przymrużonych powiek, krzyżuje ręce i otwiera usta, jakby chciała coś powiedzieć. Zaraz zaciska je z powrotem. Później znowu otwiera. Jak ryba.

– Nie wypijesz kawy, Ezra? – odzywa się nareszcie.

Pytanie zawisa w powietrzu, domagając się odpowiedzi. Ważę naczynie w dłoni i myślę, że to będzie bardzo bolało.

– Pewnie. Świetnie pachnie. Świeżo. – Podnoszę kubek.

Czuję, jak gorący płyn dotyka ust, a potem parzy język. Podobnie może smakować papier ścierny. Przełykam powoli raz i drugi. Przez moje gardło jakby przeciskały się gwoździe. W żołądku – żwir.

– Dlaczego nie zostawisz go w spokoju? – pyta cicho, spoglądając na schody.

Idę w jej stronę. Drżenie ciała pani Pollock trudno przegapić.

Rozumiem, co ma na myśli. Wśród perfekcyjnych fryzur, ubrań szytych na miarę, mebli kupowanych na zamówienie, dyplomów dobrych szkół i wysoko postawionych znajomych czasem pojawia się coś, co psuje idealny obrazek. Małżeństwo: wierzące i praktykujące, pani domu: przewodnicząca klubu gospodyń domowych, pan domu: dobrze rokujący, murowany porucznik przed czterdziestką. Przyjaciele: prawnicy, bankowcy, politycy i naukowcy, wszyscy bardzo kulturalni i inteligentni. Spełniony sen... A raczej byłby spełniony, gdyby nie ziarnko piasku wciśnięte w trybiki maszyny zatytułowanej „Cudowne życie”. Takie ziarnko jak ojciec albo brat alkoholik, zwolnienie z pracy albo ja. Nie wyglądałibyśmy dobrze na wspólnym zdjęciu.

– Kawa smakowała jak siki – oznajmiam, odstawiając naczynie na stół tuż obok pani Pollock, przypadkiem muskając jej letnią piżamę w fioletowe lilie i żółte żonkile.

Odsuwa się z obrzydzeniem.

– Nie pozwalaj sobie – syczy jak żmijka. – Wóda musiała przeżreć ci język!

Pokazuje pazurki, gdzieś znika ogłada i dobre wychowanie, ujawniając małą dziewczynkę, bardzo niezadowoloną, gdy ktoś popsuje jej ulubioną zabawę. Wygląda jeszcze ponętniej niż wcześniej. Czuję ukłucie zazdrości, nie po raz pierwszy zresztą. Na szczęście pani Pollock ponownie nakłada chłodną maskę pogardy, z którą mnie przywitała. I zazdrość mija.

Kłamałem. Przypuszczam, że kawa była pyszna, tylko tamten nieszczęsny dzień sprzed pół roku zabrał mi smak. A za wypicie czegoś poza wodą jeszcze przyjdzie mi zapłacić.

– Dlaczego wróciłeś, Ezra? – Głos kobiety nabiera smutnego tonu, na który nie jestem gotów.

– Bez klientów detektyw umiera z głodu. Nie byłem gotowy, żeby umrzeć. Nie z głodu.

Kobieta nie odpowiada. Oddała się na drugą stronę kuchni, siada przy oknie i patrzy gdzieś w dal.

– Za jakieś pół roku będzie mi przysługiwać wcześniejsza emerytura – mówię. – Otworzę na nowo biuro, a dzięki tym pieniądzom jakoś przeżyję, nawet gdyby interes kiepsko szedł.

– Pół roku... – powtarza jak echo.

– Ta. Pół roku i nie będziesz mnie musiała więcej oglądać.

– Nie wiesz nawet, ile z nim o tobie rozmawiałam. Ile razy prosiłam, żeby się nie mieszał i żeby pozwolił ci szczeznąć w jakiejś melinie.

Wyciągam powoli papierosa. Gładzę palcami bibułkę, wyczuwając opuszkami nierówność skrawków ziół i tytoniu. Przyglądam się kobiecie, nie przerywam, tylko słucham.

– Tacy ludzie jak ty sprowadzają kłopoty. Założę się, że gdyby cię gdzieś wywieźć, na przykład do jakiegoś małego, zapomnianego przez Boga i ludzi miasteczka na końcu świata, to po kilku tygodniach zaczęłyby tam zjeżdżać oprychy, zamieniając to spokojne, nudne miejsce w piekło. Taki po prostu jesteś. – Pani Pollock mówi jak natchniona, jakby recytowała jakiś wyjątkowy werset świętej księgi na niedzielnej sumie. – Diabeł pewnie trzyma dla ciebie specjalne miejsce u siebie. Może nie jesteś potworem, ale zło trzyma się blisko ciebie.

Zaciągam się dymem. Wydmuchuję kółeczka, które przepływają nad dużym stołem pośrodku kuchni, docierając do rogu pomieszczenia, do pani Pollock, gdzie układają się nad jej głową w aureolę.

– Mówiłam mu tyle razy: zostaw go! Niech sobie radzi. Nie możesz go ciągle niańczyć, wciąż ratować z kłopotów. – Patrzy wściekłym wzrokiem i machnięciem dłoni niszczy kółka dymu, które jej posyłam. – Nie rozumiesz tego, Ezra? – Oczekuje, żebym coś powiedział, ale ja uparcie milczę. Po chwili ciągnie więc sama: – Nie rozumiesz, że ten biedny

głupiec siedzi przy tobie jak cielę z powodu wdzięczności? Twierdzi, że wszystkiego, co umie, ty go nauczyłeś. Za żadne skarby nie chce innego partnera, a przecież wbijam mu w ten napchany ideałami łeb, że pociągniesz go za sobą na dno.

– Pollock ma przed sobą przyszłość. Będzie kimś – mówię wreszcie. – Nawet taki łapserdak jak ja tego nie powstrzyma.

Kobieta rusza ku mnie, kręcąc obfitymi biodrami, i myślę, że gdyby nie była panią Pollock, to jeszcze zaczęłoby mi się coś roić. Jedno spojrzenie w tę parę chłodnych oczu działa jednak jak wiadro zimnej wody.

– Dziwię się, że miałeś czelność wrócić po tym, co zrobiłeś tej małej... Jak ona miała na imię?

– Emma. Emma Tallin.

– Tak. Emma. Opowiedział o niej. To wypadek, mówił. Powtarzał słowo w słowo twoją historię, twoją wersję. – Jest podobna do węża, kiedy tak mówi. Mały języczek przemyka między białymi ząbkami, przysiąc bym mógł, że słyszę syczenie. Blondynka staje bardzo blisko i wtyka oskarżycielsko palec w moją pierś. – Ale ja się domyślam, jak było naprawdę.

Wymijam panią Pollock i podchodzę do zlewu. Odkręcam kran, gasząc końcówkę papierosa.

– Siedziałeś pijany w knajpie, kiedy napatoczył się jakiś bandzior, z którym miałeś na pieńku.

– Mały Bob.

– Zobaczył cię, potem ty jego, wasze spojrzenia się spotykały, złapałeś za kaburę, a tamten w nogi. Wiał, aż się kurzyło. Ty za nim.

– Masz talent do dramaturgii.

– Biegliście uliczkami, jakimiś ciemnymi zaułkami, czy gdzie tam lubisz zwykle przebywać, a że nie jesteś już najmłodszy, zaczęłeś tracić dech. Bolały cię nogi, płuca wyrywały się z klatki piersiowej, ale pędziłeś dalej, bo ten Mały Bob nie mógł ci przecież uciec.

– To morderca.

– On też zwolnił. Zobaczyłeś, że wbiegł do jakiegoś opuszczonego magazynu, więc zebrałeś ostatki sił i ruszyłeś za nim. Stałeś przy drzwiach, nasłuchując. Jego kroki ustały. Pewnie gdzieś się zaczął, gotowy wpakować ci nóż pod żebra – ciągnie swoją opowieść, kolejny raz podchodząc do mnie. Tym razem staję pewnie, nie chcę się dłużej gonić z babą po kuchni. – Ale ty ledwie co widziałeś, prawda, Ezra? Wszystko ci się rozmazywało przed oczami, jak to bywa po kilku głębszych. Mimo to wszedłeś do magazynu. Dostrzegłeś jakiś ruch i strzeliłeś. Szybciej i łatwiej pociąga się za spust, kiedy nerwy są napięte jak postronki, a świat zachodzi mgłą. Władowałaś pół magazynku, zanim zdałeś sobie sprawę, że trafiłeś jakąś drobną, szczupłą osobkę, a nie draba, za którym ganiałeś przez pół miasta. Wtedy dopiero dostrzegłeś tego, jak mu tam, Małego Boba i obdarowałaś go pozostałymi kulami. A potem czekałeś na policję, wymyślając swoją historyjkę.

Ze schodów dobiegają kroki. Pollock wreszcie znalazł portfel i założył się, że perfekcyjnie zawiązał krawat.

– Było tak, jak powiedziałem. Mały Bob rzucił się na mnie, używając tej dziewczyny jako tarczy. Nie miałem wyboru.

Pani Pollock uśmiecha się z politowaniem.

– Mam nadzieję, że odejdziesz na emeryturę, zanim upaprzesz mojego męża swoim gównem.

– To jak? Jedziemy? – Partner melduje się przy drzwiach.

Pierwsze nudności odczuwam już w aucie.

Mijamy rzędy niewielkich domków ze strzelistymi dachami i łukowatymi oknami. Ludzie, którzy w nich mieszkają, należą do wyższych sfer, podobnie jak żona mojego partnera. Ulice są tutaj spokojne, niewielu spacerowiczów, ani jednego młodocianego cwaniaczka w bereciku, czającego się, żeby dźwignąć torbę jakiejś pani. Tak, pięknie tu. Bo to miasto potrafi być piękne, kiedy zechce. Jest jak kobieta, która

czasem założy ekstra ciuszki, miękką, jedwabną bieliznę, pociągnie wargi szminką i upudruje policzki, tak żeby żaden facet nie umiał przejść obojętnie. Potrafi zaprzeć dech w piersi, jak na Grand Avenue, gdzie strzeliste drapacze chmur kolejnymi, rosnącymi obok siebie wieżami sięgają niebios. Ale potrafi też być pieprzoną sekutnicą, kiedy człowiek budzi się w mojej dzielnicy.

Zjeżdżam na bok, wpasowując automobil pomiędzy ciężarówkę i hydrant, nie przejmując się tym, że stoję za blisko. Jestem gliniarzem, wolno mi więcej.

W brzuchu wszystko mi się przewraca, więc skulony pędzę do drzwi przygniecionych zielonym szyldem z ciężkiego drewna. Wpadając do środka, słyszę brzęk dzwonka nad głową, mijając kontuar, czuję na sobie ciekawskie spojrzenie irlandzkiego barmana, ale nie zwracam na to wszystko większej uwagi.

Zawiasy ledwo utrzymują drzwi toalety, które uderzają z hukiem w ścianę. Łapię za umywalkę i wymiotuję. Gęsta, spieniona prawie jak piwo żółć ląduje w muszli. Wstrząsa mną, jakbym zaraz miał wypluć wszystkie flaki. Siedzą na swoim miejscu, chociaż w tej jednej chwili chciałbym się ich pozbyć. I umrzeć. I mieć święty spokój. Nie mam jednak żadnego wyboru, więc wymiotuję dalej, sycząc z bólu, kiedy ust nie wypełnia gęsta, piana maź. Wreszcie koniec. Pojawia się krew. Pluję raz, pluję drugi raz. Targa jeszcze żołądkiem, ale już spokojniej i wiem, że najgorsze mam za sobą.

Uśmiecham się do odbicia w lustrze. Pokancerowana, krzywa gęba obrośnięta śnieżnym zarostem odpowiada tym samym. Zupełnie jak za pierwszym razem...

Kiedy obudziłem się z demonem w środku, od razu postanowiłem sobie golnąć. W pamięci na świeżo jeszcze malowały się obrazy z przebudzenia potwora. Tego, jak wylazł ze mnie, rozpruwając flaki, a potem stał się istotą ze stali i światła, spychając moją wolę gdzieś na tylne siedzenie, samemu

przejmując stery. Moja świadomość, stłamszona jego myślami, usunęła się w cień, widziałem świat jego oczami i odczuwałem jego potęgę... A czułem się jak bóg. Albo jak ten, który siedzi pod jego tronem.

Otworzyłem świeżą butlę absyntu bez zwyczajowego rytuału. Gdzieś zapodziałem łyżeczkę, a cukier rozsypałem na podłodze, kiedy próbowałem otworzyć nowe opakowanie. Pamiętam, że patrząc na rozsypane białe kryształki, pomyślałem, jakie to głupie. I golnąłem potężnie. Później pół dnia spędziłem nachylony nad sedesem, a On klarował mi dobitnie, że od tej pory nie wolno staremu Ezrze, zwierzęciu i bydłociu, jak się wyrażał, bezcześcić ciała, w którym spoczywa największy z Awian.

Czy jakoś tak.

Przepłukuję usta wodą z kranu, spluwając kilkakrotnie, aż pozbywam się jakiegokolwiek smaku. Dopiero wtedy mogę odetchnąć z ulgą. Wyciągam cygańskie fajki i drżącą dłonią pakuję jedną do ust. Zagryzam ją w zębach, po czym z lenistwem, nie chcąc gmerać po kieszeniach za zapalniczką ojca, używam talentu. Niewielki płomyk materializuje się w powietrzu i opada na koniec papierosa, leniwie niczym płatek śniegu. Zaciągam się potężnie. Niech dym wypełni płuca po brzegi, aż prawie pękną.

– *Ezra-człowieku-głupcze.* – Witamy ponownie. – *Czyżby twój maleńki mózg zapomniał o przykazaniu?*

– Nie zapomniał, nie zapomniał – wzdycham. – Okoliczności tego wymagały, więc mógłbyś się zamknąć.

– *Mamy zadanie do wykonania. Chyba, że i o tym zdążyłeś zapomnieć.*

– Pamiętam – prawie warczę. – Dzisiaj wieczorem. Wcześniej mam jeszcze sprawę do załatwienia.

– *Kości zostały rzucone, gra rozpoczęta...*

– Wszystko w porządku? – Przez otwarte drzwi patrzy na mnie zaciekawiony Irlandczyk. Po chwili, i po fartuchu, poznaję barmana.

– Sprawa policji. – Pokazuję blachę i wychodzę, nie próbując tłumaczyć, co policja ma do załatwienia w barowym kiblu.

Jadąc dalej przez miasto, milczymy. Pollock przegląda dzisiejszą gazetę, którą zdążył kupić podczas mojej pięciominutowej nieobecności, a ja nie mam ochoty na rozmowę.

Myślę o Emmie Tallin. Nie wiem, kim tak naprawdę była. Pamiętam wykrzywione nienawiścią oblicze matki dziewczyny i to, że dwóch funkcjonariuszy musiało ją trzymać, bo chciała się na mnie rzucić z pięściami. Mała, szczupła kobiecina, ale chłopcy ledwie dawali jej radę. Chciałem z nią porozmawiać, jednak teraz myślę, że niewiele mógłbym powiedzieć. Właściwie – to nic. Dobrze, że była wściekła, a nie spokojna. Dobrze, że nie podeszła do mnie i nie zapytała: dlaczego?

Zatrzymując się na skrzyżowaniu, czekając na zielone światło, patrzę na Pollocka. Tylko on nie postawił na mnie krzyżyka po tamtym wypadku, a ja mu nawet nie podziękowałem. Kiedy zapijałem się, próbując zarobić na życie w zawodzie prywatnego detektywa, Pollock regularnie mnie odwiedzał, chociaż od drzwi witałem faceta inwektywami.

Partner zerka znad gazety, unosi zaciekawiony brew, wreszcie wzrusza ramionami i wraca do lektury.

Mogę śmiać się, ile wlezie, na wspomnienie jego pomysłów, jednak prawda jest taka, że to dzięki znajomościom Pollocka znowu jestem gliniarzem.

– Ciepło.

– Co?

– Ciepło dzisiaj – mówi kolega.

– Aha – przytakuję. – No i co z tego?

– A nic, po prostu jest ciepło.

– No tak, bez wątpienia. Cholerny, pieprzony skwar.

– Mógłbyś tyle nie przeklinać, Ezra.

– Bo to grzech?

– Ponieważ to nieładnie. Rozumiem, że czasem trzeba, bo aż człowieka w dołku ściska...

– Na przykład, kiedy przypieprzy młotkiem w palec? – próbuję żartować.

– Jednak nie ma sensu w co drugie, trzecie zdanie wtrącać przekleństwa. To przecież niczemu nie służy. To jak z kłamcą. Kłamie taki i kłamie, aż wreszcie dochodzi do sytuacji, że musi przekazać ważną i prawdziwą wiadomość, na której mu zależy, i wtedy nikt nie wierzy w jego słowa.

– O czym ty pieprzysz?

– Mówię, że powinieneś przeklinać, gdy się zdenerwujesz. Jeżeli już musisz przeklinać.

– A przyszło ci do głowy, że ja cały czas jestem wkurzony?

Pollock wzdycha i odwraca się w kierunku bocznej szyby, nagle zajęty obserwacją szaroburego krajobrazu blokowisk. Przysięgam, że nie mam zielonego pojęcia, o co temu człowiekowi chodzi. Potrafi zachować się jak twardziel, żeby nagle zacząć sypać frazesami godnymi chórzystki natchnionej niedzielną litanią.

– Może podjedziemy do sklepu? – pyta po chwili.

– Czego znów zapomniałeś? – sapię ze złością. Teraz już na pewno się spóźnimy.

– Ja? Niczego. Myślałem raczej o tobie. Może pogadałbyś z tą miłą panią, wiesz, o kim mówię?

Tak. Wiem, o kim mówi. Ta pani jest naprawdę miła.

– Czyżby dopadła cię nieśmiałość, staruszkule? – Pollock się droczy. – Chyba czas się wreszcie ustatkować. No wiesz, nie piękniejesz z wiekiem.

Uśmiecham się pod nosem. I tak zamierzałem do niej zajechać, czego mój partner się domyślił. Takim jak stary dobry Ezra nie trafiają się gwiazdy filmowe ani tancerki z rewii. Muszę brać, co dają. Tymczasem pannica z cukierniczego – na plakietce na piersi widnieje imię „Olga” – wyraźnie ma do mnie słabość. Jestem pewien. Wystarczy przypomnieć sobie, jak wypina się, prezentując, co ma najlepszego, kiedy staje przy kasie. Albo jak ściga moje spojrzenie, zalotnie mrugając; bawi się kruczoczarnymi włosami, wydyma czerwone jak krew usta.

Jest na swój sposób piękna.

Zjeżdżam w wąską alejkę, wybierając skrót. Mijamy ciężkie kontenery na śmieci, wypełnione po brzegi, aż nie domykają się klapy. Papiery wirują wokół naszego samochodu unoszone ciągiem powietrza. Uliczka jest tak wąska, że ledwie się mieścimy, jednak jazda tędy pozwala zaoszczędzić dobry kwadrans, który stracilibyśmy na pokonywanie świateł i kluczenie pomiędzy ciężarówkami ze spóźnioną dostawą towaru.

Naciskam klakson – dźwięk zwielokrotniony echem w ciasnej uliczce niemal rozsadza nam bębni. Za to pijaczyna, który omal wlaźł mi pod koła, reflektuje się w ostatniej chwili i skrywa za rogiem. Wypadamy na główną ulicę, prawie bezboleśnie wciskając się w kolumnę samochodów. Prawie, bo mimo zamkniętych szyb słyszę przekleństwa rzucone przez kierowcę, któremu zająłem miejsce. Chętnie zatrzymałbym faceta i przeszkolił w zachowaniu się na drodze, ale ponieważ nie mam czasu, tylko migam odznaką, kiedy ten usiłuje wysforować się przed nas. Spuszczone spojrzenie, a potem „przepraszam” odczytane z ruchu jego warg, muszą tym razem starczyć za satysfakcję.

Jesteśmy blisko centrum. Wielkie drapacze zasłaniają leniwie wschodzące słońce, wydłużając cienie do monstrualnych rozmiarów, sprawiając, że kolumny autek przywodzą na myśl przemarsz mrówek robotnic do wielkiego kopca. Grand Avenue onieśmiela nie tylko nowo przybyłych, lecz także na mieszkańcach miasta wywiera wrażenie, jeśli na moment oderwą się od pilnowania drogi i uniosą głowę. Wielkie bryły strzelistych wieżowców – przypominających korony, z pomniejszych, choć i tak wysokimi na kilkanaście pięter, okrągłymi wieżyczkami wokół – są niczym tort weselny. Lecz nie biały i niewinny, ale szary, przykryty brudem i smogiem.

Piękny.

Poruszając się w tempie żółwia zanurzonego w melasie, pokonujemy z mozołem kolejne metry, z utęsknieniem wyczekując skrzyżowania,

a później ronda św. Jerzego, dzięki któremu ominiemy najbardziej zatłoczone ulice. Na razie stajemy pod Centrum Spaldinga, z tysiącem okien na każdej z trzech wielopiętrowych kondygnacji. Blisko dachu, w ostatniej z trzech brył umieszczono olbrzymi zegar, konkurujący wymiarami z tamtym, który odegrał ważną rolę w jednym z filmów Chaplina. Uśmiecham się na wspomnienie faceta uwieszonego na jednej ze wskazówek, majtającego nogami.

– Siódma – zauważa Pollock.

Wzruszam ramionami. Przecież nie cofnę czasu.

– Jesteśmy spóźnieni. – Partner jest coraz bardziej odkrywczy.

– Ta. – Zgodą nagradzam jego przenikliwość. – Przez twój portfel.

– Mój portfel? Pięć minut mnie nie było.

– Ja naliczyłem więcej. Nie twierdzisz chyba, żeby czas mi się dłużył przy twojej wielce szanownej małżonce?

– Mogłeś przyjechać wcześniej. – Teraz dąsa się niczym pensjonarka. – Już dawno byłem gotowy.

Wyciągam papierosa, bo podczas pozbawionej sensu rozmowy takie zachowanie jest najlepsze. Dzięki temu rozmówca ma czas zamknąć gębę.

– Będę jeszcze musiał wpaść po fajki – oznajmiam, a Pollock patrzy na mnie ze zgrozą. – Ale to później. Najpierw sklep, później komisariat, a kiedy się już stamtąd wyrwiemy – papierosy.

– Myślisz, że dzisiaj też kogoś znajdziemy?

Nie odpowiadam od razu. Ubijam tytoń w papierosie, stukając nim cierpliwie o deskę rozdzielczą, podkreścam jeszcze policyjne radio – jeden z pierwszych dwukierunkowych egzemplarzy w mieście, gdzie na 1712 kilocyklu miły głos Eli Frick wysyła nas czasem do akcji. Jednak nie dzisiaj.

W międzyczasie podjeżdżamy kilka metrów, a potem znowu stajemy. Facet w aucie przed nami wyłącza silnik, otwiera drzwi i wystawia stopę w biało-czarnym bucie. Chwilę później widzę jego cwaniacki ryjek

z wąsikiem. Nie słychać, co mówi, ale wnioskując po ściągniętych wściekłością rysach makaroniarza, nie jest to nic przyjemnego. Brakuje tylko, żeby wygrażał pięścią niebu.

– Nie przyzwyczajaj się – odpowiadam Pollockowi. – Nasz człowiek też musi odpoczywać, a był przecież bardzo aktywny w ostatnich dniach.

– Fajnie byłoby, żeby dzisiaj odpoczął. Te parę godzin snu pomogło, dodało siłą, ale i tak oddałbym tygodniówkę za wolny dzień. Czytałem, że osiem godzin to minimum dla dorosłego organizmu.

Kilka godzin snu. Szczęśliwy skurczybyk.

– Też chętnie wybrałbym się o normalnej porze do domu...

– Dowiedziałeś się czegoś wczoraj?

– Nie pytałeś już o to? – Pytanie za pytanie, moja specjalność. Zazwyczaj idealny sposób, żeby zbić rozmówcę z tropu. Tym razem po prostu nie pamiętam.

Po minie Pollocka widzę, że on również.

– Wypytałem tego faszystę, sąsiada, o którym mówiłeś. – Kątem oka zauważam, że partner kiwa powoli głową. – Gdyby facio nie był gnidą i nie śmierdział rasizmem na kilometr, to może przydałyby się na coś jego zeznania. Widział podobno jakiegoś Czarnego... Ale czy można wierzyć takiemu kutafonowi? – Zapalam papieros siłą woli, bo akurat ruszamy i nie chcę szukać zapalniczki po kieszeniach. Wdycham głęboko dym. – Bo ja mu nie wierzę – dodaję.

– Sam jesteś niewiele lepszy. – Parska śmiechem.

– Ja? – dziwię się. – Co ty gadasz, partnerze? Wszystkich faszystów z tym ich Führerem na czele wypieprzyłbym na zbity pysk. Wkurza mnie, że trąbią o nich w radio na okrągło, zamiast puszczać dobrego bluesa jak dawniej.

– Właściwie miałem na myśli Chińczyków...

– Nie zaczynaj mi tu. – Ledwie łapię fajeczkę, która z wrażenia aż wypadła mi z ust. Bezczelny gnojek z tego Pollocka. – Nawet o nich nie

wspominaj. Pieprzona żółta mafia. Ciekawe, co byś powiedział, gdyby taka zgraja wprowadziła ci się do sąsiedztwa i całymi nocami musiałbyś słuchać tego piekielnego gdakania.

Kątem oka widzę, że partner próbuje ukryć uśmiech. Nie rozumie powagi sytuacji.

– Gdybyś kilka razy wylądował na tronie ze sraczką po ich żarciu i gdyby zniszczyli ci najlepszą marynarkę, też byś ich znienawidził. Sąsiedzi nie powinni robić sobie takich rzeczy.

– Więc myślisz, że to nie Czarny? – zmienia temat, ja się zaciągam.

– Nie wiem. Kojarzy mi się, że przy jednej z pierwszych, to znaczy odkrytych przed tą Braunbaum, ktoś też widział podobnego osobnika. Nie jest to więc trop, który możemy zupełnie zlekceważyć.

– Nie możemy.

Nakrywa nas, i kilkadziesiąt innych aut, cień jednego z drapaczy chmur, gdzie tysiące gryzpiórków kombinują i obliczają, jaki podatek nałożyć na zacnych mieszkańców miasta. Prawie wyobrażam sobie stukot maszyn do pisania w przepastnych halach na parterze, gdzie urzędnicy zerowego szczebla przepisują na czysto to, co nagryzmolili lepiej spowinowaceni od nich. Na chwilę jeszcze stajemy. Odwracam się i patrzę w tysiące szklanych, srebrnych oczu, za którymi kryje się jeszcze więcej ludzi. Jaki to ogrom. Jak wielkie jest to miasto. Jak pojemne ma trzewia, mogąc łyknąć nas aż tyłu.

– Jak odnaleźć jednego człowieka pośród miliona? – Pollock na głos wypowiada moją myśl.

– Jakoś zawsze się udaje. Jesteśmy gliniarzami, do cholery – strofuję go. To przecież nie czas na wątpliwości.

– Są mordercy i mordercy. Jest mąż, który zabija żonę, przyłapując ją w sypialni z kochankiem. Są ludzie niemogący znieść obecności sąsiada – zerka na mnie, nie przestając mówić – złodzieje szukający łatwego zarobku,

którzy ten jeden raz uderzą za mocno w głowę ofiary, gangsterzy utrzymujący lub próbujący poszerzyć swoje terytorium.

– Ta, ta.

Wciąż powtarzam, że zostanie politykiem. Tylko polityk może tak wszystko rozwlekać. Jak kobieta.

– Ich wszystkich można znaleźć. Po rysopisie, znajomych, rodzinie, po terytorium, w jakim operują. Dzięki świadkom, błędom, śladom.

– Ta.

– A on uderza w różnych miejscach, ofiary nie są ze sobą spokrewnione, nie znają...

– Zamknij się wreszcie. Ofiary są krojone z jednego szablonu. To już coś.

Nagle czuję, że mam tego dosyć. Gaszę peta w popielniczce i dociskam pedał gazu. Kręcę kierownicą z całej siły, co chwila grzmocąc w klakson. Ze zgrzytem wbijamy się na chodnik, wywołując popłoch wśród przechodniów. Eleganckie panie w szatańsko obcisłych spódnicach za kolano kicają na boki, prędko przebierając nóżkami w takim zakresie, jaki pozostawił im krawiec. Jestem pełen podziwu, że nie wywracają się i nie lądują na twarzy. No ale kobiety to przecież istne ekwilibrystki. Niewiarygodne, co umieją wyczyniać na swoich niebotycznych obcasach.

– Ezra, co ty? – Ciężko wyciągnąć z Pollocka przekleństwo. „Co ty?” – to i tak wiele.

Jakiś facet grzmoci pięścią w drzwi po mojej stronie. Biegnie za nami, a ja toczę się w tłumie na tyle wolno, że nie ma mowy, abym mógł mu uciec. Kręcę korbą, szyba opada w dół.

– ...uju. – Słowo pada tuż nad moim uchem. Szybko biega. Wspaniały z niego sportowiec.

Kątem oka widzę przerażenie na twarzy Pollocka, kiedy łapię łobuza za krawat i przyciągam brodatą gębę do siebie. Jest tak blisko, że mógłby mi dać buziaka, ale chyba nie ma na to ochoty. Może dlatego, że jadę ciut szybciej, a jemu niewygodnie się teraz biegnie.

– Puszczaj – piszczy.

– Zamknij mordę – odpowiadam spokojnie.

Chętnie pociągnąłbym go jeszcze kawałek, ale pomiędzy umykającymi przechodniami zauważam koniec chodnika, więc żegnam dżentelmena krótkim prawym prostym w nos. Przerażony Pollock łapie za kierownicę. Panikarz; puściłem ją ledwie na chwilę.

– Spokojnie. – Zwalniam do tempa spacerowego i wjeżdżam ponownie na ulicę, prawie pustą w przeciwieństwie do tych, którymi pchaliśmy się do tej pory.

Żeby przebić się przez Grand Avenue, trzeba czasem improwizować.

– Ezra, co ty wyprawiasz?!

– Spokojnie, partnerze. Zyskaliśmy dobry kwadrans.

– Mogłeś kogoś zabić!

– Skądże. Świetnie prowadzę.

– A tamten facet? Mógł wpaść pod koła.

– Dostał nauczkę. – Na przemian rozprostowuję i zaciskam pięść. – Za dużo w tym mieście agresji.

– Chryste... – jęczy jeszcze. – Mamy przecież syrenę.

No tak. Czemu nie pomyślałem o syrenie?

Kwadrans później stajemy przed eleganckim budynkiem. Obłożony czarnym marmurem, wita gości złotymi literami i niziutkim, ale wyprostowanym jak struna facecikiem w czerwonym kubraku, który równie chętnie kłania się każdemu wchodzącemu, co wystawia otwartą dłoń po niezasłużony napiwek.

– Zaraz wrócę – oznajmiam wreszcie uspokojonemu, chociaż wciąż obrażonemu partnerowi.

Odburkuje coś niewyraźnie i znowu sięga po gazetę, którą złożył i zostawił w podręcznym schowku.

Wysiadam. Portier kiwa głową prawie niezauważalnie, chociaż wcale nie zbliżam się do hotelu. Nie mam tam dzisiaj żadnego interesu. Informator

jednak drży. I dobrze. Oni mają obowiązek przed nami drzeć. Bez strachu my, gliniarze, bylibyśmy dla nich nikim. Prawie słyszę, jak oddycha z ulgą, kiedy go mijam i wchodzę do cukierni.

Moje nozdrza od progu wita mieszanina słodkich zapachów. Wzrok poraża multum kolorowych opakowań cukierków i batonów poutykanych pomiędzy tekturkami na półkach oraz pod ladą. Dziesiątki słoików wypucowanych na błysk wypełnia towar na wagę: kulki, gumy do żucia, lizaki, mordoklejki, dropsy, miętusy i cała reszta tego tałatajstwa, którego pewnie już nigdy nie spróbuję.

Wchodzę, jakbym zamierzał dokonać jakiejś cholernej wizytacji. Ręce splotam z tyłu, wypinam pierś, zmniejszając tym samym optycznie obwód tego, co mi pod nią wyrosło. Brodę też wysuwam do przodu. Pewnie wyglądam jak kurdupel Bonaparte, próbujący postawą dodawać sobie animuszu. Myślę, że to głupie i garbię się po staremu. I tak kawał chłopca ze mnie, nie ma sensu, żebym stawał się olbrzymem.

Przechadzam się między regałami, co rusz zerkając w jej stronę. Jest całkiem ładna, myślę. Wielkie piersi prawie rozrywają delikatny, fioletowy sweterek. Czarne jak noc włosy efektownie kontrastują z alabastrową skórą, a skośne oczy, które tak zalotnie mruży, kryją niewypowiedzianą obietnicę.

Zerkam jak uczeń. Ktoś pomyślałby, że brak mi jaj, żeby podejść i się umówić. Biedny gliniarz przed emeryturą, na dodatek z pokancerowaną twarzyczką, to nie najlepsza partia... Ale i tak wiem, że ona się zgodzi. Czuję to. Nie boję się kobiet. Nie podchodzę, bo myślę o czymś innym.

O demonie. O Paddingtonie. Człowiek przecież powinien zdawać sobie sprawę z własnych ograniczeń.

Jak cholerny gówniarz, niemający pojęcia, czy tatuś pozwoli. Fakt, że nie jestem tylko marionetką w jego szponach, niewiele znaczy. Bo pojawia się w snach, w lustrach i wciąż słyszę jego głos. Bo może mi sprawić wiele przykrości. Tańczę przez to na ostrzu brzytwy. Fałszywy krok i popadnę w obłąd.

A jeśli przytrafi mi się przy niej kolejny epizod?

No i pozostaje sprawa seksu. Jeść nie mogę, bo go to brzydzi, ale czy mogę się bzykać?

– W czymś panu pomóc? – Sprzedawczyni zapytuje głośno, żebym ją dosłyszał, stojąc po drugiej stronie pomieszczenia. Ma ładny głos. Lubię go słuchać. Ma też zabawny wschodni akcent i bardzo twardo wypowiada słowa.

Podchodzę czym prędzej.

– Ma pani Tootsie Pops? – pytam jak zawsze.

Gestem dłoni wskazuje na feerię kolorów.

– Mamy wszystko.

– Ta. Rzeczywiście. – Z trudem podnoszę wzrok do jej oczu. – Wziąłbym jednego.

– Jednego? – dziwi się, chociaż nigdy nie kupuję więcej. – Taki duży mężczyzna, a tylko jeden lizak wystarczy?

– Zawszę mogę przecież kupić jutro drugiego – usprawiedliwiam się. – To dla mojego siostrzeńca – kłamię gładko.

Nie mam żadnej rodziny. Już nie.

– W takim razie podam. – Uśmiecha się, a ja odpowiadam podobnie. Przynajmniej próbuję, bo pewnie wychodzi mi jakiś dziwny grymas, skoro sprzedawczyni parska śmiechem.

Podchodzi do półki. Przyglądam się jej tyłkowi, pełnemu i soczystemu niczym dojrzała śliwa. Patrzą, jak porusza się pod szarym materiałem sukni, jak go napina do granic. Widzę zarys pośladków, prawego i lewego, całujących się ze sobą, i czuję, że muszę przycisnąć się do lady, żeby niczego nie spostrzegła, kiedy będzie wracać. Ale to nie nastąpi tak szybko. Olga grzebie w szklanym pojemniku, wystawiając ponętnie język. Jakoś nie może dosięgnąć żadnego Tootsie Popsa... Kiedy jej się wreszcie udaje, wydobyty z trudem lizak ląduje na podłodze. I biedactwo musi się po niego

schylić. Tym razem jestem pewien, że spódnica nie wytrzyma: pęknie i wypuści soczysty owoc na wolność.

Panuj nad sobą, Ezra.

Cholera. Unoszę kapelusz, ścierając szybko pot. Dziewczyna kusi nie gorzej niż profesjonalistka.

– *Pragniesz kopulować?* – Zgrzytliwy głos odzywa się jak zwykle w najgorszym momencie. – *Parzenie zwierząt...*

Demon umie zepsuć nastrój.

– Proszę, coś do polizania dla pana. – Dwie piersi wielkości arbuźów lądują na kontuarze, tuż za małym Tootsie Popsem w niebieskim papierku.

– Dzięki – rzucam ćwierćdolarówkę. Uśmiecham się i idę w kierunku drzwi.

Szkoda. Mogłoby być naprawdę miło.

Drzwi otwierają się gwałtownie. Rzucam się do tyłu, żeby uniknąć trzaśnięcia w twarz. Łysy gbur wpada do środka i potrąca mnie barkiem, nawet nie przeprasząc. Już mam go złapać za kołnierz i nauczyć moresu... Lecz się powstrzymuję. Nie chcę zrobić na Oldze złego wrażenia, bo zawsze jest przecież następny raz. Może wtedy zdołam sam siebie przekonać, że to ma jakiś sens i że mogę zaryzykować. W porządku, przyznaję, nie jestem najlepszym z ludzi, najpewniej daleko mi do średniej, ale mimo wszystko mam skrupuły i nie czuję się dobrze, myśląc, że mógłbym wciągnąć tę damulkę w gówno, które nazywam swoim życiem.

Otwieram drzwi. Dźwięki ulicy kakofonią klaksonów i krzyków wdzierają się do głowy. Czuję chłód w piersiach. Serce zaczyna walić. Na ciało wstępuje zimny pot. Przykładam prawą dłoń do policzka – wilgotny i rozgrzany jak przy gorączce.

Coś jest nie w porządku.

Wychodzę na zewnątrz. Robię kilkanaście kroków. Z trudem czerpię oddech za oddechem. Umysł pędzi. Myśli zamieniają się w kalejdoskop

obrazów, kiedy patrzę tępo po okolicznych budynkach. Odwracam się. Tabliczka zawieszona za szybą została przekreślona, zmieniając treść z „otwarte” na „zamknięte”.

Coś jest nie w porządku.

Tamten łyśy facet.

Obracam się na pięcie. Wyciągam z kabury wysłużony rewolwer. Niezdarnie. Długa lufa zaczepia o krawat, więc wyplątuję ją, idąc w stronę przeszklonych drzwi. Mam nadzieję, że Pollock to widzi, że nie czyta tej pieprzonej gazety.

Przykucam przy szybie wystawowej. Facet nie powinien zauważyć mnie tak od razu; nie będzie patrzył nisko, rozglądając się za kłopotami. Będzie ich szukał na wysokości głowy dorosłego mężczyzny.

Zerkam do środka, wychylając się ostrożnie. Tyle, ile to konieczne. Nie więcej.

Jest tam. Stoi po drugiej stronie lady, tam, gdzie ja przed chwilą stałem. Trzyma coś w prawej dłoni, ale nie wiem dokładnie co, bo widok zasłania mi jakaś nalepka umieszczona na szybie. „Zapraszamy dzieciaczki na nowe batoniki” – odcyfrowuję. Cholerna naklejka.

Myślę gorączkowo – czy nad drzwiami był dzwonek uprzedzający sprzedawcę o nowym kliencie? Czy nie było dzwonka? Nie jestem pewien. Nie pamiętam. Czemu nie pamiętam, do cholery? Nadal przykucnięty przy wejściu, zerkam w górę, ale nic nie mogę stąd dostrzec.

Kropnąć faceta przez szybę?

Wezwać wsparcie?

Gdzie jest Pollock?

Może poprosić o pomoc Paddingtona?

– Trkt. Zdmuchnę to zwierzę-bydlaka i wymażę je-jego precz z Księgi Egzystencji, i do wiecznej pustki. Krrrkt. Powiedz tylko słowo, mój niedrogi-bezużyteczny, Ezro. Poproś o przysługę, piesku.

O nie, mój niechciany partnerze. Muszę to zrobić sam.

Teraz.

Ostrożnie przesuwam się, przylegając do szyby, ale zaraz rezygnuję. Dzieli mnie od celu kilkanaście metrów, jestem zdenerwowany i nie mam pewności, czy szyba nie zniekształca obrazu. Jest gruba, ma kilka warstw. Nie mogę przyjąć dostatecznie wygodnej pozycji.

Trzeba podjąć decyzję.

Mężczyzna w środku żywo gestykuluje. Musi być zirytowany. Jest też kretyńcem, bo tylko kretyń napada na sklep z cukierkami. Czego on się tam spodziewał? Fortuny w mordoklejkach?

Cofam się do brzegu drzwi. Chwytam lewą dłonią okrągłą klamkę, zaciskam na niej mocno palce. Otworzyć gwałtownie czy spróbować cicho?

Powoli przekręcam gałkę, czując, jak mechanizm zaczyna ustępować. Moje zmysły są pobudzone do granic. Nie spuszczam wzroku z bandyty, jednocześnie nasłuchuję, czy otwierane drzwi wydadzą jakiś odgłos. Uchylam je odrobinę. Na razie jest dobrze. Cicho. Napastnik nie zdaje sobie sprawy, jak niewiele dzieli go od wylądowania w kostnicy.

Nie ma Pollocka. Decyduję, że nie dam facetowi żadnych forów. Nie będzie krzyków ostrzegawczych. Nie chcę zginąć i nie chcę, żeby zginęła dziewczyna. Taka jest moja ocena sytuacji i obronię ją przed komisją, od biedy koloryzując. Szpara jest dość szeroka, żebym mógł się przecisnąć. Rękojeść broni spływa potem i mam cholerną, nielogiczną ochotę ją wytrzeć. Oczywiście nie robię tego. Cały czas patrzę na łysego dziada, który bełkocze coś nieskładnie. Jego dolna warga wygląda jak spalony bekon, ciągnie się prawie do brody. Co za pokraka. Opieram drzwi o lewe kolano, blokując je przed automatycznym zamknięciem. Przekładam ciężar ciała na tę samą nogę. Lewą dłonią podpieram rękojeść i mierzę w przypominający balon łeb. Zgrywam muszkę ze szczerbinką... Ale ta jest krzywa. Od miesiący nic z tym nie zrobiłem, odkładałem wizytę w warsztacie, tłumacząc sobie, że nie potrzebuję tego naprawiać, przecież od lat nie strzelałem do nikogo z większej odległości niż pięć, sześć

metrów. Bo to cholerne miasto a nie preria. Spluwę ma się po to, żeby wygrać z nożem. Używa się go w knajpie, podczas napadu w ciemnym zaułku... Zawsze z bliska. Zawsze.

A teraz do celu mam daleko. Popaprany los.

Łysol odwraca głowę. Jego spalona, rozciągnięta warga nie nadaża, płaska go w policzek i dopiero wraca na brodę. Kaprawe, małe jak szpilki oczka nie zmieniają wyrazu, ale jego ciemne, wąskie brwi wędrują w górę. Zdziwiony? Na więcej obserwacji nie ma czasu. Celuję w głowę i w myślach modlę się, żeby trafić.

Jego dłoń trzymająca niewielki, damski rewolwer powoli zwraca się w moją stronę. Kiedy jest w połowie drogi między mną a sprzedawczynią, wypalam. Kurek wali z trzaskiem jak młotek i dym wylatuje z lufy. Chybiłem o niezły kawał, ale jest dobrze. Głowę ma całą, za to trzymająca do niedawna pieprzniczkę dłoń zamienia się w miazgę z kości, włókien i ścięgien, pomieszaną równie udanie, co w fetyszu rodem z zabaw voodoo.

Czas znów płynie normalnie.

Jego wrzask niesie się gromko po wnętrzu sklepu, aż szyby drżą w oszklonej ladzie. Wcisnął dłoń pomiędzy uda i teraz ma całe portki wilgotne od juchy. Gapi się w sufit, jakby szukał pomocy niebios, ale jej nie znajduje. Nawet ja pamiętam z religii, że takie gnoje mają u Najwyższego przerąbane.

– W porządku? – pytam sprzedawczyni, pochylając się po zakrwawioną pieprzniczkę, która wleciała pod jeden z regałów. Szczelnie opatulam ją chusteczką i kładę na ladzie.

– Ta-tak. – Przytakuje odrobinę mechanicznie. Jest w szoku.

– Jestem Ezra, detektyw Ezra. – Migam odznaką.

– Olga Sorokin. – Przedstawiając się, dyga, łapiąc spódniczkę za rąbek. Uważam, że to całkiem zabawne.

– Czego chciał?

Kręci głową, unosi w górę ramiona. Jej twarz i otwarte szeroko oczy wyrażają przejęcie całą sytuacją. Kładę dłoń na ramieniu kobiety, starając się ją uspokoić, jednocześnie stale celuję w stronę bandyty, na wypadek gdyby coś głupiego strzeliło mu do głowy. Chociaż facet nie jest chyba skory do ucieczki.

– Czego chciał? – powtarzam.

– Nie wiem. Nie rozumiem go.

Odwracam się do łysola. Niech widzi, że całkowicie pochłania moją uwagę. Przystawiam lufę do skroni faceta, dociskam mocniej, aż przechyliła głowę do tyłu i nasze spojrzenia się spotykają. Jego oczy są kompletnie puste, pozbawione odbicia jakiegokolwiek myśli.

– Czego chciałeś?

Nie odpowiada, tylko się gapi.

– Pytam, czego chciałeś? – Prawie pieszczotliwie trzaskam go lufą w czoło. Kwiczy jak zarzynana świnia. – Co strzeliło ci do łba, żeby obrobić sklep z cukierkami?

Otwiera gębę, poruszając wydłużoną nienormalnie wargą. Krzywię się, bo z bliska przypomina ona obiad z jakiegoś dinera – krwisty stek z ziemniaczkami i cebulką.

– Fciał wse pfieniąski wfsiąć.

Warga wachluje przy każdym ruchu szczęki, z płaskiem rozbijając się to o policzek, to o brodę. Chwilami widać czarne, przypominające centy zęby. Trzymają się w dziąsłach na słowo honoru.

– Nie ruszać się! – Pollock wpada jak zwykle o czasie.

Przez jego wrzask prawie rozwalam bandycie łeb.

– Ale masz wyczucie, Pollock. Pozazdrościć. Tak sobie myślę, że z takim refleksem na bank dożyjesz emerytury w jednym kawałku.

– Usłyszałem strzał i przybiegłem.

– No, rewelacja. Istna rewelacja. – Krzywię się. – Ty – trącam lufą łysiego – jak się nazywasz?

– Fsfmok.

– O rany. – Partner jest zgorzony widokiem mówiącego Fsfmoka.

– Chyba mówi, że nazywa się Fsfmok? – Drapię się po brodzie.

– Fsfmok! – powtarza ze złością bandzior.

– Czegoś chyba nie zrozumiałem...

– Na litość boską, nazywa się Smok. Przestań już go wypytywać, zrobisz to na komendzie.

Ciężko mi ukryć uśmiech. Ach, ten wrażliwy Pollock. Może wczoraj na obiad zjadł pełnokrwisty stek z przysmażoną na złoto cebulką albo, jeszcze lepiej, może na dziś obiecała mu takie danie żona?

– Partnerze, zwróć uwagę, że ma całe portki zakrwawione. Musiałem odstrzelić łapę biedakowi, więc chyba powinienes wezwać pogotowie.

Adrenalina powoli przestaje działać. W czaszce zaczyna łupać jak w kuźni i muszę oprzeć się o ladę, żeby nie zacząć się słać na nogach niczym podpita panna. Macam palcami kaburę i chowam broń, a później odwracam się w stronę dziewczyny.

– Co byś powiedziała, gdybym cię gdzieś zaprosił? – gadam szybciej, niż myślę.

Spogląda na mnie nic nierozumiejącym wzrokiem. Ciężko oddycha. Nie mogę nie zauważyć poruszających się niczym miechy piersi, tylko dzięki jakiejś przedziwnej magii wciąż zamkniętych w okowach ubrania. Mruga nieprzytomnie, ale po chwili widzę w jej oczach błysk zrozumienia i na twarz dziewczyny wpełza cień uśmiechu, który odczytuję jako zgodę.

– W takim razie wpadnę po ciebie. Na dniach.

Kiwa głową.

– Ezra, jak mam go skuć?

Pollock głowi się jak żółtodziób. Dobry z niego chłopak i całkiem niezły gliniarz, ale czasem sprawia wrażenie, jakby te wszystkie lata naszej wspólnej pracy nie miały miejsca, a on pierwszy raz wyszedł na ulicę z odznaką. Żal patrzeć, jak wyciąga zakrwawiony kikut Smoka spomiędzy

ud tamtego i próbuje dopasować do niego kajdanki. Na szczęście bandzior jest już potulny, bo w innym wypadku mogłoby się to różnie skończyć.

– Co ty robisz? – rzucam sucho. – Zostaw to łapsko i przykuj drugie do regału.

Partner patrzy z głupią miną. Na mnie, na kajdanki, na zakrwawioną rękę.

– Przepraszam – mówi cicho i bierze się do roboty.

Gdzieś w oddali słychać ryk syren. To jadą niebiescy chłopcy, nasza wspaniała kawaleria od sprzątnia śmieci.

Myślę, że dzień zaczął się znakomicie. Dzięki tej akcji szef nie będzie suszył nam łbów... To znaczy zjedzie nas i tak, ale przynajmniej bez takiego przekonania i zaciętości jak zazwyczaj. Ja umówiłem się z piękną panią sprzedawczynią Olgą, a Pollock w spokoju doczytał gazetę. Czy może być lepiej? Uśmiecham się do dziewczyny i patrzę na jej równe ząbki, kiedy odpowiada tym samym.

– Fnie. Fnie fpfójde do pfaki! – nagle rozlega się wrzask.

Pollock odskakuje jak oparzony, a ja odrywam się od lady z zamiarem spacyfikowania krzykacza... Lecz staję w pół kroku.

– Podejź tu, Pollock – rozkazuję.

Partner posłuchał. Podbiega, a ja pokazuję, żeby skrył się za ladą. Nie spuszczać wzroku z przyczepionego do szafek z cukierkami mężczyzny, siadam na kontuarze i powoli wyciągam rewolwer. Było za dobrze, myślę.

– Fnie fpfójde. Fffffff. Fnie. Fnie – Smok powtarza w kółko.

Kręci pyskiem, a ta pokraczna warga klapie niczym krwi ozór. Coś bulgocze w gardle bandyty, a ten zaczyna się trząść w paranoicznym tańcu. Puchnie. To śmieszne, ale przypomina czajnik z gotującą się wodą.

Przekładam prawą nogę, a potem lewą i kryję się za ladą. Ciekawski partner wyściubia łeb, ale kuksańcem każę mu się schylić. Olga drży przerażona i też się prostuje.

– Na ziemię – syczę do kobiety. – Nakryj ją – warczę do mężczyzny.

Kiedy są względnie bezpieczni, przyglądam się Smokowi. Chyba teraz nikt nie będzie miał pretensji, jeśli go rozwalę. Czuję przechodzące po plecach ciarki. Fluktuacji magicznej mocy nie można pomylić z niczym innym i chociaż mój talent jest najbardziej pośledni z możliwych, to jednak pozwala wyczuć obdarowanych hojniej. Nawet bez pomocy demona.

– „Jesteś tam?” – zwracam się do niego w myślach.

– *A gdzieś indziej. Imbecyl-Ezra.*

– „W takim razie, może byś mi pomógł”.

– *Próbujesz rozśmieszyć Wielkiego Trykstera? Zaczyna próba, jak na twój pośledni-śmierdzący-zwierzęcy rodzaj – zgrzyta rozbawiony głosem podobnym do warkotu piły tarczowej. – Nie ma takiej ceny, za którą Awian pomógłby ci w problemie, którego rozwiązanie wcześniej odrzuciłeś.*

– „Co?” – Sплюwam wściekle. – „Czyli nie pomożesz?”

– *Nie.*

– „A ja mam ci pomóc znaleźć resztę twojej popieprzonej rodzinki?”

– *Zrobisz, co rozkażę.* – Ból głowy towarzyszący wypowiedzianym przez demona słowom prawie pozbawia mnie przytomności. Ciśnienie w czaszce rośnie, aż mam ochotę odstrzelić sobie łeb, żeby tylko przestało boleć. Nasza rozmowa się skończyła. Paddington nie lubi, kiedy źle mówię o jego rodzeństwie.

Smok klęczy, bulgot dochodzący z jego żołądka narasta falami. Widzę, że słoiki, opakowania i batony na regale, do którego został przykuty, poruszają się, jakbyśmy znaleźli się w centrum trzęsienia ziemi. Mój palec zastyga na spuście. Nie wiem, czy powinienem strzelać. Nie mam wątpliwości, że gromadzi w sobie jakąś moc i kiedy skończy, wypuści ją na nas niczym diabelski rój szarańczy. Co jednak się stanie, jeśli go rozwalę teraz? Równie dobrze może wybuchnąć i roznieść tę budę w drobny mak.

Demon parska śmiechem.

Żółty płyn wypływa z gardła Smoka, ścieka na wielką wargę, która momentalnie zaczyna dymić, skwierczeć. Bandzior uderza pięścią w regał,

próbując powstrzymać ból. Nagle spojrzenie jego wąskich oczek koncentruje się na nas. Odchyła głowę do tyłu, a ja podejmuję błyskawiczną decyzję.

Łapię Pollocka i Olgę za fraki. Odpycham ich w jedną stronę, sam uskakuję w drugą.

Powinienem był go rozwalić, kiedy miałem szansę.

Strumień wrzącego oleju rozpryskuje się w miejscu, gdzie byliśmy sekundę wcześniej. Przepływa pomiędzy spoiwami szkielec lady, momentalnie topi ułożone wewnątrz słodycze. Bulgocze na podłodze. Zalewa kasę, która zaczyna dymić w środku. Pewnie płoną banknoty. Słyszę syczenie obok ucha. Kątem oka zauważam, że kilka kropeł płynu pyrkocze na moim płaszczu. Bezmyślnie ścieram je dłonią.

– W mordę! – wrzeszczę z bólu.

Smok zaczyna przygotowania do kolejnego plunięcia.

Po twoim trupie, skurczysynu.

Kładę rękę na blacie, żeby nie zadrżała, tuż obok bulgoczącego płynu, i naciskam spust do wyczerpania bębna. Pięć grzmotów tłamszących każdy inny dźwięk. Nakrywają hukiem krzyki przerażonej Olgi. Cztery pierwsze kule rozpieprzają całe połączenie towaru. Trafia dopiero ostatnia. Przez dziurę we łbie Smoka widać słodkości.

Siadam. Rzucam gnata na podłogę. Wyciągam chustkę do nosa z kieszeni i owijam poparzoną dłoń. Pollock wstaje, a ja zaczynam chichotać. Jego śliczny, cudownie elegancki płaszczek jest cały w dymiącej kropie.

Papierkowa robota. Nienawidzę tego.

Rozglądam się po piętrze. Niewielu nas tutaj. Niemal wszyscy krążą po mieście, próbując znaleźć jakiś trop w sprawie mordercy o zamiłowaniu do usuwania zębów, godnym niedoszłego studenta stomatologii. Nawet Pollock gdzieś pojechał; tak że na całym poziomie jestem tylko ja, nie licząc szefa i tych dwóch lebieg, Kowalskiego i Katza. Papużki

nierozłączki, jedna coś wklepuje na maszynie do pisania, a druga siedzi na biurku i trajkocze. Tfu, lewusy jak nic.

Próbuję na nowo zebrać myśli. Literki na papierach dostały małego rozumu. Tańczą jakiegoś cholernego fokstrota, wywijając nóżkami, aż oczopląsu można dostać. Kto wymyślił, żeby tyle rzeczy wypełniać po odstrzeleniu każdego świra? Jeżeli znałbym nazwisko tego biurokraty, to kto wie, czy kiedyś na bani nie pobawiłbym się w jakąś wendetę.

No tak. Ale ja już nie piję.

Formularze, dokumenty, oświadczenie, analiza. Pewnie chętnie by mnie zawiesili do wyjaśnienia, gdyby nie fakt, że prowadzę najważniejszą sprawę w historii komisariatu.

Wreszcie kończę. Stawiam ostatnią kropkę, ostatni raz się podpisuję, zgarniam papierzyska i układam je równo w tekturowej okładce. Zanoszę szefowi na biurko, a ten mówi wielkodusznie, że resztę dnia mam wolną, jeśli tylko zapoznam się z raportami dotyczącymi Sprawy. Tak o niej mówi. Jestem pewien, że mówi o niej tylko Wielką Literą.

Nalewam wody do kubka, przyglądając się parce przy biurku. Kowalski podnosi głowę, więc przesyłam mu buziaka i macham zalotnie, jak to ich rodzaj ma w zwyczaju. Uniesiony środkowy palec jest moją nagrodą za próbę bycia sympatycznym.

Przechodzę do Sprawy.

Raport konowała nie wnosi wiele nowego. Denatka, Sabina Braunbaum, lat dwadzieścia siedem, została pozbawiona życia około czternastu dni temu, co chronologicznie czyni ją najwcześniejszą znaną ofiarą mordercy. Zabita w taki sam sposób. Zdjęcia pokazują to, co w ciągu kilkunastu dni oglądałem już wielokrotnie: młode, niegdyś piękne ciało kobiety – rozerwane, jakby postawiono ją przed plutonem egzekucyjnym, którego członkowie strzelali do momentu całkowitego opróżnienia magazynków. Tak, to byłoby rozwiązanie zagadki, gdyby nie fakt, że

brakuje kul, śladów prochu, nie ma spalonej tkanki. Właściwie brakuje wszystkiego, co broń po sobie zostawia. Poza wielkimi dziurami.

Może strzelał z procy soplami lodu? Zapijam tę głupią myśl zatęchłą wodą z kubka i czytam dalej.

Trzydzieści dwie dziury na całej powierzchni ciała. To akurat się zmienia. Czasem ran jest dwadzieścia osiem, czasem dwadzieścia siedem, czasem trzydzieści. Raz były trzydzieści dwie. Zmienia się ilość, ale nie broń, którymi obrażenia zostały zadane. Broń, jakiej nie znamy.

Rwie mnie w krzyżu. To lata przypominają o sobie. Ciało daje do zrozumienia, że pora dać odpocząć starym kościom. Muszę przespać kilka godzin, bo nocą mam jeszcze jedno miejsce do odwiedzenia. Prawda, Paddy?

Sięgam do najniższej szuflady. Wita mnie stos papierów i tekturowych teczek, walające się luzem naboje, ułamana linijka i brudna szklanka. Eh, zastanawiałem się, gdzie zniknęła.

Grzebię długo w bałaganie, aż wreszcie znajduję to, czego szukałem: szarą, niezbyt grubą tekę podpisaną flamastrem „Dzień Rudego Śniegu”. Tutaj jest wszystko o sprawie, którą sobie sam przydzieliłem, bo oficjalnie żadna policja tego kraju nie miała prawa albo ochoty się nią zająć. Każda informacja, każdy wycinek gazety poświęcony temu wydarzeniu leżą w środku.

Lata minęły od tamtego dnia. Pijany jak świnia szukałem zapalniczki ojca. Nie dlatego, że to była pamiątka. Dlatego, że kurewsko mocno miałem ochotę zajarać. Chwilę wcześniej zobaczyłem jakiegoś peta w koszu na śmieci i capnąłem go, zanim wywróciłem się na pysk. Grzebałem po kieszeniach, zaciskając zęby na śmierdzącym niedopałku, ale nigdzie nie mogłem wymacać tej cholernej zapalniczki. Dopiero kiedy już miałem zrezygnować i walnąć w kimę, dostrzegłem, że leżała dobre dwa metry dalej. Próbowałem wstać, ale nie miałem siły. Tylko wpatrywałem się w nią z nienawiścią.

Zaczęło padać. Puch. Nie biały, jak zawsze, ale rudy. Jakby do chmur dolano krwi i dopiero potem rozpruto im brzuszyska.

Wszędzie wokoło ludzie umykali, bojąc się pewnie skażenia albo klątwy Boga, czy czegoś podobnego, a ja siedziałem i miałem ten wybryk natury głęboko...

Czapy rudego śniegu obsiadły mi ramiona jak generalskie pagony, rondo kapelusza ugięło się pod ich ciężarem, a ja wciąż gapiłem się na niknącą pod opadem zapalniczkę. I myślałem o tym, jak bardzo, bardzo chcę, żeby ten pet się zapalił.

No i zapłonął. Nieśmiały ogieniek rozпалиł końcówkę do czerwoności, ale zanim zdążyłem się dobrze zaciągnąć, całość eksplodowała w deszczu iskier, tytoniu i płonącej bibuły.

Później każdego dnia pojawiały się doniesienia o dziwnych wypadkach. A to ktoś w Toronto wybuchł na oczach dziesiątek ludzi: wsuwał hot-doga, gwarząc z przyjacielem w jednej chwili, żeby w drugiej zostać rozerwanym na kawałki, jak gdyby zżarł dynamit. Ktoś inny przesadził z ilością wygranych w ruletce, miał jednak dość szczęścia, że wezwano policję, zanim wzięły się za niego cwaniaczki z kasyna. Facet umiał sprawić, że zawsze wypadła jedna liczba. Niezły fart, co? Był też gość, który zamienił policyjną pałkę w węża. Gliniarz przeżył tylko dzięki serum, ale i tak stracił kawał dłoni. Podobno w więzieniu koleś dla zabawy zamieniał papierosy w małe wężyki, które później wcinał. Znaleziono go martwego z gadem w dupie.

Tuziny historii.

Każdego dnia pojawiali się nowi, obdarowani jakimś talentem. Trwało to rok, dwa, a potem się skończyło. Statystyki mówią, że wielu z tych ludzi zginęło. Zostali zamordowani albo mieli tak niestabilną umiejętność, że sprowadziła na nich kostuchę. Większość zarejestrowano na listach federalnych, tak na wszelki wypadek. Chociaż sądzę, że naprawdę

niebezpieczni od razu dostali czapę. Zapobiegawczo. Bo przecież nikt nie ma oczu dookoła głowy.

Z biegiem czasu wszystko się uspokoiło. Przywykliśmy, że czasem można zobaczyć coś dziwnego na ulicy, nawet w spokojny niedzielny poranek, i dla ogółu społeczeństwa na tym się skończyło. Dziwne przypadki przestały pojawiać się w prasie i radiu, a więc przestały występować. I rzeczywiście. Pracując w policji, również coraz rzadziej natykałem się na „nadzwyczajnie uzdolnionych” opryszków.

Lata później zrozumiałem, że ci sprytniejsi po prostu używali talentów po kryjomu, zapewniając sobie dostatnie życie. Oczywiście o ile ta zdolność była wystarczająco dobra.

No i dowiedziałem się o czarach. O tym, że istnieją. Okazało się, że niezwykle talenty, efekt Dnia Rudego Śniegu, to jedynie fasada, uzewnętrznienie możliwości operowania magicznymi mocami. Księgi z ezoteryką nagle zaczęły cieszyć się większą popularnością niż kiedykolwiek. Co do mnie, niestety, zawsze kiepski był ze mnie czarodziej. Tak jak idiotyczny jest mój talent do rozpalania papierosów na odległość, tak też idiotycznie mikre są moje zdolności manipulowania magią.

Wracając do rzeczywistości, kładę teczkę obok raportu konowała. To oczywiste, że ścigamy mordercę, który albo ma potworny talent i jakimś cudem przez lata zdołał uniknąć rozgłosu, albo jest genialnym magiem, co czyni z niego kogoś równie niebezpiecznego. Fakt zostawiania naszyjników z zębów mógłby wskazywać na czary. Ale nie sądzę, żeby o to chodziło. Poza tym, przy Sabinie Braunbaum nie było naszyjnika... To nie jest rytuał.

Wstaję z krzesła, a ono stęka z wdzięcznością. Ostatnim spojrzeniem żegnam raport ze śmierci pana Smoka i zastanawiam się, jakim cudem taki debil przeżył aż do dzisiaj.

Rozdział IV – Ciemna noc

Płynę zanurzony w gęstej, ciepłej wodzie. Z początku niewiele widać, jakbym znalazł się wiele metrów pod powierzchnią, jednak z każdym kolejnym, głośnym jak grzmot uderzeniem serca wszystko staje się jasne. Nie płynę.

Frunę w lepkim, wilgotnym powietrzu. Stawia opór, ale przecinam je skrzydłami bez trudu. Na srebrnych lotkach odbija się światło płonących chmur, które wirując w obłąkańczym tańcu, rosną z każdym tchnieniem życia napędzającego setkę miechów zamkniętych pod pancerzem mojej piersi.

Spoglądam w dół, gdzie za rwącym nurtem elektrolitycznego Styksu, purpurowym traktem wyrwanym niebieskim, mięsożernym trawom, kroczą setki niższych istot, ciągnąc za sobą na platformach, połączonych skomplikowanym splotem lin, nasze wyrzeźbione podobizny. Rzeźbom tworzonym ich niewprawną ręką zaiste brak polotu i maestrii przypisanej istotom wyższym, jednak w swej niezmierzonej łasce daruję im życie, ażeby przez znój i pracę ku naszej chwale ich istnienie nabrało sensu.

Płomienne chmury rosną z każdym uderzeniem mych skrzydeł i wiem, że zaraz wyplują ze swych trzewi deszcz ognia, czyszcząc ziemię z niższych form życia. Już czuję pierwsze ogniste kule rozbijające się na plecach i ogień pełga po mym niezniszczalnym ciele. Popłoch zwierząt-robaków na dole jest niemal zabawny i gdyby nie to, że całkiem niedawno ocalałem ich przed własnym kaprysem, dając kolejny dzień służby, to chętnie popatrzyłbym, jak próbują uratować swe nic nie warte żywoty przed nadchodzącą zagładą. Jednak to nasza planeta i nikt ani nic nie złamie danego przez nas słowa. Nasze robaki umierają, kiedy im pozwolimy. Nie wcześniej. Dlatego odwracam się, a płomienie przygasają na mym ciele.

Tatuaze wyryte w dniu mego powołania przez Protoplastę rozbłyskają purpurą i błękitem. Mechanizmy i miechy pompują żywą energię, z której zostałem stworzony, a poddani na dole płaczą z radości na mój widok.

Krzyczę na ognistą chmurę. Fala mej złości rozpycha powietrze, dezintegruje cząsteczki życia i dociera do potężnego obłoku. Rozgania go, zamienia w niewielkie, niegroźne płomyki.

Na ziemi wiwatują.

Myszę o spotkaniu, o wyczekiwanym od dawna dniu, i z całą mocą uderzam skrzydłami.

Krajobraz się rozmywa. Zamienia w plamy, które kładą się jedna na drugą, kiedy nabieram tempa. Mój umysł niemal natychmiast przestrasza się na tę prędkość i znowu wszystko jest wyraźne; tylko moje ciało pędzi tak szybko, że poślednie istoty nie są w stanie go dostrzec. Nieskończenie później słyszą jedynie huk, potężniejszy niż grzmot ognistej burzy.

Na horyzoncie Wieża Stworzenia o milionie pięter przecina niebo. Jadeitowe pagórki lśnią dumnie, wyczuwając mą obecność, kiedy je mijam. Drzewa z koronami elektrostatycznych gałęzi chylą się z nabożną czcią, ale nie poświęcam im uwagi, zmierzając wprost ku sercu naszego dominium.

Wieża rośnie. Z linii na horyzoncie zmienia się w budowlę tak szeroką, że aby ją obejść, pełzające robaki-sługi potrzebowałyby wielu cykli. Jej ściany są czarniejsze niż kosmos, wydarte rzeczywistości, tak doskonałe jak ja, Awian.

Uderzam dłońmi o konstrukcję, wyhamowując lot. Odbijam się z właściwą lotnikowi gracją, biję skrzydłami i frunę w górę. Okna, freski miliona pokoleń, nabierają życia w tym pędzie. Każdy obraz na każdym piętrze przedstawia inny moment ewolucji naszej rasy. Widzę, jak konwertujemy w mgnieniu oka, jak rosną nam skrzydła i jak łączymy się z metalem. Ewoluuujemy. Rośniemy w potęgę. Aż w końcu obrazy przestają się zmieniać. Staliśmy się Idealem.

Komnata Protoplasty jest już blisko.

Kolumna Wieży Stworzenia poszerza się, kiedy wreszcie docieram do diamentowego zwieńczenia, do komnat zamieszkiwanych przez rodzinę władcy i naszych krewniaków. Diament ten Protoplasta wyróżnął nieskazitelnie niezłomną wolą, przemieniając w miejsce odpowiadające gustom naszym i naszych przyszłych pokoleń.

Chwała Pierwszemu.

Diament pamiętający wolę stwórcy morfuje, robiąc mi przejście, i wpadam do wnętrza naszych komnat. Zastaję pustkę. Czyżbym się spóźnił?

W lampionach z kryształu, między którymi śmigam, wzbijając się na ostatnie piętro, połyskują czerwone i niebieskie kolory mych tatuaży.

Docieram do brylantowych drzwi. Zegarowe mechanizmy umieszczone w przezroczystych ścianach terkoczą kilk-klik-klak, poruszając ciężarkami, dźwigniami, zapadniami i przekładniami, żeby ruszyć wreszcie potężne skrzydła. Upadam na podłogę. Ślizgam się na niej, krzesząc wokół deszcz iskier. Widzę wnętrze komnaty, ale jest ciemno.

W środku jest ciemno.

Budzę się z krzykiem. Serce wali z szybkością karabinu maszynowego, jestem spocony, jakbym dopiero opuścił saunę. Patrzę na zegarek, ale w ciemności nie mogę zobaczyć, którą godzinę wskazuje. Mam ochotę na drinka. Zieloną Wrózkę bez kropli wody, bez krztyny cukru dla złagodzenia mocy alkoholu. Chcę Zielonej Wróźki z butelki, z gwinta, pitej do oporu, aż wypali gardło i żołądek.

Zegar cicho tyka. Jestem u siebie. Słyszę jakiś odgłos z boku, widzę błysk świateł, ale to tylko dźwięki dochodzące z zewnątrz i czerwone światło koguta pędzącej na syrenie straży pożarnej. Coś płonie. Może i ja spłonę tej nocy?

– Dzięki za koszmar, towarzyszu. – Odcharkuję i sięgam po dzban wody, który zawsze stawiam obok łóżka. Zwyczaj jeszcze z pijackich czasów.

Czekam, ale nie odzywa się, więc zaczynam pić.

– *Nawet pełzający robak doceni dar oglądania lepszego świata – zgrzyta nagle i prawie się krztuszę. – Ten sen będzie dla ciebie inspiracją, człowieku-Ezra.*

– Tak jest. Inspiracja. Teraz zamierzam się ciebie pozbyć najszybciej, jak to możliwe.

– *Pomóż mi.*

– Cokolwiek – wzdycham – cokolwiek sobie zażyczysz, Paddy.

Zgrzyt gniecionej blachy w środku głowy nie należy do przyjemności, a właśnie taką barwę, jeśli można nazwać to barwą, przybiera głos demona, kiedy się złości. Boli jak cholera, ale jeśli kogoś naprawdę nie znosisz, możesz znieść naprawdę wiele, by mu dopiec...

Szukam w mroku sznurka od nocnej lampy, ale ten ciągle wymyka mi się z palców. Zupełnie jak wtedy, kiedy jeden jedyny raz próbowałem jeść pałeczkami.

Wreszcie się udaje i delikatne, maślane światło zalewa sypialnię. Zauważam, że odwinął się nieco bandaż na dłoni; powodowany ciekawością odwijam go bardziej – poparzenia goją się wspaniale, miejsce czerwonej, lśniącej skóry zastąpiły twarde, suche strupy, jakby minęły dwa dni, a nie kilka godzin.

– A jednak się troszczysz, słodki Książę.

Dobry nastrój pryska równie nagle, jak resztki snu znikają z pamięci. Mój świat nie jest komedią, chociaż czasem się, cholera, staram.

– *Bądź gotów.* – Dwa słowa to dość, żeby zepsuć humor.

– Ta. – Nie mogę się doczekać.

Paddington jest podniecony, czuję wyraźnie. To nie są dobre wieści. Nie boję się, bo wiem, że kiedy doniosę go na miejsce, cała sprawa rozegra się pomiędzy nim a jakimś innym potomkiem Protoplasty. Dawno zrozumiałem, że nie mam wpływu na wynik ich konfrontacji, nie mogę też jej zapobiec. To musi nadejść prędzej czy później, więc lepiej, żeby

nadeszło jak najszybciej. Niech wyłonią zwycięzcę tej ich popieprzonej rywalizacji, a ja znowu będę miał święty spokój.

Z drugiej strony, oni będą walczyć, a my, ludzie, patrzeć. Bo poważnie wątpię, żebyśmy potrafili ich zatrzymać, gdyby nabrali ochoty na małą rozwałkę.

– Myślisz, że dasz im radę? – pytam kpiąco, chociaż wcale nie jest mi do śmiechu.

Diabli wiedzą, co stanie się ze mną, jeśli Paddington zostanie zabity.

– *Zwierzę bez wiary. Jam jest Paddington, najznamienitszy Trykster, Wielki Pogromca, nikt nie może się ze mną równać. Wynik walki jest z góry przesądzony. Zniszczę i połamię członki konkurentów do tronu. Zetrę w pył, wetrę w tę brudną ziemię, na której żyjecie.*

– Tylko pytałem.

Awian zaczyna się niecierpliwić, idę więc do łazienki, by wysikać całą wodę, jaką wypilem w ciągu dnia. Myjąc ręce, niechcący dostrzegam swoje zmęczone oblicze. Ciemne okręgi wokół oczu pogłębiają się po każdej zarwanej nocy, a bruzdy na policzkach mają teraz głębokość Wielkiego Kanionu. Białe włosy sterczą na boki, przez co wyglądam jak emerytowany strach na wróble. Przypominam sobie o brylantynie „Wujek Joe” (który zawsze robi porządek z fryzurą) schowanej w szafce obok umywalki. Rzeczywiście, stoi tam, pośród całej masy leków, które niegdyś brałem. Nakładam ją, chwytam za grzebień leżący obok i przyglądam włosy, zbierając za każdym pociągnięciem od groma tłustej mazi. Jeszcze cienki wąsik i byłbym podstarzałym włoskim żigolakiem.

Ubieram się w ciszy. Wyciągam z szafy stary garnitur, jakimś cudem prawie w nienagannym stanie, chociaż ostatnio nosiłem go dwadzieścia lat temu, w dniu wesela...

Nie przeglądam się w lustrze, kiedy już jestem gotowy, nie chcąc budzić przed akcją tamtych wspomnień. Pewne rzeczy powinny pozostać zagrzebane pod toną kurzu.

Czuję się jak przebieraniec, jakbym założył cudzą skórę. Z żalem zostawiam wysłużony prochowiec i oba garnitury, które na co dzień noszę – są już niczym mundur, przesiąkły zapachem gliniarza jak stare skarpety potem, a tam gdzie się wybieram, wywęczają niebieskiego na kilometr. Zostawiam też kapelusz, żeby nie zepsuł tej misternie przygładzonej fryzury.

Noc jest chłodna. Na dole witają mnie wiatr i wielki księżyc opatulony chmurami niczym szalikiem. Już tęsknię za płaszczem.

Mam właśnie wsiadać do auta, kiedy dostrzegam ruch po drugiej stronie ulicy. Przyglądam się uważniej, ale nic więcej nie widzę. Chyba jestem przeczulony na punkcie tej chińskiej wiedźmy. Wszystko się we mnie gotuje, kiedy przypominam sobie, co zrobiła z moim frakiem. Niech się cieszy, jędza, że nie puściłem z dymem tej cholernej pralni. Gdybym miał wtedy odznakę...

Wymachuję pięścią. Jeśli patrzy, to niech wie, że pamiętam i kiedyś odzyskam dług.

Auto zapala za drugim razem, rzeżąc donośnie jak zarzynany świniak, i wytacza się powoli na ulicę, która w środku nocy wygląda na wymarłą. Jadę powoli, próbując dojść do ładu z ugniatającą bok kaburą, aż w końcu wyciągam rewolwer i kładę go na siedzeniu, niemal od razu czując ulgę. Przychodzi mi do głowy, że wyglądam, jakbym wybierał się na własny pogrzeb, ubrany w najlepszy garnitur z pieczołowicie przylizaną fryzurą. Tylko pudru na gębie brak.

Wyjeżdżam na główną ulicę. Tutaj co jakiś czas mijają mnie okrągłe światła automobili, pędzących bez poszanowania przepisów. Przejeżdżam obok zegara, zawieszzonego na potężnym, żelaznym ramieniu wystającym z jednego z budynków. Jest druga. O tej porze gliniarz może spotkać na ulicach tylko innego gliniarza, oprycha albo pijaka. Właściwie mógłbym zacząć strzelać na oślep i najpewniej przysłużyłbym się społeczeństwu, eliminując jednego czy drugiego wroga publicznego.

Z prostopadłej ulicy wytacza się dorożka, a uwęglony brudas smagający biczem konie pokazuje mi środkowy palec, jakbym mu się czymś naraził. Mam ochotę zrobić z facetem porządek. Widzę, że chwieje się na ławeczce, tańczy na boki, jakby siedział na łodzi w czasie sztormu o sile dziesięć w skali Beauforta. Zaraz wywróci się, spadnie, wtoczy komuś pod koła i będzie nieszczęście, bo zniszczy czyjś automobil.

Cholera. Czasu mam mało, ale nie mogę tak faceta zostawić.

Zmieniam bieg, dociskam pedał gazu i wymijam go prawą stroną, z piskiem opon parkując przed parą karoszy, które z wrażenia stają dęba. Wybiegam z auta.

– Policja! – ryczę.

A wozak mamrocze coś do mnie po swojemu. Ni w ząb nie rozumiem.

– Cholera, nie mam na to czasu – syczę, wpakowując się obok niego na ławeczkę.

Z początku patrzy nic nierozumiejącym wzrokiem, ale zaraz zaczyna szarpać mój elegancki garnitur i dalej bełkocze w pijackim żargonie; więc uwalniam się, zanim zdąży mnie obrzygać i przestawiam mu nos lewym sierpowym. Miętko jak szmaciana lalka wpada mi w ramiona. Unoszę go, ciężki jest dziadyga, i odkładam na hałdę węgla, którą wiezie.

Złapawszy już za lejce, dociera do mnie, że nie mam pojęcia, jak tym czymś kierować, robię więc pierwszą rzecz, jak przychodzi do głowy: smagam wozami. Konie ruszają pędem, z trudem utrzymuję się na siedzisku. Zakręcają przed autem, cudem unikając zderzenia, ale wóz nie ma już tyle szczęścia. Ociera się o bok automobilu, krzesząc jasne jak zimne ognie iskry. I bądź tu dobry.

Karosze przyspieszają, wpadają na chodnik, jakby straciły rozum. Gwałtownie poruszają chrapami, toczą ślinę z pyska jak psy do uśpienia, a ich podkute kopyta walą w beton bez opamiętania. Pędzimy szybciej i szybciej. Powietrze wokół furkocze, wciskając bębunki głębiej w czaszkę.

Koło wozu uderza w czerwony hydrant, luzując zatrzask, i kiedy się odwracam, widzę już strumień wody zmywający ulicę.

Niech to wszyscy diabli.

Łapię mocniej lejce i ciągnę z całej siły w jedną stronę, wykręcając łby głupim bestiom. Te wypluwają spienioną ślinę, walczą jak ryby na końcu wędki, ale nie popuszczam, tylko ciągnę mocniej, coraz mocniej, aż się dziwię, że nie łamię im karków. Wreszcie zwalniają. Nieznacznie, ale jednak.

Zauważam dużą skrzynkę na listy. Durne zwierzęta skręcają właśnie na nią. Jeżeli wyhamują, może się to dla mnie źle skończyć. Zapieram się nogami, owijam wodze wokół przedramion i rzucam się w tył, do siły mięśni dokładając jeszcze przeszło sto kilogramów masy. Teraz, kurwa, stają prawie w miejscu.

– No. Trzeba tak było od razu – mówię zadowolony, ścierając pot z czoła. Słyszę za plecami niepokojący szelest...

Tylko nie to!

Kwadrans później wycieram chustką pocerniałą od węgla twarz. Garnitur jest w oplakany stanie. Brudny, jakbym właśnie skończył szychtę w kopalni. Całe przebranie na nic.

– Przynajmniej nie wezmą mnie za gliniarza.

Wyrzucam brudną chustkę i szybkim krokiem ruszam ku autu. Przechodząc przez wielką kałużę powstałą przy zniszczonym hydrancie, przecieram jeszcze lakierki. Nie wiem właściwie, po co. Za moimi plecami bałagan – czarna góra, w której ktoś umieścił wóz. Przynajmniej woźnica będzie miał ciepło. Smacznie pochrapuje, przysypany do pasa węglem.

Odpalam silnik i zawracam, żeby ominąć pobożowisko. Nigdy więcej zabawy w samarytanina.

Przebijam się przez bardziej eleganckie ulice, czyste jak gabinet dentystyczny przed wizytą pierwszego klienta, przy których stoją bloki ozdobione gustownymi rzeźbami oraz freskami. Tutaj czasem można

zobaczyć flagę narodową w oknie, zupełnie jak w zamożnej dzielnicy Pollocka. Mijam pasażę pełne zamkniętych na cztery spusty sklepów. Zbytkowne towary na noc poznikały z wystaw, a eleganckie napisy skryły się za kratami. Oczywiście nie powstrzymałyby zdolnego włamywacza, gdyby już się zdecydował, jednak odstraszą cwaniaczków, bazując na zwykłym, ludzkim lenistwie. Po co się wysilać, skoro są łatwiejsze miejsca do obrobienia.

Wreszcie zajeżdżam do Czerwonej Dzielnicy.

Tutaj nie widuje się radiowozów. Mimo mordów i rozbojów niebiescy chłopcy omijają ten rewir nocą. Tutaj nie lubią glin. Żaden klient nie szukałby damy na noc, jeśli kręciliby się tu mundurowi. Dlatego w Czerwonej Dzielnicy działają obecnie wyłącznie tajniacy, licząc na łut szczęścia, świeży trop, a może i spotkanie naszego oprycha podczas ataku na jedną z pań lekkich obyczajów.

Status quo. Mundury nie są dobre dla biznesu, to powie nawet nowicjusz, który dopiero uczy się tłuc swoją lalę w taki sposób, żeby nie nadpsuć towaru. Status quo. Alfonsi nie pchają się do lepszych dzielnic, nie wystawiają swoich panien na porządnych ulicach, pod szyldem żydowskiego jubilera albo szwajcarskiego banku. Prawo nie pcha się na ich teren. Prostytucja nie pcha się na nasz.

Auto toczy się leniwie wąskimi ulicami jak kilka podobnych gratów przede mną. My oglądamy panie, a panie i ich dobroczyńcy oglądają nas, wężąc, czy nie wieziemy ze sobą kłopotów. Co rusz mijam okna, w których uchylają się półprzezroczyste zasłony i jedna czy druga lafirynda prezentuje podwiązkę zakłęśniętą na soczystym udzie albo cycek wyskakujący z biustonosza zręczniej niż królik z cylindra. Pokazują się na chwilę, kiedy światła aut muskają ich okno, a kiedy robi się ciemno, znikają. Jeżeli kierowca się decyduje, to opuszcza pojazd i wchodzi do pomieszczenia. Będzie grzeczny, to nikt nie ruszy samochodu.

Kolejna ulica wygląda, jakby wykrojono ją z piekła; czerwone zasłony na wyższych piętrach i umalowane czerwoną farbą żarówki lamp ulicznych tworzą niesamowity klimat. Wyznawcy diabła w pochodzie z kozłem w pierwszym rzędzie i byłby komplet.

Przypominam sobie usta Delili. Jesteśmy blisko miejsca, które nam ukazała. Wiem już, że zaraz, za następnym zakrętem, ujrzę tamten dom. I tak właśnie się dzieje.

Budowla wyrasta w świetle księżyca. Jest mrocznym kamieniem wciśniętym w szary pierścień pozostałych budynków, które chociaż maźnięte wszechobecną czerwienią, wyglądają przy niej nadzwyczaj normalnie. Nie wiem, czy naprawdę różni się od reszty, czy tylko ze względu na przebyty niedawno rytuał w moich oczach wydaje się niezwykła. Jej ściany drgają delirycznie, jakby miały ochotę wyrwać się z matni naszego miasta, i zniknąć albo wzlecieć w przestworza jak pocisk wystrzelony z armaty. A może w piwnicach tego burdelu ktoś schował prywatne trzęsienie ziemi, zamknął je, żeby nie przeszło na pozostałe przecznice. A może... Może to cała rzesza klientów tak ostro posuwa w wyrach dziwki, że blok aż tańczy w szalonym rytmie pieprzenia.

Rany. Co się ze mną dzieje?

Staję znacznie wcześniej, niż powinienem, kawał drogi jeszcze do celu, dobre sto kroków, albo więcej. Ale wolę się przewietrzyć, bo chyba dostaję świra.

– *To magia, co widzisz* – klekot Awiana jest prawie uspokajający.

W porządku, czyli to nie zmęczenie.

– Co będzie, jeżeli zginiesz? – pytam.

– *Nie zginę.*

– Ale jeżeli tak się zdarzy?

– *Nie zdarzy się. Taka możliwość jest wysoce nieprawdopodobna.*

– A jeśli jakimś cudem byś zginął?

– *Ja jestem od cudów, jestem stwórcą cudów i nie ma rzeczy, której nie potrafię dokonać, bom największy z wielkich, Pogromca i najznamienitszy Trykster...*

O rany. A ten znowu swoje.

– Co w takim razie będzie z tymi Awianami, których zabijesz? – Lepiej zmienić temat, pewnych odpowiedzi nie wyciągnę z tej zanitowanej czaszki.

– *Wróć do domu.*

– To przerośnia, tak? Jak w religii, z księdzem i świętymi księgami, słowa pocieszenia dla odchodzących?

Cisza. W głowie tylko terkocze.

Chowam gnata do kabury i wysiadam.

Świeże powietrze – całkiem rześkie, jeżeli zignoruje się wszechobecny smród moczu – niesie dźwięki nocy. Słysząc ciche pojękiwania i głucho uderzenia, które w żadnym razie nie kojarzą się z czymś niebezpiecznym. Mijając każdą alejkę, nasłuchuję uważnie, ale nie wyczuwam, żeby ktoś czaił się w ciemnościach. To dobrze, bo im mniej ludzi mnie ogląda, tym lepiej. Chociaż wątpię, by ktoś w takim ubrudzonym dziedzię rozpoznał detektywa.

– *Kiedy ich zabiję, nasza Gra się zakończy.*

– A ostatni? A zwycięzca? – pytam, zbliżając się ku wejściu do budynku. Z bliska gdzieś ginie cała niesamowitość, której dopiero doświadczyłem, upiorność przemija bezpowrotnie, co mnie cieszy. – Chyba tutaj nie zostaniesz?

– *Zwierzę-człowieku, ja odejdę jako nowy Protoplasta, żeby kreślić linie egzystencji dla kosmosu.*

– Cieszę się twoim szczęściem. – Pukam niecierpliwie w drzwi, wcielając się w rolę pasującą do mojego obecnego wyglądu. Przychodzi mi do głowy, że przydałoby się opryskać alkoholem dla lepszego efektu, ale jest już za późno. – Czyli nie mam się czym przejmować, jeżeli przegrasz?

Po prostu odejdiesz na swoją... tam, skąd pochodzisz, a ja będę mógł spokojnie doczekać emerytury.

Rozbawiony terkot wystarczyłyby za odpowiedź, ale Paddington nie odmawia sobie przyjemności całkowitego pozbawienia mnie złudzeń.

– *Trkt. Nie licz na litość zwycięzców, człowieku.*

Drzwi uchylają się, skrzypiąc.

– W czymś pomóc, sir? – Wielki Murzyn śmieje się do mnie garniturem zębów ze szczerego złota. Ma w gębie pewnie ze dwie pensje detektywa.

– Dobry, dobry. – Klepię go po ramieniu, przybliżam się i szepczę do wielkiego mięsistego ucha, jakby należało do mojego najlepszego przyjaciela. – Sły-słyszaleś coś?

– Co, sir? – Czarny dżentelmen nie ma ochoty ubrudzić swojego karmazynowego kubraka. Kątem oka widzę, jak grube paluchy zaciskają się na lasce, której używa jako podpory, więc robię mu trochę miejsca, żeby nie dostać po mordzie i nie stracić szansy na bezproblemowe wejście.

– Że-że tutaj dobrze się mogę zabawić? – mamroczę.

Ochroniarz patrzy na mnie, jakby nie rozumiał ani słowa.

– Kolega mi-mi polecił to miejsce. Mówił, że macie dobre kobiety.

– Pana kolega się pomylił, sir. Tylko najgorsze z najgorszych, same jawno-grzesznice. Prędzej piekło zamarznie, niż wejdą do królestwa niebieskiego. Ale czy ma pan pieniądze, sir? – Obniża głos, nachyla się do mnie i czuję zapach mięsa oraz cebulki. Jego rozlazła facjata błyszczy wilgocią.

– Proszę. – Podaję mu banknot dolarowy i wpycham się do środka, zanim zdąży zaprotestować.

Pasiaste zielono-czerwone tapety oklejone u dołu lakierowanymi na błysk deskami oraz podłoga koloru orzechowego kojarzą się ze zgnilizną. Wąski hol, gdzie dwóch mężczyzn nie mogłoby stanąć obok siebie, pogłębia wrażenie paranoi. Czerwone lampki uczonepione ścian dają dość światła, żebym widział, dokąd idziemy.

Kierujemy się w stronę schodów. Murzyn staje przy nich pierwszy, czekając cierpliwie, podczas gdy ja zataczam się od jednej burty korytarza do drugiej, pilnując, żeby nie wychodzić z roli, a kiedy wreszcie dołączam do niego, puszcza mnie przodem. Na plecach czuję ciężki oddech. Prycha jak byk, który zaraz rzuci się do ataku. Przypominam sobie o rewolwerze. Nawet mnie nie obszukał... To oznacza, że byłbym ostatnim głupcem, gdybym chciał wywinąć w tym lokalu jakiś numer. Miejsce musi należeć do kogoś ważnego.

Schody są pokryte miękkim, puszystym dywanem, który jednak nie wytłumia do końca skrzypnięć zmęczonego wieloletnią posługą drewna. Podpieram każdy krok mocnym uściskiem poręczy i wdrapuję się spiralą na górę.

Kiedy jesteśmy na piętrze, ochroniarz znów prowadzi, a ja idę za nim jak piesek, dyskretnie się rozglądając. Wszystko wygląda jak na parterze, z tą różnicą, że jest tu wiele drzwi. Bardzo wiele, jedne prawie opierają się o drugie, tak blisko siebie zostały wprowadzone. Pokoiki rozkoszy muszą być naprawdę niewielkie, znaczy się, przytulne.

Zmierzamy do samego końca korytarza, gdzie czekają drzwi, za którymi znajdziemy pokój audiencyjny samej burdelmamy. Ona zawoła kilka wolnych panienek, po tym jak obetnie klienta wzrokiem, ma się rozumieć – żeby nie marnować najlepszego mięska na byle łapserdaka z ulicy. Klient sobie wybierze i zostanie poprowadzony za fujarkę do zacisznego pomieszczenia.

Mój przewodnik pokracznie sunie dalej, nawet nie zauważając, że zostawiam go samego i staję przy jednym z pokoików, z zewnątrz nieróżniącym się niczym od pozostałych. Jest zimno. Jakby ktoś wyciągnął mnie ze środka lata i wpakował do lodówki; nie mogę powstrzymać drżenia. Gdybym musiał dobyć broni, chyba wypadłaby mi z ręki.

Łapię za klamkę, ale zaraz ją puszczam – parzy, jakby ktoś podłączył z drugiej strony grzałkę.

– Hej, sir!

Krzyk ochroniarza pobudza mnie do działania. Nie mam dużo czasu, więc napieram barkiem na drzwi, nie mając już najmniejszych wątpliwości, że właśnie one prowadzą do miejsca, które ukazała nam w wizji Delila.

Odbijam się od drewna jak od ściany. Dlaczego demon nie pomaga, skoro jesteśmy tak blisko? Nie ma sensu dalej się ukrywać.

„Twój przeciwnik wie, że tu jesteś, Paddy”.

Nie czekam na odpowiedź. Wyciągam rewolwer, a ten tańczy mi w dłoni, ślizga się jak namoczone mydło, więc muszę ścisnąć podstawę rękojeści drugą ręką. Przytrzymuję. Zaciskam zęby, mając nadzieję, że ochroniarz nie wypali mi ze swojego gnata w czaszkę. Jeżeli jest uzbrojony, celny i nerwowy, to ja jestem trupem.

Bach. Grzmot wystrzału prawie rozszarpuje bębrenki. Klamka wpada do środka. Słyszę jej brzęk we wnętrzu pokoiku.

Bach. Drugi wystrzał wyrywa kawał deski we framudze nad moją głową. To złotozębny.

– Policja! – warczę na niego i widzę zdziwioną minę.

Burdelmama wypada na korytarz. Jak na sygnał pozostałe drzwi otwierają się jedne po drugich.

Nie czekam. Wpadam do środka.

– Co jest... – Teraz jestem nie mniej zaskoczony od ochroniarza.

Ze ścian zerwano tapety, które teraz walają się u moich stóp, podarte na kawałki tak drobne jak płatki śniegu. Lampa zwisa krzywo z sufitu. Zamiast pionowo w dół, ciągnie skosem na bok, jak gdyby działał na nią potężny magnes. Najważniejsze są jednak malunki na ścianach – oto pierwszy raz widzę na jawie ogniste chmury, niebieskie trawy i powyrywane ze snów abstrakcjonisty górskie pejzaże. No i wieżę, linię przecinającą ten świat, ciągnącą się od poziomu gruntu aż do kosmosu. Jest też brama, którą pamiętam z dzisiejszego koszmaru i widzę nawet, że w środku czekają trzy zacienione postacie.

Obrazy są bardziej rzeczywiste niż wszystko wokół. Prawdziwsze niż pokój, miasto, bardziej realne niż ja sam. Chociaż stoję w oddali, to czuję, jak niebieskie trawy wyciągają ku mnie źdźbła i proszą, żebym się na nich położył. Wychodzą ze ścian, porusza je wiatr, którego nie ma, a który został zawarty w pejzażu pod postacią kilku kresek. Zapominam, że jestem w środku burdelu i że zaraz przybiegnie zasapany wielki Murzyn, grożąc mi bronią.

Podchodzę do rysunku komnaty, którą tej nocy we śnie odwiedził Awian. Trzy postacie, chociaż na malunku nie są większe od mojego kciuka, budzą grozę. Jakby ich moc mogła dosięgnąć mnie z obrazu. Wiem, że mój demon jest jednym z nich.

– *Była tutaj – słyszę głos.*

– *To znaczy, że już jej nie ma? – zapytuję trochę bez sensu.*

– *Jeszcze wyczuwam jej słaby ślad.*

– *Jej?*

– *Tej, którą nazwałbyś moją siostrą, pomimo że takie określenie nie jest do końca akuratne. Nazywamy ją Odrodną Marybone albo Zepsutą. Miejsce, które wybrała, pasuje do niej doskonale.*

– *Czyżbyś nią gardził, Paddy? Przecież wasza wspaniała i wyniosła rasa jest uosobieniem doskonałości. – Nie potrafię skryć cienia satysfakcji.*

– *Każda maszyna stworzy czasem mechanizm z wadą, człowieku-Ezra. Ona jest zepsuciem, prymitywizmem. Przyjemność sprawia jej obcowanie z poświadnymi rasami.*

– *Pewnie jest bardziej sympatyczna od ciebie.*

– *Sympatyczna? Co za słowo? – Śmieje się. Nienawidzę, gdy się śmieję. Wolalbym, żeby ktoś włożył mi piłę spalinową w czaszkę. – Takie słowa nie pasują do nas, one pasują do niższych istot. Odrodna Marybone gardzi wami, i wam podobnymi, nie mniej ode mnie, jednak znajduje rozkosz, nurzając się w smrodzie gnijących tkanek. Krrrkt. Jest królową bólu,*

z rozkoszą częstuje nim poślednie istoty, jak również w swej perwersyjności lubi smakować go sama.

– Stój! Ani kroku!

Wrzask ochroniarza przywołuje mnie do rzeczywistości. Dobrze, że się opanował. Celuje z broni, ale przynajmniej nie strzela na oślep jak przed chwilą. Z facetem w takim stanie mogę się porozumieć.

– Spokojnie. Nie chcę kłopotów – zaczynam podręcznikowo. – Możemy się dogadać. Cholera, wszyscy możemy zostać przyjaciółmi.

– „Na pewno jej nie ma?” – W tym samym czasie w myślach zapytuję demona, ale ten znowu milczy.

– Proszę odłożyć rewolwer, sir.

– Chyba się nie rozumiemy. To ty odłóż.

Nie mam dobrej pozycji do negocjowania. Jego biało-czarne oczy patrzą twardo, fajansiarz nawet nie zamruga, a lufa mojej broni nadal wycelowana jest w podłogę.

– Nie wygląda pan na policjanta, sir. Muszę prosić o odłożenie rewolweru... – Kolejne słowa zamierają mu na ustach.

Wreszcie odkleja ode mnie to niezłomne spojrzenie i patrzy gdzieś obok. Korzystam z okazji; bez słowa celuję mu w bebechy i odsuwam się pół kroku, żeby przypadkowy wystrzał nie zdmuchnął mi głowy z ramion. Sam nie będę jednak strzelał, nie mam podstaw. Sprawę trzeba rozwiązać pokojowo.

Ochroniarz nie ma chyba podzielnej uwagi. Mógłbym wyjść i pewnie by nie zauważył. Na co się tak gapi?

Nie wytrzymuję i zerkam.

– O cholera.

Pod płaszczem podartych tapet porusza się coś, coś czerwonego i drżącego.

Słyszę piski za plecami. Dzielki stanęły w drzwiach, z sześć głów zagląda do środka. Wszystkie mają seksowną bieliznę, a nogi drżą im tak,

że iście cyrkowym wyczynem jest ustać na tych szpilach. Biel koronkowych majteczek jednej z nich barwi się na żółto; słyszę krople uderzające o podłogę, kiedy znów odwracam się w kierunku rannej kobiety leżącej w tapetach.

– Wezwij wsparcie. – Łapię czarnego za ramię i mocno szarpię. – Masz zadzwonić, rozumiesz?

Patrzy tępo, nie reaguje. Wiem dlaczego, ale nie czas się rozklejać, więc trzaskam go otwartą dłonią w tłusty pysk, aż robi kilka kroków do tyłu. Pojawia się złość. Dobrze. Tego chciałem.

– Weź się w garść, czarnuchu. – Macham mu odznaką przed nosem, licząc, że znienawidzony widok utrzyma go w rzeczywistym świecie. Może i jest twardy, ale nie dość, żeby nie zrobiło na nim wrażenia ciało koleżanki. Chyba nawet wiem, kto ją próbował sprzątnąć. – Leć zadzwonić po pogotowie, policję, straż pożarną. No, zrób coś. Ja zabezpieczę to miejsce.

Kiwa głową powoli, później gwałtowniej. Dociera wreszcie do tego zakutego łba, że ma mnie słuchać. Nie myśli jeszcze o wykiwaniu policji albo o szukaniu sprawiedliwości na własną rękę, a to dobry znak.

Murzyn rusza do drzwi. Tam banda dziwek nadal gapi się na umierającą kobietę jak w święty obrazek.

– I każ im się cofnąć! – krzyczę za ochroniarzem. – Żeby nie przeszkadzały.

Ostrożnie podchodzę do ciała. Kucam i słyszę jej płytki, urywany oddech. Kawałki tapety odsłaniają coraz więcej, odpadają jak warstwy obieranej cebuli, część jednak pozostaje przy ciele, przylepiona krwią i limfą. Odgarniam lufą włosy i śmieci z jej twarzy, na tyle, na ile mogę, nie sprawiając dziewczynie dodatkowego bólu. Widzę, jak się boi, jak jej brązowe niezakryte oko podąża za każdym moim ruchem. Boi się, że ją skrzywdzę.

– Spokojnie. Już wszystko w porządku – mówię.

Mruga, jakby zdziwiona, a kryształowa łąza tańczy na ciemnych rzęsach, rozmazując tusz.

Odkładam broń na bok i, najdelikatniej jak potrafię, sprawdzam jej rany. Poprzylepiana tapeta utrudnia dokładniejszą obserwację. Krwawi obficie z okolic brzucha i ust. Dostrzegam również, że straciła kilka zębów, ale nie wszystkie. Jestem pewien, że to robota naszego mordercy – spaprana, niedokończona, zupełnie jakby opuścił miejsce pracy w najważniejszym momencie. Rozgarniam strzępy tapety wokół ciała, tknięty myślą, że mógł zostawić kolejny naszyjnik, jednak niczego nie znajduję. Może jest gdzieś pod papierzyskami? Ja go nie widzę.

Coś jest nie w porządku, słyszę w myślach ostrzeżenie. To nie Paddington – on milczy, pewnie podłamany straconą szansą na zyskanie przewagi nad przeciwnikiem – to odzywa się mój instynkt. Wyhodowany w ciągu lat noszenia blachy wielokroć ratował mnie z opresji. Czasem zabroni zapukać do drzwi, w których zaraz ktoś wyrwie dziurę ogniem z dwururki. Albo alarmuje chwilę przed tym, jak roześmiany włoski cwaniaczek spróbuje wetknąć motylka między żebra pośrodku zatłoczonej ulicy. Tak, to mój psi nos mówi, że coś jest nie w porządku.

Oddycham głęboko. Słodki ciężar gnata uspokaja – wiem, że to remedium na każdy ludzki problem.

Dziewczyna unosi powoli rękę, białe skrawki poprzyczepiane do palców sprawiają, że przypomina bałwanka, którego lepiliśmy ze staruszką w starych, dobrych czasach. Wskazuje na mnie. Tapety, które pokryły jej zakrwawioną twarz, poruszają się – ciekawe, jaki przybrała wyraz? Czy jest przerażona? Czy się uśmiecha? Brązowe oko, którym mruga bez ustanku, nie wyraża żadnych uczuć. Jest jak zabarwione szkiełko.

– W porządku – mówię, delikatnie ujmując jej dłoń. – Zaraz przyjedzie pogotowie, zajmą się tobą.

Nie chce, żebym jej dotykał. Wyrывa się i po raz kolejny wskazuje na mnie palcem.

– Jestem policjantem, choć może nie wyglądam. To przebranie – tłumaczę mój obecny wizerunek.

Dziewczyna zamyka oko, a jej ręka opada. Sprawdzam puls. Ledwie wyczuwalny, ale miarowy. Po prostu zasnęła.

Patrzę za siebie, nagle pojmując, że nie wskazywała na mnie, tylko na coś nad moją głową. Na lampę. Zauważyłem ją, wchodząc, i zlekceważyłem, a teraz rozumiem, że to ważne. Lampa porusza się, sunie powoli coraz wyżej, aż prawie dotyka ozdobnymi metalowymi elementami sufitu, później zaś równie wolno zsuwa się niżej. Jakaś niewidzialna siła ciągnie ją w stronę namalowanej wieży.

– Co jest... – słyszę własny szept.

Chór głosów przy drzwiach świadczy, że dziwki również dostrzegły dziwne zjawisko. Czemu jeszcze tu są? Chyba kazałem się im odsunąć.

– *Przygotuj swoją broń.* – Paddington jest rozbawiony.

Może bawi go moja nieporadność, ale i bez niego nie zwykłem ignorować tego rodzaju ostrzeżeń.

Wcelowuję w stronę wskazywaną przez lampę, w stronę wieży. Suche trzaśnięcie odciąganego kurka rewolweru jest jak sygnał. Nie wiem, czy mam walić do ściany, czy jeszcze poczekać? Ktoś inny podejmuje decyzję za mnie. Obraz faluje, jakby ktoś wetknął malunek pod wodę, staje się niewyraźny, ostre rysy budowli giną we mgle i już nie chcę czekać. Strzelam.

Proch i iskry opuszczają lufę, nabój wyrywa pokaźną dziurę w ścianie i nie wiadomo skąd pojawia się ogromny czarnoskóry mężczyzna, cudem unikając kuli. Pada na ziemię, turla się, wyrzucając w powietrze kawałki tapety. Wirują w powietrzu niczym kurz. W tumultie dostrzegam naszyjnik z nanizanymi nań zakrwawionymi zębami, który mężczyzna ścisną w pięści.

– Stać! – wrzeszczę.

Przyklękam, przyjmując pozycję i mierzę w sam środek wiru. Gdzieś z daleka docierają do mnie głosy dziwek, a ponad nimi, chyba, nie jestem pewien, słyszę ryk syren.

Strzelam kolejny raz.

Czarny wypada z chmury gazet, zrywa się z podłogi, dobiega do okna i łapie za zamek, próbując je wyważyć z futryny. Teraz wiem, że mi nie ucieknie. Jest tak blisko, że przekrzywiony celownik nie robi różnicy, i wpakuję mu wielką kulę prosto w kręgosłup.

Naciskam spust i już widzę nagłówki gazet. Cholera, znów jestem bohaterem. Przez ślepy los, głupi traf kolejny raz ocale to miasto. Przyjechałem, żeby uwolnić się od demona, a wyląduję w Prezydium Miejskim z orderem w klapie. Szczęście chyba zaczyna mi dopisywać.

Bum. Czarny odwraca się równo z wystrzałem. Naszyjnik lśni koronkami w jego dłoni, kiedy z szybkością błyskawicy macha nim jak rakieta tenisową. Błysk. Kula wystrzelona z rewolweru wraca. Czuję jak przebija garnitur, koszulę, skórę, mięśnie i niknie gdzieś w środku, a później wychodzi po drugiej stronie. Cholera, czuję nawet przeciąg w świeżej ranie.

Padam na plecy. Nie słyszę już głosów dziwek, bo nagle robi się zupełnie cicho. No nie, jest syrena. Coraz głośniejsza syrena policji... Albo pogotowia, albo pieprzonej straży pożarnej. Nie. To się tak nie skończy. Nie poddam się. Ciężar broni przypomina, że mam lekarstwo na takich jak ty.

Przekręcam się na bok i na krótką – a może długą, nie wiem – chwilę pokój tonie w ciemności. Czarna farba wylewa się z sufitu na ściany, na podłogę i na mnie, aż wszyscy toniemy w mroku. Nie wiem już, czy bandyta zbiegł i czy jestem nadal przytomny; wiem za to, że przegrałem i że to koniec. Otacza mnie ciemność.

– *Jesteś słaby.* – On zawsze doda otuchy. – *Słabe zwierzę, głupie zwierzę, żałosne zwierzę, któremu trzeba dać w łeb.*

– „Pomóż”.

– *A cóż bym z tego miał?* – pyta. – *On ucieka, ty wciąż będziesz żył, więc w żadnym wypadku nie ponoszę straty.*

– *„Jeżeli następnym razem będziesz chciał, żebym ci pomógł...”*

– *Groźba? Pies warczy, szczerzy kły, napina muskuły, jeży sierść, ale nie ugryzie pana, jeśli się go boi* – parska. – *Jednak dobrze, pomogę ci. Udzielę rady, którą winieneś zapamiętać. Światło przegania ciemność, psie-Ezra.*

Nienawidzę go bardziej niż kiedykolwiek. Chętnie wpakowałbym resztę magazynku w ryj cwaniaczka, choćby to miało być ostatnią rzeczą, jaką zrobię.

– *Złe-brzydkie myśli o lepszych od siebie.* – Wzdycha, terkocząc jak mechanizm zapadkowy. – *Masz jeden talent. Odrobinę magii, którą musisz wykorzystać.*

Wreszcie rozumiem. Wyczarowuję magiczny płomyk, moją sztuczkę nie do zdarcia, a fakt, że go nie widzę w niczym nie przeszkadza. Wyobrażam sobie, że płonie przy mordercy. Rozjaśnia ciemność wokół niego. I chociaż dalej wszystko jest ukryte za zasłoną mroku, to wiem, gdzie jest ów ognek i wystarczy... Wystarczy, żebym celował w niego.

Wypalam trzy razy i cierpiętniczy krzyk jest moją nagrodą.

Nie wiem, ile czasu mija od wypróżnienia magazynka, jednak nadal żyję, kiedy Pollock szepcze mi do ucha, że wszystko będzie dobrze. Żyję, kiedy troskliwe, delikatne ręce unoszą mnie i układają na czymś o wiele wygodniejszym niż podłoga burdelu.

Mówię im, żeby złapali ochroniarza i prostytutki, jako świadków. Mówię też o rannej dziewczynie. Pytam, czy przeżyła. A na końcu pytam o Dentystę, jednak na żadne z pytań nie otrzymuję odpowiedzi.

Szpikują mnie jakimiś świństwami i odpływam jeszcze dalej niż do tej pory. Zbliżam się do miejsca, z którego nie można powrócić – chyba słyszę za ścianą chór aniołków i seksowny śmiech miliona napalonych dziewczyn. Tyle zrobiłem dobrego, że zasłużyłem na niebo?

ROZDZIAŁ V – Powroty

Czerwone i niebieskie światło tatuaży okrywających me doskonałe ciało morduje mrok komnaty, gdy czekam, aż Protoplasta ujawni swą obecność. Rozpościeram skrzydła, wyspiewuję powitanie w Języku Stworzenia, przywołując magiczną energię widoczną na każdej płaszczyźnie postrzegania, zaginającą powietrze, usuwającą molekuły, ażeby wstawić na ich miejsce najczystsza moc Kreacji, moc będącą częścią nas samych. Pojedyncze liźnięcia płomieni, muśnięcia elektrycznych łuków będących pochodną mocy kreacji, rozświetlają dodatkowo mą świetlistą skórę.

Wreszcie zieleń i biel odpowiadają. Na górze, nade mną rozbłyskają święte znaki Protoplasty, a jego złociste skrzydła ogniskują światło i rozrzucają je po komnacie w postaci gwiazd.

Klękam, pochylam z szacunkiem głowę, oczekując rozkazów. Moje światło niknie, jak i gwiazdy wywołane przez Protoplastę, i na powrót zakrywa nas ciemność. Nie widzę, ale wyczuwam w górze ruch, kiedy maszynaria podłączona do ciała Najwyższego porusza rzędem trybów, pompując witalne soki wprost do naszej planety. Nabrzmiące rury zespolone z jego członkami ssą bezustannie, pozwalając Stwórcy na kształtowanie nowego życia i rzeczywistości, na trwałe połączenie z samą Księgą Egzystencji, gdzie zapisany jest wszechświat. Miliony, cienkich jak porastające mnie igły, macek stale czyszczą Jego ciało, sprawiając jednocześnie rozkosz i ból, niepowtarzalne uczucie towarzyszące przekraczaniu własnych ograniczeń. Oto Największy z nas wezwał mnie, swojego najstarszego syna, aby przekazać nowinę.

– Nadszedł czas – oznajmia. A więc wreszcie. – Ty, brat twój i siostra twoja poddani zostanieie próbie.

Z trudem powstrzymuję podniecenie. Chwila, której oczekiwałem od powołania mnie do istnienia, wreszcie nadeszła.

– W dalekim, prymitywnym świecie staniecie do walki. Ktokolwiek okaże się zwycięzcą, temu oddam tron Protoplasty, ażeby tkał wszechświat zgodnie ze swym marzeniem.

Pochylam głowę w podziękowaniu. Czuję delikatne ukłucie smutku na myśl, że być może na lata żegnam nasze Nieskończone Miasto, Wieże Stworzenia i każdy z cudów tej planety, ale wiem również, że jest to konieczne; kolejny etap cyklu przemian, kiedy nowa generacja musi przysłużyć się tworzeniu doskonałości Awian.

– Zostaniesz zesłany jako pierwszy, później pozostali. Idź.

Pierwszy raz, kiedy zlatuję w dół wież, moich skrzydeł nie niesie radość... Dociąża je smutek, przez co rwę jeszcze szybciej. Nie chcę widzieć cudów, które pokochałem, przepięknego dzieła moich przodków, budujących kolejne piętra. Upadam na ślepo, do samego dołu, gdzie już mnie oczekują.

Skrzydła hamują lot tuż przed uderzeniem i szybuję leniwie jak puch. Podziemnym korytarzem pędzę do Sali Egzekucji.

Okrągłe lampy rozświetlają się wokół przy każdym moim kroku, zaś ja otulony skrzydłami tylko odbijam ich światło, osłaniając czerwono-niebieskie tatuaże mocy. Metal zgrzyta o metal, kiedy drapię pazurami posadzkę, a pióropusz igieł na głowie i szyi dotyka raz po raz sufitu, krzesząc iskry. Pokraczne istoty o czerwonych, wyłupiastych oczach padają na ziemię w pokłonach. Wyczuwam ich strach, ale i podniecenie, bo oto zadanie, dla którego zostały powołane przez Protoplastę, wypełnia się.

Biegają wokół, kiedy wchodzę do Sali Egzekucji.

Jestem tutaj pierwszy raz i ostatni, niezależnie od wyniku Gry. Trzy wielkie kadzie lśnią, wypełnione fluorescencyjnym płynem, w którym się zanurzę. Podłączone do komór o przezroczystych ścianach, opłuczają mnie morfoplazmą, która zredukuje ciało do pojedynczej cząsteczki energii,

a następnie przepuszczą skomplikowanym systemem przewodów na zewnątrz. W próżnię. W kosmos. Wystrzelą na planetę, gdzie oczekiwać będą przeciwników, mniej godnych miana Protoplasty niż ja.

Nadal opatulony skrzydłami unoszę się, niesiony samą siłą woli. Kreaturki padają na kolana, przykładają ryjki do podłogi, czekając, aż zanurzę się w kadzi. Fluorescencyjny płyn mieni się, faluje. Zlatuję blisko, prawie dotykam powierzchni, a ciecz porusza się w moim kierunku, drżąc pragnieniem strawienia mojego mecha-organizmu. Rozumie. Po to ją stworzono.

Opadam na samo dno. Chociaż jestem nieskończenie silny, tutaj ledwie mogę drgnąć. Metaliczne lotki skrzydeł rozpadają się na atomy, igły nikną prawie natychmiast, kończyny więdną jak pędy roślin poddane działaniu czasu. Najdłużej utrzymuje się pancerz oraz tryby i miechy pracujące pod nim. Uderzają z większym i większym tempem, bezwiednie, wbrew mej woli pompują moc, wciąż utwardzając powłokę zbroi, usiłując dopasować ją do zmiennych warunków. Mechanizm adaptacyjny opiera się, przedłużając tylko agonię, bowiem morfoplazma stworzona została w taki sposób, żebyśmy nie mogli znaleźć przed nią ochrony.

Zamykam umysł, nie pozwalam, żeby niepokoily mnie żadne myśli, i magia słabnie.

Cały znikam. Pozostają tylko świetliste znaki moich tatuaży.

Błyszczą skondensowaną mocą, czerwone i niebieskie, zawierają mą kwintesencję. Rysunki, które wskazywały, kim jestem, dokumentowały pozycję i potęgę, teraz łączą się razem w niewielką kulę różnobarwnej energii. Ściskają się, ciasno, mocno, aż cały ja zawieram się w cząstce nie większej od atomu. Dopiero wtedy pędzę komorami, rurami, kablami, przewodami, niewielkimi pomieszczeniami. Przyspieszam. Kable i komory. Miedź i żelazo, w błyskach srebrzystych zakrętów. Płynu coraz mniej – zostaje w tyle.

Prędzej.

Prędzęj.

Prędzęj!

Jestem sam. Nie umiem już śledzić ruchu. Za szybko nawet dla mnie.

I koniec.

Wylatuję w kosmos, pędząc ku przeznaczeniu. Tutaj czas przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie, kiedy białe, żółte i czerwone punkty przesuwały się wokół. Gromady galaktyk pojawiają się i znikają w okamgnieniu i pozostawiam mój świat daleko, zbyt daleko, bym mógł powrócić o własnych siłach.

Kosmiczna podróż jest nieskończenie długa, bądź nieskończenie krótka; pozbawiony mechanicznych elementów stanowiących do niedawna ważną część mej nadistoty, nie umiem rozgraniczyć tych dwóch skrajności – nie w pędzie przekraczającym zdolność postrzegania.

Wreszcie zwalniam. Nurkuję w szare obłoki, miękkie i bezpieczne, nieudane odbicia chmur ognia z mojego świata.

A więc to tutaj.

Zanim znajduję nosiciela, dostrzegam jeszcze szarzyznę i ubogość tej planety, która napawa mnie żalem. Szkoda, że tak pospolite miejsce będzie świadkiem pojedynku Awian.

Opadam wśród czerwonego puchu. W dole prymitywne mechanizmy pełzną wśród istot z psującej się tkanki pomiędzy maleńkimi budowlami z kamienia. Szarymi drogami suną bez celu.

Upadam coraz niżej, frunę z wiatrem. Potrzebuję kogoś nieświadomego, słabego, niemającego rozumu, żeby łatwiej było nim kierować. I takiego właśnie widzę. Leży przykryty cieniem jak zasłona, trzęsie się i wypróżnia, wypluwając różnokolorowe płyny ze swego wnętrza. Pada na wznak, jakby czekał. Jego zwierzęce oczy nie zdradzają inteligencji. Wyczuwam poplątane, niejasne myśli i jestem pewien, że będzie mą marionetką, kiedy zostanie przebudzony.

Z ciemności wyłania się jego twarz.

Znam ją.

Złociste promienie rozrywają powieki, wnikają w szczeliny, żeby dostać się do obolałych gałek ocznych. Gdzieś obok furkoczą unoszone żaluzje i sen znika bezpowrotnie.

Pierwszy raz śniłem o tym dniu. Teraz wiem o nim więcej, niż kiedykolwiek mi wyznał, i nie mam pojęcia, czy powinienem śmiać się, czy płakać, kiedy pomyślę, dlaczego zostałem wpakowany w to gówno. Dlaczego właśnie mnie wybrał, dlaczego właśnie we mnie postanowił zamieszkać.

No cóż, czy nie ostrzegali w radiu, że spożywanie alkoholu w nadmiarze nie prowadzi do niczego dobrego? Dlaczego nikt nie powiedział, że jeżeli schlasz się na potęgę i będziesz w złym miejscu, w złym czasie, to straszny potwór zamieszka ci w bebechach? To dopiero byłoby ostrzeżenie.

– Jak się czujesz, partnerze?

Pollock? To ty otworzyłeś te cholerne żaluzje?

Powoli otwieram oczy. Za pierwszym, drugim i trzecim razem ledwie odrobinę i natychmiast zaciskam je z sykiem. Próbuję kolejny raz, muszę przecież zobaczyć, co ze mnie zostało.

– Czuję się jak chińskie żarcie dzień później – mruczę, przeganiając ciszę i dodając sobie otuchy.

Bok łóżka ugina się pod jego ciężarem. Siada jak dobra ciocia przy ulubionym bratanku, żeby pocieszyć zapłakanego gówniarza.

– Ale przynajmniej żyjesz.

– Co z tym drugim gościem?

– Z Dentystą?

– Przecież właśnie zapytałem.

– Skąd mam wiedzieć, o kogo pytasz? A może chodziło ci o tego ochroniarza? Nie czytam w myślach, wiesz? – Jest zdenerwowany. Wtedy łatwo wyprowadzić go z równowagi.

– Martwiłeś się, partnerze?

Milczy. Dobry, prawy do bólu Pollock martwił się na pewno. To jedyna osoba, którą mógłbym nazwać przyjacielem. Robię się sentymentalny – pewnie mnie czymś nafaszerowali.

– Miałbym się martwić? Złego diabeł nie bierze – odpowiada, czym wprawia mnie w niekontrolowany napad śmiechu.

Gdyby tylko wiedział...

Światło słoneczne porzuciło wreszcie zamiar rozsądzenia mi czaszki i zaczynam widzieć wyraźniej. Pollock wygląda starzej. Podkrążone oczy i ciemny zarost na kwadratowej szczęce dodają mu dziesięć lat, nawet krawat jest krzywo zawiązany, a płaszcz wygląda nieświeżo.

Rozglądam się po pomieszczeniu. Oprócz białych żaluzji, białej pościeli, białych ścian i sufitu – szare pręty w nogach łóżka oraz drewniane radio na białym stoliku, radio, którego choćbym nie wiem jak się starał, stąd nie dosięgnę. No i są też drzwi, zgniłozielone.

– Co z dziewczyną?

– Leży w pokoju obok. Wygląda na to, że jej obrażenia nie były tak poważne, jak się wydawało z początku.

– Pierwsza, która przeżyła.

– Kiedy lekarze ją zabierali, naprawdę niedobrze to wyglądało. Była cała we krwi, oblepiona tapetą i jakimiś innymi śmieciami. Krew lała się jej z ust jak z kranu.

– Zdążył wyrwać kilka zębów.

– W każdym razie po dotarciu do szpitala i odpakowaniu dziewczyny z tego wszystkiego, okazało się, że jest w całkiem dobrym stanie. Kilka zadrapań, brak zębów, jak zauważyłeś. To wszystko.

Jestem pewien, że wyglądała dużo gorzej, kiedy ją widziałem w tamtym pokoju, jednak zachowuję to dla siebie.

– Nadal nie możemy ustalić, jak się nazywa. Nie jest zbyt rozmowna.

– Może mi się uda?

– Może.

Wstaję do pozycji siedzącej. Ból rwie i odkrywam, że lewe ramię jest szczelniej zapakowane w bandaż niż prezent urodzinowy w kolorowy papier, właściwie mogę jedynie poruszać palcami. Pollock pomaga mi się ułożyć, układa poduszkę pod głową, a kiedy wreszcie w miarę wygodnie siadam, twierdzi, że miałem szczęście.

– Miałeś szczęście. Kula ominęła ważne organy. Lekarz powiedział, że dostałeś w najlepsze miejsce, w jakie można dostać.

– Wolałbym oberwać w palec.

– Najlepsze miejsce, jeśli mówić o korpusie – poprawia się szybko.

– Trafił mnie moją własną kulą. – Pollock jest zaskoczony. Miewa chłopak czasem trudności z myśleniem poza zwyczajowo przyjmowanymi ramami. – To pieprzony czarnoksiężnik. Nasz kochany Dentysta jest wielkim, czarnym skurczybykiem, który operuje magiczną mocą jak dama wachlarzem. Dawno nie widziałem kogoś takiego.

Pollock przeczesuje palcami włosy. Po tej operacji przypomina stracha na wróble.

– Domyślałem się, że zwiął – zgaduję.

– Zniknął.

– Jestem pewien, że go trafiłem. Pamiętam, że syreny ryczały głośno, kiedy traciłem przytomność. Nasi chłopcy musieli być blisko.

– Nie wiem, Ezra. Po prostu ulotnił się jak kamfora.

– Macie rysopis? – pytam. – Ja niewiele więcej powiem na temat wyglądu drania poza tym, co usłyszałeś chwilę temu. Nie przyglądałem się jego gębie, kiedy walczyłem o życie.

– Nie przejmuj się. Wiele osób go widziało. Dzisiaj ponownie wezwaliśmy ochroniarza i szefową przybytku na przesłuchanie. Dopracowujemy szczegóły.

– Chwileczkę... Wezwaliście ponownie?

Pollock przygląda mi się z uwagą, jakby kalkulował, co powiedzieć, a co lepiej zachować dla siebie. Zna mnie dobrze, nie chce, żebym zrobił coś

głupiego.

– Trzy dni – rzuca wreszcie. – Nie było cię z nami przez trzy dni.

– Ile? Podobno miałem szczęście.

– Miałeś. Straciłeś niewiarygodnie dużo krwi, ale żyjesz. Wkrótce będziesz jak nowy. Zdrowiejesz bardzo szybko.

– Ta. Wszystko leczy się na mnie jak na psie.

Stękając, odrzucam na bok koc i narzutę.

– Przesuń się, chłopcze – rozkazuję.

Partner bez słowa wstaje, już wie, że powiedział za dużo. Chyba nie myślał, że stary Ezra pozwoli im dokończyć sprawę, przez którą wylądował w szpitalu. O nie, nie ma szansy, żebym zgodził się na takie rozwiązanie. Dentysta jest mój i kiedy go spotkam, przywitam tak miło, jak tylko ja potrafię. Wisi nad tobą wyrok, skurczybyku.

– Co zamierzasz zrobić?

– Po pierwsze, przepytam tę parkę, którą przyjmujecie w bazie. Wyciągnę portret pamięciowy, a później ruszę tę głównianą sprawę z impasu.

– Powinieneś odpoczywać.

– Odpocznę w grobie.

Kładę bosą stopę na zimnej posadzce, potem drugą. Wstaję, żeby zaraz twardo usiąść na tyłku. Partner wyciąga rękę i kolejna próba kończy się sukcesem, chociaż pokój zaczyna niepokojąco wirować, a ja mam ochotę wymiotować.

– Karmiliście mnie może? – pytam, pamiętając o reakcji Paddingtona na spożywanie pokarmów.

– Spałeś. Byłeś pod kroplówką do dzisiejszego ranka.

– Załatw moje ciuchy... – Pollock wskazuje na białą szafę, która do tej pory jakoś mi umknęła. Delikatnie prowadzi do niej i rozsuwa skrzydła, pokazując przybrudzony i podziurawiony garnitur, którego miałem nadzieję już nie oglądać. – Przydałby się płaszcz.

– Nie pomyślałem...

– Nieważne – zbywam go. – Daj mi się ubrać i zmykamy z tej umieralni.

Dobry kwadrans później wychodzę na korytarz. Wkładanie koszuli, a właściwie tego, co z niej zostało, nie należało do rzeczy prostych. Łapiduchy odcięły lewy rękaw, od marynarki również, przez co wyglądam teraz jak kretyn rodem z wodewilu. Nie mam też broni i kabury, bez których czuję się jeszcze gorzej. Na szczęście Pollock zapewnia, że Colt czeka w szufladzie biurka, więc uspokajam się odrobinę.

Macham do Nolana, który trzyma straż, na wypadek gdyby Dentyście przyszło do głowy dokończyć nasz taniec albo wyrwać pozostałe zęby anonimowej panience z sali obok. Pozdrawiam grubasa skinieniem głowy, a ten nawet odpowiada z uśmiechem. Czyżbym zyskał na popularności u policyjnej starszyny tym ostatnim wyczynem? No proszę, a już myślałem, że nic mnie nie zaskoczy.

– Chcę odwiedzić tę panienkę – mówię do niego. – Może coś sobie przypomni, jeśli zobaczy, ile stary Ezra wycierpiał dla jej sprzedajnej dupy.

Nolan rechocze.

– Jasne, wchodzi. – Wskazuje drzwi gazetą.

Uwalniam się od Pollocka, czując, że dalej mogę iść sam. Rzeczywiście, całkiem nieźle daję sobie radę. Wciąż jestem słaby jak nowo narodzone dziecko, ale przynajmniej trzymam pion i może nawet miałbym dość sił, żeby wycelować z rewolweru, jeśli zaszłaby taka potrzeba.

Otwieram drzwi, zaglądam do środka, a później znowu je zamykam.

– Tam nikogo nie ma.

Tłusta gęba Nolana wyraża zaskoczenie i przerażenie. Ten gość nie potrafiłby upilnować sklepu z pączkami.

– Co jest, Nolan? – cisnę.

Zrywa się prędko. Wyciąga spluwę (nie wiem po co, ale jeśli sprawia mu to przyjemność, czemu nie) i wpada do pokoiku należącego do mojej

sąsiadki. Ja patrzę na Pollocka rozbawiony, ale tłuściochowi wcale nie jest do śmiechu, kiedy pojawia się z powrotem.

– Nie rozumiem. Nie rozumiem – powtarza jak katarynka.

– Ja też nie rozumiem. Miałaś tylko siedzieć na korytarzu i pilnować, a nawet to udało ci się spać.

– Jeszcze rano była, jestem pewien.

– Nieważne, kiedy była. Ważne, gdzie jej nie ma. Wyparowała?

– Ezra, ona nie mogła tędy przejść. Musiałbym zauważyć. To wąski korytarz. Czytałem gazetę, ale gdy tylko ktoś przechodził, za każdym razem podnosiłem głowę. Musiałem podnieść. Przecież tutaj nie da się nikogo przegapić.

– Ale tobie się udało, grubasku. Możesz być z siebie dumny. Nawiał nam najlepszy świadek i jedyna ofiara, która uszła z życiem. Lepiej módl się, żeby ten koleś nie dorwał jej pierwszy.

Nolan mlaska. Może wyobraża sobie, że wciąga jakiegoś hot-doga? Takie fantomowe żarło na uspokojenie. Jego rumiana, napuchła twarz przypomina mi koleżkę z podstawówki, który chodził do równoległej klasy. Każdy gówniarz, nie wyłączając mnie, stawiał sobie za punkt honoru, żeby sprzedać tłuścioszkowi kuksańca przed skończeniem zajęć. Biedaczyna wylał przez okres nauki więcej łez niż kobieta przez całe życie.

– Lepiej daj znać naszym, że mają jej szukać. I sam też się tym zajmij.

Idziemy z partnerem do windy. Chwilę trzeba poczekać, bo ta jak na złość staje na każdym piętrze po drodze. Dziewczyna była w lepszym stanie, niż ja jestem, sądząc po słowach Pollocka, nic więc dziwnego, że postanowiła nawiać. Biorąc pod uwagę uprawianą przez nią profesję, nie sądzę, żeby spodziewała się po nas czegoś dobrego.

Te dziewczęta nie mają łatwego życia. Za buźką każdej z nich kryje się zwykle jakaś smutna historia. Wykorzystywane przez ojca albo dobrego wujka, czy po prostu tak biedne, że sprzedawanie ciała okazało się jedynym wyjściem. Wpadają w to szambo i nie mogą się już wydostać. Po kilku

latach pracy nie marzą nawet o normalnym życiu; wiedzą, że nie będzie żadnej emerytury, bo forszę zabiera alfons, a one skończą pracować dopiero wtedy, kiedy oszpeca je choroby albo nieczułe dłonie opiekunów.

Ping – przyjechała winda. Wchodzimy do środka.

Wduszam guzik „0” i zaczynamy jechać. Po drodze stajemy jeszcze dwa razy, a wsiadający pacjenci dopychają nas do ściany. Jedna babcia ze wzgardą lustruje moje wdzianko, więc pokazuję jej język. Odwraca się naburmuszona, mrucząc pod nosem, ale poprawia mi humor.

Jadąc na dół, zdaję sobie sprawę z ważnej rzeczy. Paddington milczy. Właściwie jest zupełnie tak, jakby zniknął, i mam nawet ochotę zaryzykować jakiegoś hamburgera, żeby przekonać się, czy to prawda. Może odpoczywa, śpi czy diabli wiedzą, co robi. Może zwalcza depresję po tym, jak szansa na znalezienie przeciwniczki skończyła się fiaskiem. Biedaczyna ma twardy orzech do zgryzienia, co poprawia mi humor jeszcze bardziej.

Wychodzimy wreszcie za tłumem pacjentów. Składam kilka podpisów na szpitalnej papirologii w miejscach, które biuściasta pielęgniarka wskazuje pomalowanym na czerwono paznokciem.

Idziemy korytarzem. Słońce świeci mocno przez ogromne szyby i odbija się promieniami od wypolerowanych blatów stolików, przy których czekają petenci. Kiedy wolność jest tak blisko, zaczyna docierać do mnie antyseptyczny zapach szpitala. W porównaniu z przeciągiem idącym z zewnątrz jest obrzydliwy. Dobrze, że zaraz wyjdę. Nie znoszę szpitali. Mam nadzieję wrócić tutaj dopiero jako trup. Najlepiej bardzo stary trup.

Parking wita letnim wicherkiem i śmieciami tańczącymi razem z nim. Pollock wskazuje miejsce, gdzie zostawił auto – oczywiście na szarym końcu. Jesteśmy w pół drogi, kiedy ktoś nas zatrzymuje.

– Witam, detektywie. – Ruda dziennikarka wyskakuje niczym klaun z pudełka. Powinienem się spodziewać, że ktoś z nich przyczai się przy szpitalu. Sępy zawsze krążą nad padliną.

– Mogę w czymś pomóc? – pytam najbardziej zniechęcającym tonem, na jaki potrafię się wysilić.

– Oczywiście. – Tymi białymi zębami mogłaby wskazywać drogę w ciemności. – Detektywie Ezra, jak trafił pan na ślad mordercy zwanego Dentystą?

Pięknie układa zdania. Są tak pełne informacji.

– Dzięki mrówczej pracy wydziału zabójstw, do którego należę – rzucam.

Idziemy szybciej i szybciej. Ja i Pollock prawie biegniemy, jakbyśmy liczyli, że stukająca dwudziestocentymetrowymi obcasami dziennikarka wywinie fikołka i uda nam się ją zgubić. Ona jest jednak uparta, bije szpileczkami tak mocno, że chyba mogłaby przedziurawić beton. No i nadal pyta. Pyta, jak cholera.

– Wydziału? W takim razie, jakim cudem znalazł się pan na miejscu sam, w środku nocy?

– Byłem akurat najbliżej.

– Czy umiałby pan rozpoznać mordercę?

– Ze względu na dobro śledztwa wstrzymam się z odpowiedzią na to pytanie. Jeżeli opublikujemy rysopis, prasa z pewnością się o tym dowie.

Docieramy wreszcie do samochodu. W samą porę, bo ten szybki spacer wyssał ze mnie wszystkie siły. Nie ma co się oszukiwać, do dobrej formy, no... może nie do dobrej, ale do mojej zwyczajnej formy wiele brakuje i minie trochę czasu, zanim poczuję się mocny.

Pollock nie poświęca dziennikarce uwagi, wpycha klucz do zamka i siada za kółkiem, niemal natychmiast odblokowując zatrask po stronie pasażera. Szczerze mówiąc, sam nie wiem, dlaczego z nią gadam. Może przez te środki przeciwbólowe?

– Detektywie, jeśli znajdzie pan trochę czasu, żeby porozmawiać, to zapraszam. – Kobieta wręcza mi wizytówkę.

Odczytuję, że nazywa się Violet Red, co uznaję za całkiem zabawne. Elegancki kartonik do tanich nie należał... Zresztą cała Violet jest partią

z wyższej półki. Zabawne, ile razy w ostatnim czasie kłamię na jej widok, nigdy nie dowiadując się nawet, jak ma na imię. I nie dostrzegając, że jest całkiem do rzeczy. Szczególnie w rejonach okołobiodrowych.

– Ja również bardzo chciałbym się dowiedzieć, skąd pani tak dużo wie o tej sprawie. – Unosi brwi zaskoczona, żeby prawie natychmiast przybrać profesjonalną minę, z której ją znam. Zagryzione usta i zmrużone oczy. – Jak to się dzieje, że za każdym razem zjawia się pani natychmiast na miejscu? Chyba równo z nami, co?

– Powiedzmy, że mam swoje źródła, detektywie.

– Może oboje moglibyśmy sobie pomóc. – Chowam wizytówkę i siadając, przesuwam wzrokiem po jej krągłych, ściśniętych spódnicy udach. – Do zobaczenia.

– Do zobaczenia – odpowiada.

Trzaskam drzwiczkami i odjeżdżamy. Pollock prowadzi powoli, spokojnie, co bardzo mi pasuje, bo mam ochotę zatonać w skórzanym fotelu i zasnąć. Spać do końca świata.

W drodze na komendę zajeżdżamy do mnie. Sprawdzam, czy w mieszkaniu wszystko w porządku, i zamieniam pociętą marynarkę na jedną z tych noszonych co dzień do pracy. Za drugim razem ubieranie idzie mi znacznie sprawniej. Na dworze jest tak ciepło, że rezygnuję z płaszcza. Zajeżdżamy jeszcze do Cyganów, mieszkających w okolicy mostu. Stajemy przed jednym z ich wozów, po czym pożyczam od partnera trochę forsy i idę szukać starego Jednookiego, który zaopatruje mnie w ten szczególny blend ziółek, potrafiących uspokoić demona. Staruszek gdzieś zniknął, na szczęście wnuczka kręcąca się obok mówi, że przewidział moje przybycie i zostawił mi dwie paczki. Płacę i z pełnymi kieszeniami fajek daję się zawieźć do pracy.

Jest środek dnia, środek lata, więc i budynek policji wygląda jakby przyjaźniej. Jego okna lśnią w słońcu jak oczęta zakochanego podlotka i mogę przysiąc, że w tym żółtym świetle również odrapane ściany,

połamane płyty chodnikowe i nierówny wylew na parkingu nie sprawiają tak złego wrażenia jak zazwyczaj. Jeżeli ten dobry humor jest efektem tańca na ostrzu kostuchy, muszę jeszcze kiedyś oberwać.

Na moim piętrze jak zwykle pustawo. Większość detektywów na mieście, ale szef i tak kręci się jak mucha wokół gówna i pokrzykuje na tych kilku nieszczęśników, którzy mają trochę papierkowej roboty albo, co gorsza, brak im pracy. W wejściu obok mnie pojawia się Katz z Kowalskim, jednak widząc Komisarza w swoim żywiole, w nastroju, z którego słynie, natychmiast zawracają. Słyszę tupot ich butów na schodach, kiedy wąsał mnie dostrzega.

– Ezra! – Jego wrzask niesie się pewnie w całym rewirze. Wszyscy będziemy głusi na emeryturze. – Do mojego biura.

Obraca się na pięcie i tupiąc ciężko, wpada do pomieszczenia, trzaskając drzwiami z hukiem. Pollock patrzy pytająco, więc wzruszam ramionami i mówię mu, żeby poszedł ze mną.

– Golniesz? – pyta szef na mój widok.

– Nie piję.

– Tylko sprawdzałem, bo tak mi się ostatnio obilo o uszy. No to zdrowie pani Mills. – Wznosi toast do zdjęcia żony i nalana na trzy kciuki whisky znika jak duch. – A więc natrafiłeś na naszego kochanego mordercę, co, Ezra? – pyta, oblizując sumiastego wąsa. Kilka kropel rudej wody i tak zostaje pominiętych.

– To pytanie?

– Retoryczne, przecież wiem, że trafiłeś. – Wybuchą śmiechem. – Trafiłeś i nie trafiłeś, bo facet nawiał oknem jak, nie przymierzając, alpinista.

– Ubodłem go przynajmniej raz.

– No, to prawda. Znaleźliśmy krew, trochę mu jej upuściłeś, więc w porządku. Nawet więcej niż trochę, bo kropelkował kawał drogi. Swoją drogą twardy z niego sukinkot.

– Może nie żyje? – Pollock wtrąca nieśmiało, ale spojrzenie komisarza Millsa zaraz zatyka mu usta.

– Tego rodzaju gnojki nie umierają ot tak, Pollock. Po prostu tego nie robią.

– Ale przynajmniej Dentysta jest wyłączony na pewien czas, jeżeli rzeczywiście mocno oberwał. To dla nas szansa, żeby go złapać, zanim znowu zacznie – mówię.

– Dentysta... Mają ci nasi kochani dziennikarze iście krwiożerczą wyobraźnię.

Stary zaśmiewa się sucho. Kładzie nogi na biurko. Dziwię się, że tak późno; to przecież jego ulubiona pozycja w pracy, jeśli nie suszy głowy swoim funkcjonariuszom.

– Co tam robiłeś, detektywie?

To pytanie musiało paść. Przemęczony gliniarz odwiedza burdele po godzinach w przebraniu podrzędnego alfonsa. Nie informuje kolegów, więc albo ma problem, albo pracuje na własną rękę i nie wiadomo, co gorsze. Jestem Ezra i przyciągam problemy, a że już nie piję, może znalazłem sobie inny sposób na rozładowanie napięcia, sposób nieprzystający policjantowi? Jeżeli tak, Mills by zrozumiał, poklepał po ojcowsku i gołnął kolejną szklanę za moje zdrowie. Jednak jeżeli chcę go ograbić z nimbu bohaterstwa, który i na niego powinien spłynąć...

– Jeden z informatorów dał mi cynk. Byłem w okolicy, wracałem z... randki, wiedziałem, że dotrę na miejsce najszybciej. Nie było czasu dzwonić po wsparcie, poza tym nie wyglądało to na coś poważnego. – Historyjka jest słaba, ale musi wystarczyć; nie wymyślę niczego lepszego.

Stary milczy dłuższą chwilę. Potem coś pomlaskuje. Chyba mruczy pod nosem, ale ciężko go zrozumieć. Stoimy i czekamy, aż zdecyduje się przemówić. Ale jemu się nie spieszy. Teraz ogląda pod różnymi kątami swoją wysłużoną szklanę. Szkło jest tak porysowane, tak zmęczone, jak moja gęba. Nalewa rudej wody i sączy chwilę, oblizując te paskudne wąsy.

– Dobra, jak sobie chcesz – wreszcie podejmuje decyzję. – Następnym razem masz wezwać wsparcie, rozumiemy się?

Kiwam głową. Temat zamknięty.

– Pollock, masz ochotę na kawę.

– Nie, szefie. Dzięki.

– Pollock, masz ochotę na kawę.

Partner mruga zdziwiony, po czym wycofuje się z pokoju, zostawiając nas samych.

– Usiądź, Ezra. – Komisarz wskazuje wolne krzesło naprzeciw.

– Postoję. Odpocząłem za wszystkie czasy.

– Poskładali cię do kupy, widzę. Szkoda, że nic nie mogli zrobić z tą twoją pokancerowaną gębą. – Szczerzy się, jakby powiedział wyborny żart. Nie odpowiadam, tylko spoglądam na zdjęcie jego szpetnej żony i zastanawiam się, czy akurat on ma prawo dogryzać mi w temacie aparycji.

– Dobrze, że już wróciłeś, chociaż daleko ci do formy.

– Nie jest tak źle.

– Z tobą nigdy nie jest tak źle... Nieważne. Co zamierzasz zrobić w tej sprawie?

– Przesłuchać świadków...

– Przesłuchani – wpada mi w słowo. – Dziwki już powypuszczane pod latarnie, do domów, trumien czy gdzie tam się podziewają w ciągu dnia. Niestety niewiele widziały poza tym, że facet jest czarny. Męczą jeszcze bramkarza i szefową tego nieboskiego przybytku, żebyśmy wreszcie mogli skleić dokładniejszy rysopis. Szczególnie babka jest całkiem niezła w zapamiętywaniu twarzy.

– Chętnie ją przepytam.

– Odpuść, powie ci to samo co ochroniarz. Jego przepytaj. Tej baby nie chcę już tutaj oglądać, tylko skrzeczy i zaczepia biednych Katza i Kowalskiego.

– W porządku – zgadzam się.

– Czas przejść do tematu, z powodu którego Pollock pije kawę. Wiem, że wszystko będzie w twoim raporcie, ale póki go nie napisałeś, zapytam. To pewne, że nasz kochany morderca nie jest normalny?

Wiem, o co mu chodzi.

– To czarnoksiężnik. I to wyjątkowo sprawny.

– Umie coś więcej, niż zapalać fajki na odległość?

– Ta. Z pewnością zna kilka sztuczek.

– Jego talent?

Kręcę głową.

– Nieistotny. Nie przy czarnoksiężniku. Jeżeli potrafi manipulować magią, dawno wyszedł poza to, co otrzymał w Dzień Rudego Śniegu. Jego talent przestał już mieć znaczenie.

– OK. – Stawia szklanę na stole. Przeciąga się z jękiem, a później zaczyna przyglądać się plamom na suficie. – Dostałem dzisiaj oficjalną informację, że jeżeli nie uporasz się ze sprawą do końca tygodnia, federalni przyślą Specjalistów. Rozumiesz?

Rozumiem. Specjaliści. Czego mam nie rozumieć?

Pieprzony oddział popaprańców na usługach rządu. Poprzebierani jak na pogrzeb, ukrywają twarze za porcelanowymi maskami. Kiedy w kraju sprawy przybierają zły, naprawdę zły obrót, pojawiają się, żeby zrobić porządek, po którym nie zostaje kamień na kamieniu. Jeżeli miałbym ich do kogoś porównać, są nowożytną odmianą inkwizycji – bez religijnych gadek, ale metody mają podobne. Niewielu widziało ich w akcji, ja i Mills należymy do nielicznych „szczęściarzy”, i wiem, że obaj dołożymy starań, by ta banda kolejny raz nie włązła do naszego miasta.

– Jakoś nie skaczesz z radości, że ktoś może ci zabrać to śledztwo, Ezra.

– Komisarz chichocze.

– Znajdziemy faceta do końca tygodnia.

– To właśnie chciałem usłyszeć, nasz kochany detektywie.

– Jestem wolny?

– Jeszcze jedna sprawa. Gorsza.

– Tak? – Niewiele wyobrażam sobie gorszych rzeczy, więc nadstawiam uszu.

– To, co teraz powiem, nie wyjdzie poza obręb mojego biura. – Przytakuję. – Ostatnie wydarzenia wprawiły opinię publiczną w stan wrzenia. Nie jesteśmy teraz liderami rankingu popularności, ale to dobrze, bo nie jesteśmy od lubienia. Mogą nas opluwać, jeżeli o mnie chodzi, byleśmy wykonywali naszą robotę należycie.

– A więc?

– Jeżeli złapiemy faceta i aresztujemy go... Mogą być problemy.

– Nie rozumiem, szefie.

– Ezra... W głowę też dostałeś? Ten bandzior jest Murzynem, do diabła. Nie byłoby dobrze, gdyby biała część mieszkańców przeniosła swoją złość na czarnych obywateli. Jeżeli zaczną go ciągać po sądach, a ten gnój nagada jakichś głupot, możemy mieć problem.

– W takim razie, czy go złapię, czy nie, i tak mamy przechlapane?

– Nie zrozumiałeś mnie, detektywie. Sugeruję, że lepiej byłoby, gdybyś aresztował faceta na sztywno. Kapujesz?

Nie odpowiadam, odwracam się na pięcie i wychodzę z biura. Komisarz Mills zostaje w środku sam. Nie, nie sam – w towarzystwie flaszki.

Gdzieś w środku zazdrozczę mu: potrafi utrzymać picie na takim poziomie, że nigdy nie stało się kłopotem, i chociaż Liga Trzeźwości, mimo wycofania prohibicji, nadal ma silną pozycję w naszym rejonie, komisarz jest nietykalny. Robi to, na co mu przyjdzie ochota.

Mills. Grunt płonie pod jego podeszwami. Fakt, że łączy nas wspólna przeszłość, że zaczynaliśmy razem pracę i znamy się dłużej, niż niektórzy na tym komisariacie oddychają powietrzem, niczego nie zmienia. Szef i kolega, do którego żywię jeszcze jakieś resztki szacunku, każe zabić faceta. Fakt, to Dentysta. Niewielu znajdziemy na świecie gorszych od gnoja, ale wciąż noszę tę pieprzoną odznakę na piersi. Stary dobrze mnie

zna i wie, że jeśli naprawdę trzeba coś zrobić, prawo nie będzie przeszkodą... Jednak nigdy nie posunąłem się aż tak daleko. Jestem przecież policjantem, do cholery. Nie katem.

Najgorsze jest jednak to, że im dłużej obracam w głowie jego słowa, tym bardziej upewniam się, że ma rację. Takie wyjście rzeczywiście byłoby najlepsze.

Nie. Cholera. Sam nie wiem.

Najważniejsze to znaleźć drania.

Może będę miał szczęście i nie pozostawi mi wyboru?

Wciąż jeszcze rozmyślam, kiedy nadzwyczaj życzliwi dzisiaj koledzy częstują mnie nowymi żartami, ktoś nawet poklepuje po ramieniu, na szczęście zdrowym. Wyglądamy pewnie jak wesoła grupka przyjaciół. Czasem wystarczy dostać kulę, żeby zapomnieli, jaki z ciebie sukinsyn.

Po kilku zdawkowych uwagach przeciskam się do schodów. Nie lubię zgromadzeń, nie mam ochoty na dziwaczne, dla mnie sztuczne, objawy sympatii.

Schodzę na parter, a później grzmocę w metalowe drzwi ukryte w jednym z korytarzy. Metalowa blacha na wysokości oczu odsuwa się przy akompaniamencie huk i dostrzegam pół gęby Riddicka; jego maleńkie oczy przygniatają najgęstsze brwi, jakie w życiu widziałem. Mruga, jakby dopiero się obudził. Zaraz słyhać brzęk odsuwanej metalowej sztaby i mogę wejść do środka. Riddick też chce mnie poklepać, ale patrzę na niego w taki sposób, że szybko rezygnuje z tego pomysłu.

– Fajnie, że żyjesz – mruczy tylko.

Wyjaśniam pokrótce, dlaczego przyszedłem, a on potakuje ze skupieniem godnym lepszej sprawy. Prowadzi krótkim korytarzem, skąpanym w mlecznym świetle żarówek. Nasze kroki odbijają się echem i wracają zwielokrotnione.

Pokazuje mi, gdzie mam wejść.

W środku Kowalski ogląda przez szybę, jak jego partner wypytuje świadka. Złotozębny wciąż ma na plecach ten sam karmazynowy kubrak, tylko że odrobinę już sfatygowany. Spuchnięte prawe oko sugeruje, że sprawiał kłopoty przy zatrzymaniu. Niektóre oprychy z góry zakładają, iż zaproszenie do rozmowy na posterunku sprowadzi na nich kłopoty. Nawet jeżeli mają być tylko świadkami. Może nie wierzą w swoją inteligencję i obawiają się, że chlapną o słówko za dużo, słówko nie na temat, i sprawią sobie, albo komuś bliskiemu, kłopoty. A może aż tak bardzo nas nie lubią.

– Cześć, pilnujesz kochanki? – Kiwam głową w stronę szyby.

– Spadaj, Ezra. – Patrzy na moją rękę na temblaku. – Widzę, że złego nie biorą.

– Nigdzie takich nie chcą.

Dłuższą chwilę spoglądam na Katza maglującego faceta. Bramkarz jest całkiem posłuszny, odpowiada na pytania, współpracuje. Nie sądzę, żebym wiele więcej od niego wyciągnął, nie zaszkodzi jednak spróbować.

– Ten kmiotek miał chyba laskę, dobrze pamiętam?

– Tam leży. – Kowalski wskazuje jedno z krzeseł stojących pod ścianą.

– Możecie spadać, ja się nim zajmę. Zaproś tę swoją panienkę na hot-doga albo coś.

– Ależ jesteś dzisiaj sztubacki, Ezra. Może dasz się zaprosić na drinka wieczorem?

Obaj wybuchamy krótkim, gwałtownym śmiechem, po czym Kowalski wychodzi i niedługo później widzę przez szybę, że zabiera Katza ze sobą. Patrząc, jak zamykają się za nimi drzwi i nie mogę powstrzymać uśmiechu – co za panienki z tych dwóch.

Czekam kwadrans, dając czas na rozbudzenie irytacji u olbrzyma. Świeżo po rozmowie na pewno nie powiedziała by niczego nowego, a tak zwiększam szansę, że coś wypapla.

Wreszcie podnoszę laskę z krzesła (jej waga jasno sugeruje, że nie służy jedynie do podpierania) i wchodzę do pokoiku przesłuchań.

– To chyba twoje, złotousty. – Siadając naprzeciw, turlam laskę po blacie. Murzyn w odpowiedzi błyska zębami.

– Nieźle, sir. Muszę przyznać, że wygląda pan lepiej niż tamtej feralnej nocy. Swoją drogą chyba się starzeję, żeby nie rozpoznać oficera w przebraniu...

– Zdarza się najlepszym. Słuchaj... – otwieram teczkę i zerkam w pozostawione przez Katza notatki – Smith, nie mamy dużo czasu i myślę, że ty również się tutaj nasiedziałeś, tak więc spróbujmy skrócić naszą rozmowę do minimum, okej?

– Alleluja, sir.

Obraca laskę w potężnych paluchach. Taki drab jednym dobrze uplasowanym ciosem z łatwością wysłałby mnie w objęcia Morfeusza, a może i w kościste ramiona kostuchy, kto wie? Bezpieczeństwo zapewnia mi fakt, że nie jest głupi. Pozostawiony samopas ani razu nie zerknął w stronę notatek Katza.

– Nie będę cię pytał, co wyprawiacie w tym burdelu. To, że do mnie strzeliłeś, nie miało miejsca. W ogóle mnie to nie obchodzi, jasne?

– Jak słońce, sir.

– Opowiesz mi, co widziałeś, kiedy wszedłeś za mną do pokoju.

Drab rozpira się wygodniej. Trudna to sztuka ze względu na ogrom cielska i maleńkie rozmiary przyspawanego do podłogi siedziska, które aż stęka pod ciężarem Murzyna.

– To było tak: wpadam do środka i jestem zaskoczony jak diabeł, kiedy strącali go z Królestwa. Pięknie utrzymane ściany naszego przybytku zrujnowane, pomazane paskudnymi pejzażami.

Mam nadzieję, że to słyszysz, demonie. Paskudnymi pejzażami.

– My rozmawiamy, a później zauważam dziewczynę. Leży pod podartymi tapetami, wszędzie pełno krwi. – Facet jest wrażliwy, ciężko oddycha na samo wspomnienie, oczy błyszczą mu, jakby miał się zaraz popłakać. – To była taka miła dziewczyna, sir.

– Była dla ciebie miła?

– Tak. Nie jak inne. – No proszę, tego się nie spodziewałem. Sprawiał raczej wrażenie mężczyzny, który bierze to, na co ma ochotę. A raczej tą, na którą ma ochotę.

– Opowiedz o niej.

– Miała piękne brązowe oczy, nieskazitelną figurę i ciemne włosy. Piękność nad pięknosciami, sir.

– Policja wie, jak ona wygląda. Opowiedz o niej.

– Jasne, sir. – Wzdycha. – Przyszła do nas dwa dni wcześniej. Zapukała jak żebraczka, zresztą wyglądała niewiele lepiej przebrana w te łachy, i poprosiła o pomoc. Kimże jestem, żeby odmawiać pomocy, więc zabrałem ją do szefowej, a ta oceniła... Zważyła w dłoni cycek i uszczypnęła w pośladek, po czym stwierdziła, że dziewczyna może zostać, aż nie wydobrzeje.

Cóż za wspaniałomyślność. Dobrzy samarytanie.

– Zaprowadziłem ją do wolnego pokoju, a ona... Podziękowała mi, jak uznała za stosowne. Sama, z nieprzymuszonej, płynącej z dobrego serca woli, sir.

– Co się działo później?

– Po dokonaniu kilku pobieżnych inspekcji stwierdziłem, że jest w kiepskim stanie, dlatego ułożyłem ją, żeby odpoczęła. Przynosiłem jedzenie. Mówiłem do niej, ale nie odpowiadała.

– Znasz jej imię, nazwisko? Skąd pochodzi?

– Niczego nie zdradziła, sir.

– Opowiedz mi o tej nocy. Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

– Zanim myśmy spotkali się przy wejściu, zostawiłem ją z posiłkiem i wyszedłem. Wówczas pokój był nienaruszony, zapewniam, sir. Sam zjadłem kolację i stanąłem na swoim miejscu, przy drzwiach. To była wyjątkowo cicha noc, prawie żadnych gości, sir.

– Ile czasu minęło od chwili, kiedy zaniósłeś jej jedzenie, do chwili, kiedy ja tam wszedłem?

– Nie wiem, sir.

– Zastanów się – naciskam.

– Może półtora... Nie więcej niż dwie godziny, sir.

A więc przez tak krótki czas pojawiły się na ścianie malunki.

– Kim był mężczyzna, który próbował ją zabić?

– Nie wiem. Wcześniej go nie widziałem, sir.

– Klient?

– Zapewniam na mój honor, daję uroczyste słowo, mogę przysiąc na moją nieśmiertelną duszę, że nikogo do niej nie wpuszczaliśmy. Pokój był zamknięty.

Mówi prawdę. Za długo w tym siedzę, żeby byle łapserdak mógł nawciskać mi kitu. Nikogo nie wpuszczali. Pokój był zamknięty. Nie było łatwo doń wejść...

– *Głupcze-imbecylu* – Tak dawno się nie odzywał, że prawie podskoczyłem na krześle, usłyszawszy zgrzyt jego głosu. – *Czy sen niczego cię nie nauczył? Czy jesteś tak ślepy?*

To, co ukazał mi w szpitalu, jest odpowiedzią. Oni szukają umysłów słabych, takich, które łatwo kontrolować. Zamieszkał we mnie i oczekiwał w uśpieniu na dzień przyzwania. Na dzień, kiedy ta jędza wypaliła pieczęć na mojej piersi. Miałem być plasteliną w palcach demona, kształtowany zgodnie z każdą jego zachcianką.

Alkohol... Nie mogę przez niego pić, a na trzeźwo nie jestem już tak atrakcyjny jak owej nocy, kiedy zostałem wybrany. Kiedy moje myśli były rozmiękczone modeliną w pazurach kreatury. Kiedy byłem garniturem z kości, mięśni i flaków dla metalowego demona. Paddington to frajer, który wpadł w pułapkę na równi ze mną. Jednak jego siostra... Odrodna Marybone najpewniej nie ma podobnych ograniczeń.

– *Z tamtego zwierzęcia pozostało już tylko ciało, nie znajdziesz tam myśli innych niż mej siostry.*

– *„Piękny mi los chciałeś zgotować”.*

– *Jesteście tylko pionkami w wielkiej Grze, toczącej się poza zasięgiem waszych zmysłów.*

No i jak go nie lubić.

Zadaję jeszcze kilka pytań, po czym wypuszczam ochroniarza i wracam na piętro, by zapoznać się z pozostałymi zeznaniami. Rozkazuję dwóm młodym detektywom, żeby obserwowali burdel na wypadek, gdyby ranna prostytutka bądź jej oprawca mieli powrócić, ale okazuje się, że tajniacy zajmują się tym od dawna. Czuję się jak głupiec. Za długo byłem wyłączony.

Rysownik kończy jeszcze portret pamięciowy Dentysty, więc nie zamierzam mu przeszkadzać; zamiast tego pogrążam się w lekturze. Niewiele tu nowych informacji, ale wertuję stos kart wiedziony nadzieją. Nigdzie nie widać Pollocka, co mnie cieszy, bo wolę, żeby mi teraz nie przeszkadzano. Zmuszam się do przekładania kolejnych stron. Pocieram palcami zmęczone oczy. Czytam. Głowa opada mi na pierś, więc wstaję z krzesła i przechadzam się nerwowo kilka razy wokół biurka. Kiedy najgorsze mija, siadam ponownie. Czytam dalej. Robi się duszno. Czuję, że ktoś mnie obserwuje. Podnoszę głowę, ale nie ma nikogo w zasięgu wzroku. Nie ma nikogo na piętrze.

– *Chcę twojego oka.* – Słyszę Jego głos.

– *Czego?*

– *Oka. Masz je wyciągnąć z oczodołu i połknąć.*

– *Odbiło ci.*

– *Musisz mi coś oddać. To jedyne wyjście, żeby ją odnaleźć.*

– *Po pierwsze, na pewno nie jedyne, bo mamy trop. Tylko Dentysta i ta poraniona kobieta byli w pokoju, tak więc jedno z nich jest nosicielem.*

– *Samica.*

– Raczej stawiałbym na jej kata.

– *Nie. To samica... Trkt. Zepsuta odnajduje przyjemność w niegodnych czynach. Sprowadza ból na poślednie istoty bez potrzeby. Sprowadza ból na ciało, które zamieszkała... To samica.*

– To było po pierwsze – przerywam mu. – Po drugie, nie zamierzam wydlubać sobie oka. Zgłupiałeś?

– *Jak śmiesz?! Zostaniesz wyniesiony bardziej, niż wy-kreatury-robaki zasługujecie! W zamian za marne poświęcenie otrzymasz zdolność postrzegania świata na naszą modłę. Będziesz zdolny oglądać rzeczy, które miały już miejsce, i nic się przed tobą nie ukryje.*

– Tak jak twoja siostra? Miałaś ją przed nosem i co? – pryham. – Ta rozmowa jest skończona, więc zawrzyj gębę i pozwól mi pracować.

– *Krrrkt. Jak śmiesz?! Jesteś mi dłużny. Ocaliłem cię, kiedy błagałeś o pomoc. Jesteś mi dłużny, Ezra-moje śmierdzące przebranie, jesteś moją własnością, zwierzęciem-glizdą i pyłem, który mógłbym zdmuchnąć, kiedy tylko zapragnę. Kloaczny stwór. Czym byłeś, zanim się pojawiłem? Siedliskiem milionów organizmów, pożerających cię każdego dnia, jedzących twoją skórę i wnętrzności, powoli wyniszczających. Czekales na koniec, aż nadszedłem i zatrzymałem ten przeklęty cykl degradacji. Trkt. Śmieciu-skrawku życia, który nie jest nawet w stanie ogarnąć płytkim umysłem dzieła stworzenia płynącego z Księgi Egzystencji. Powinieneś błagać, skomleć, na kolanach prosić o ten zaszczyt, który ci ofiarowuję, a ty-niewdzięczniku, śmiesz się przeciwstawiać?*

– Gadaj zdrów, Paddy.

Nienawidzę tego. Klekoty, metaliczne uderzenia i gwizdy, podobne do tych powstających przy zacięciu igły na płycie gramofonowej, ułożone w taki sposób, żeby przypominać nasz język. Przez ten głos można popaść w szaleństwo, dlatego lepiej nie wsłuchiwać się w niego zbyt uważnie.

Usiłuję czytać raporty, ale jazgot nie maleje. Literki zmieniły się w robaczki pełzające bez końca po białych kartach. Masuję czoło palcami

prawej dłoni. Wyczuwam zimny pot. Klei się do skóry. Jest coraz bardziej lepki, przypomina rozwodniony kleik.

Próbuję to zdrapać. Mocniej i mocniej. Myślę tylko o tym.

Coś upada na kartki. Plask. Plask. Kropla za kroplą. Patrę zafascynowany, nie mogąc przestać drapać. Rude jak śnieg tamtego dnia...

Czerwone.

Skąd ta krew?

Może wcale się nie pocę? Może zrywam skórę z czoła?

Chcę dostać się do czaszki?

Pod paznokciami wyczuwam zmianę. Miękka powierzchnia zostaje zastąpiona czymś twardym. Może to już kość? Mam ochotę obejrzeć paznokcie.

Tak...

Gdybym je obejrzał, zaraz zorientowałbym się, czy mam rację. Jeśli byłaby pod nimi krew, to chyba należałoby przestać.

Przestać?

Nie mogę przestać ani na chwilę, nie mogę obejrzeć swoich paznokci, bo muszę nimi drapać i drapać.

Teraz oprócz czerwonych kropeł na papiery spada coś jeszcze. Coś białego, przypominającego opiłki mięsistego wnętrza kokosa. Z tym, że są twarde i chyba, chociaż to niemożliwe, wyglądają jak kość. Czysta kość po kąpieli w kwasie, po usunięciu wszelkich przebarwień.

To dobry moment, żeby krzyknąć. Zawezwać pomoc. Tak, to świetna myśl.

Otwieram więc usta.

Nie. Próbuję je otworzyć. Szczęka jakby się zaklinowała w czaszce i ani drgnie. Sięgam wolną ręką i szarpnię zuchwą w dół z całej siły. Rusza z takim strzyknięciem, że chyba nigdy nie będzie mi już dane zamknąć ust.

Krzyczę.

Próbuję krzyczeć, próbuję prosić o pomoc, jednak z gardła wydobywa się tylko jęk. Ledwie go słyszę.

Bum. Nagle prawa dłoń opada z hukiem na biurko, rozrzucając czerwone krople, białe opiłki i papiery. Już wiem na pewno, że to krew. Dłoń wygląda, jakbym naciągnął na nią purpurową rękawiczkę.

Nadal mam problemy w poruszaniu. Niewiele widzę, ledwie te kilka biurków z przodu. Pustych. Ale przecież to nie wszystkie. Gdzieś tutaj muszą być ludzie. Dlaczego więc nikt nie chce mi pomóc?

Z początku brzęczenie świdra jest tak ciche, że prawie je przegapiam. Brzmi ciszej niż skrzydła muszki owocówki. Z każdym kolejnym uderzeniem serca i z każdą kolejną kroplą krwi padającą na biurko dźwięk narasta, puchnie... To jakby ktoś chciał się wydostać. Jakby drążył wiertłem ściany kamiennej pułapki z nadzieją na ucieczkę.

Pułapką jest moja głowa. Utorowałem mu drogę palcami, na ile się dało, ale teraz nadszedł czas, żeby wyciągnąć cięższą artylerię.

Trach. Czaszka pęka jak skorupka jajka. Duże, naprawdę duże kawałki wystrzeliwiają do przodu i lądują gdzieś daleko poza biurkiem. Widok jest niemal komiczny.

Część czoła zawisła na ocalałym fragmencie skóry i z płaskim uderza w policzek, zasłaniając częściowo pole widzenia prawego oka.

Najdziwniejszy jest chłód. Czy mózg może czuć chłód? Coś mi mówi, że nie, że nic nie może poczuć... A jednak chłód jest obecny, całkiem przyjemny i orzeźwiający.

Trkt. Klik. Krrrkt.

Metalowa, żebrowana macka zsuwa się po mojej twarzy. Jest pierwsza, ale za nią wychodzą dwie następne. Opierają się o blat biurka. Przebijają ostrymi zakończeniami papiery, a później przekształcają się, zmieniają kształt, przebudowując żebra, przekrzywiając je na boki, otwierając i ukazując wypolerowaną powierzchnię. Lustro, zmieniają się w lustro.

Przy cichym warkocie silniczków obracają srebrną taflę tak, żebym mógł spojrzeć we własne odbicie.

Nie mam czoła, pozostała tylko krwawa dziura. A pośród strzępów mózgu widzę srebrne oczy. Oczy wroga, pozbawione jakiegokolwiek współczucia, jakiegokolwiek emocji. Chłodne spojrzenie maszyny.

– *Jesteś mój. Nie pogrywaj ze mną, bo mogę cię zmusić do posłuszeństwa.*

Chcę patrzeć w inną stronę, ale coś mi nie pozwala.

– *Jesteś mi dłużny. Uratowałem cię.*

– „Niczego nie jestem ci winien” – myślę.

– *Ona nie jest taka dobra jak ja, nie jest wyrozumiała. Twój świat dla Odrodnej Marybone jest zabawką, którą można zepsuć, jeżeli się znudzi.*

Dlaczego nikt mi nie pomoże?

– *Ona już wie, że zamieszkuję twoje ciało, Ezra. Ona chce nas odnaleźć i zabić, a wiesz, że póki jestem w tobie zamknięty, moje możliwości są ograniczone. Musimy ją dostać pierwsi.*

– „Co wtedy?”

– *Będę walczyć, wezwę ją na pojedynek i pokonam w honorowej walce, bez zdradzieckich prób, do jakich ona jest zdolna. Dlatego dasz mi oko, a ja w zamian podaruję ci nowe. Dzięki temu odnajdziemy ją i zabijemy.*

Nie.

Nie!

Dorwę ją bez twoich sztuczek, demonie.

Mrugam. Lustro, macki i krew zniknęły, a ja siedzę w fotelu i przeglądam raporty z przesłuchań prostytutek.

Serce prawie wypada z piersi. Muszę się mocno chwycić, żeby temu zapobiec. Paddington nie żartuje, tym razem jest śmiertelnie poważny. Posunie się do każdej pieprzonej sztuczki, jaką ma w arsenale, żeby osiągnąć cel i nagiąć mnie do swojej woli. Mam mało czasu. Muszę znaleźć

mordercę i tę cholerną dziwkę, w której według przypuszczeń mojego demonicznego partnera ukrywa się jego konkurentka.

Nie wiem jeszcze, co powinienem zrobić, do cholery, ale coś muszę zrobić.

Podrywam się gwałtownie, fotel z hałasem przewraca się za moimi plecami. Podnoszę telefon, pod którym leży mały kluczyk do zamkniętej zwykle szuflady, otwieram zamek i widzę rewolwer – moja dziecina czekała. W szufladzie jest jeszcze kilka rzeczy, głównie zdjęcia, których nie chcę oglądać, więc przetrząsam zawartość schowka szybko i rzeczowo. Szukam małego pudełka z dębiny, a kiedy je znajduję, wreszcie zaczynam odczuwać względny spokój, bo ukryte pod cienkim wieczkiem naboje są najbardziej niezwykłymi nabojami, jakie można kupić za pieniądze. Proch strzelniczy, którym zostały nabite, wymieszano ze szczątkami Alberta Fisha. Maciupka szczypta na każdą sztukę, ale to wystarczy. Bo nieskończenie wiele przekleństw można upchać nawet na czubku główki od szpilki.

Nie mamy duszy. Paddington wciąż to powtarza. Mówi o Księdze Egzystencji, gdzie zapisano podobno cały wszechświat, i demon jest pewny, że my, ludzie, duszy nie posiadamy. Nie wiem, czy mówi prawdę, czy kłamie. Nie obchodzi mnie to, bo na co mi moja dusza, jeśli istnieje? I tak jej przecież nie używam. Jedno jest jednak pewne: każdy bardzo zły i bardzo dobry uczynek odciskają na świecie piętno. I to piętno pozostaje na długo po naszej śmierci, czy to w domu, który zamieszkivaliśmy, czy też w łonie kobiety, którą kochaliśmy. A jeżeli nie kochaliśmy nikogo, to zawsze jest szansa, że piętno naszego życia ostanie się jeszcze w zimnym trupie. Cały problem polega jednak na tym, że uczynki te muszą być cholernie dużego kalibru, a takie zdarzają się rzadko.

Mam sześć kul do czterdziestki piątki. Kaliber przewin tego bandziora jest w sam raz. Pakuję je w bębenek i zatrząskuję go z metalicznym

mlaskiem. Tego tak łatwo nie odbijesz, cwaniaczku. Mam tam zakłętego samego Fisha.

Wychodząc, jeszcze raz odwracam się ku biurku: rozrzucone papiery, przesunięty telefon, wywrócony fotel. Na szczęście nic więcej.

Na zewnątrz słońce nie przebyło połowy swojej drogi, chociaż mógłbym przysiąc, że na komisariacie spędziłem wiele godzin...

Kilka godzin na nogach, a zmęczenie dopada mnie jak wściekły pies, ciągnie na dół, każe usiąść, więc przysiadam na schodkach pod budynkiem. Ściągam kapelusz i przecieram czoło, strzepując krople. Tym razem pot jest prawdziwy.

Grzebię po kieszeniach, aż odnajduję jedną z paczek i drżącymi palcami rozrywam bok. Dwa papierosy upadają na bruk, więc schylam się po nie, a krzyż narzeka, jakby nie dość odpoczął przez ostatnie dni. Wtykam w usta obie sztuki. Nie pamiętam, gdzie moja zapalniczka, więc używam magicznej sztuczki, źródła uciech gawiedzi, i paf, czubki płoną. Mleko wypełnia płuca. Wyciągam dłoń i przyglądam się jej, drżącej jak w febrze. Puf, puf, puf, chowam drzenie w dymie i niebawem znowu jest pewna, bardziej pewna niż u niejednego chirurga. Kiedyś wyciągnę od starego Cygana, co za świństwo wpycha do tych śmierdzieli, żeby nie zabrał sekretu do grobu.

Słodki dym, łagodny jak miód.

Parking jest pełniejszy niż wcześniej, wiele z dziur, byle jakich wylewów i śmieci zakryły czarne lakiery Fordów T, wyglądających jak wielkie żuki, które tu przycupnęły, żeby ogrzać się w słońcu.

Mój dzieciak zbierał kiedyś robaki, chrząszcze czy koniki polne, już nie pamiętam. Chował je do pudełek po zapałkach, których żona nigdy nie wyrzucała. Pozwalał im spać i tylko czasem w nocy, kiedy się bał, wysuwał te chude nogi z pościeli, spuszczał je na podłogę i szedł do nocnej szafki. Wyjmował grajka i delikatnie potrząsał, a później zasypiał z pudełkiem przy uchu. Czasem stawałem w drzwiach do pokoju dzieciaka i długo

patrzyłem; nigdy nie odkrył mojej obecności. Chodź cicho i noś przy sobie długą brzytwę, powiedział ktoś. Gliniarz musi być jeszcze cichszy, żeby ich nie budzić, kiedy wraca.

Emma Tallin... Jaka ona była? Czyjaś córka, czyjaś wnuczka i najlepsza przyjaciółka. Na pewno lubiła skakankę. Bardzo chuda, prawdziwe chucherko, musiała podskakiwać jak mała piłeczka. Sznur, którym obracała szybciej i szybciej, wyglądał niczym ramka obrazu. Taką ją widzę, podskakującą i roześmianą. Może w górze, z okna kamienicy patrzy na nią matka, odrywając się co jakiś czas od przygotowań do obiadu. Patrzy na swoją pociechę i czuje coś przyjemnego. Coś, czego ja już nie poznam. Zasłużyłem na to, co mnie spotyka. Na wszystko zasłużyłem.

– Ezra...?

Cholera, opanuj się. Co się z tobą dzieje na stare lata, człowieku?

– Ta? – Unoszę głowę i widzę nad sobą posagową blondynkę z eleganckim kokiem, do którego przymocowała szpilami drogi kapelusz. Papierosy parzą w dłoń, odrzucam je ze wstydem i przydeptyuję, wstając. – Pani Pollock, nie spodziewałem się pani tutaj.

Stoi na schodach. Jest przez to wyższa i myślę, że jej to pasuje, bo zawsze czuła się lepsza. Pewnie przyszła nacieszyć oczy widokiem poranionego starca, może wiedziona nadzieją, że jest gorzej, niż mąż opowiadał. Patrzę w te piękne oczy w oprawie twarzy z plakatu. Są zimne, zimne i metaliczne jak...

Zaczynam wariować. Wiem, że staczam się coraz niżej i że może na tym polega jego gra. Pieprzony demon chce, żebym stał się marionetką w jego łapskach, żebym tańczył jak mi zagra.

– Pani Pollock, co za miła niespodzianka – żartuję.

– Ezra... – Metaliczne oczy uśmiechają się do mnie i dziwne wrażenie znika. Wydaje mi się, że patrzy... z sympatią? – Ezra – powtarza. – Cieszę się, że wyszedłeś z tego cało.

– Nie tak do końca. – Unoszę odrobinę rękę zawieszoną na temblaku. – Nie tak, jakbym chciał.

I wtedy dzieje się coś dziwnego. Jedna z tych rzeczy, których nie ujrzałbym za milion lat, no chyba że znów mógłbym popijać Zieloną Wrózkę. Nie wiem, jak mam zareagować, więc nie robię nic. Stoję, cały sztywny, każdy mięsień jest napiętym do granic postronkiem, a ona przytula mnie i całuje w policzek. Siostrzany pocałunek, bez jakiegokolwiek podtekstu, ale podszyte seksem myśli, jakie we mnie budzi, rodzą cholerny wstyd. Aż mam ochotę spłonąć rumieńcem jak uczeń.

– Przepraszam – mówi. – Przepraszam, że byłam taką suką.

Suką? Co powiedziała by Pollock na takie słownictwo.

– Liczę, że zostaniemy przyjaciółmi, Ezra.

– Tak? – Cóż więcej mogę powiedzieć? Nic nie przychodzi do głowy.

– Wiem, że nigdy nie traktowałam cię dobrze. – Elegancko to ujęła. – Mam jednak nadzieję, że możemy zacząć od początku. Jesteś dla niego ważny, jesteś częścią jego pracy, a on jest moim mężem. Pragnę, żeby był szczęśliwy. Odłóżmy na bok animozje i dajmy sobie jeszcze jedną szansę.

To jest piękne. Zupełnie jakbym słuchał audycji radiowej, dramatu z mądrymi kwestiami, mającymi tyle wspólnego z życiem, co nauki klechy, zatrzaśniętego na całe życie w sutannie. Wymądrzającego się o prawdziwym świecie, jakby miał o nim jakiegokolwiek pojęcie.

– To jak? – pyta ona. – Przyjaciele?

– Przyjaciele – odpowiadam i delikatnie ściskam jej wymuskaną dłoń.

To śmieszne, ale kupuję te słowa. Dla mnie są prawdziwe. A może tylko bardzo chcę, żeby takie były.

Pani Pollock uśmiecha się i mija mnie, owijając zapachem słodkich perfum. Idzie, kręcąc tyłeczkiem, krągłości którego nie skryje żadna suknia.

– Pogadałem z nią.

– Domyśliłem się.

– I jak?

– I jak? – powtarzam jak echo.

– Będziecie przyjaciółmi?

Odwracam się do partnera i na jego twarzy, szczerzej twarzy z komiksów za dziesiątaka, widzę jasno, że bardzo mu na tym zależy. Ta szczerza buźka zaprowadzi go kiedyś na sam szczyt.

– Ona mówiła szczerze – stwierdza.

– Dużo musiało ją to kosztować.

– Tym bardziej mam nadzieję, że wasze pretensje należą już do przeszłości.

Przypominam sobie naszą, moją i pani Pollock, rozmowę sprzed kilku dni i to, co mówiła o Emmie... Pewnie miała słuszność i nic nie zmieni jej zdania o mnie. Ale jestem dorosły. Wiem, że życie nie jest proste jak struna.

– To jak? – pyta raz jeszcze.

– Jasne – odpowiadam. – Cokolwiek było, minęło.

– Cieszę się. – Błyska zębami za tysiaka. – Ona naprawdę zaczęła dobrze o tobie mówić.

– Co ty nie powiesz?

– Twierdzi, że jeśli ktoś rozwiąże sprawę Dentysty, to tylko my dwaj.

– To miło.

Milczy. Ja milczę. Obok płyną odgłosy miasta, światła i cienie suną nieskończenie powolnym tempem.

– Mam kilka miejsc do odwiedzenia. Zabierasz się czy odwozisz swoją panią? – odzywam się pierwszy.

Pollock kręci głową, sięga do swojej eleganckiej marynarki i wyjmuję kluczyki. Podając je, pyta, czy dam radę sam prowadzić. Wzruszam ramionami, ledwie skrywając grymas bólu. Partner tłumaczy, że ma zaplanowany obiad, ale zdąży obrócić w ciągu godziny lub dwóch, więc mogę na niego poczekać. Teraz ja kręcę głową. Żona macha do Pollocka, błyszczy bielą zębów, lśni purpurą szminki i pokazuje na malutki zegareczek, który nosi na przegubie.

Tak, musicie się spieszyć.

Wkrótce odjeżdżają elegancką limuzyną. Wyciągam kolejnego papierosa i zaczynam się zastanawiać, od czego zacząć. Nie wymyślam niczego mądrego i przy kolejnej fajce...

Cofam się do komendy, żeby złapać policyjnego specjalistę od rysopisów. Znajduję go rozdającego kopie rysunku funkcjonariuszom. Jedną zabieram dla siebie, a kiedy spoglądam na rysunek ogolonego na rekruta osiłka, usta same układają się w uśmiech. Czasem w świetle dnia rzeczy wydają się o wiele prostsze.

Tego pana już widziałem.

ROZDZIAŁ VI – Super

Pukam do drzwi, mocno. Stare drewno wygląda, jakby z trudem wytrzymało każde uderzenie, ale po drugiej stronie, w mieszkaniu, nadal cisza. Oko judasza patrzy chłodno, ale przez szparę pod drzwiami dostrzegam ruch; na pewno ktoś jest w środku.

– Otwierać! Policja!

Mam zamiar uderzyć jeszcze raz, ale nareszcie słychać szcęk zamka. Odsuwam się bardziej na bok, odchodząc z linii strzału, nagle niepewny, kogo w środku zastanę. Rozpięta marynarka, odblokowana kabura i broń naładowana przeklętymi nabojami. Paddington milczy. Mój instynkt również, ale nie będę ryzykował. Nie chcę oberwać jeszcze w drugą rękę.

W drzwiach staje Zachary Berkowitz, jego stara, pomarszczona twarz nie wyraża zdziwienia.

– Proszę wejść, panie detektywie – zaprasza i odwraca się, prowadząc do środka.

Zdrową ręką łapię go za kołnierz koszuli i unoszę; jest leciutki jak balonik napompowany powietrzem. Worek pełen starych, pustych kości. Oddycha chyba tylko z przyzwyczajenia. Przyspieszam kroku, Berkowitz ledwie nadąża, potyka się co chwila. W pokoju rzucam go na fotel. Wyciągam rewolwer i szybko przeglądam pozostałe pomieszczenia. Jesteśmy sami. Idę więc do drzwi, zamykam je na zamki i łańcuch, po czym wracam do starca. Jego dolna warga drga jak struna gitary po skończonym riffie.

– Czego chcesz? – pyta, łapczywie połykając powietrze.

Nie odpowiadam. Podchodzę do zdjęcia przedstawiającego gospodarza i jego bratanka, ogolonego na rekruta olbrzyma. Wyciągam rysunek, który otrzymałem kwadrans wcześniej, i porównuję. Nie ma mowy o pomyłce. Są

identyczni, jedyną różnicą jest kolor skóry, ale czy to jakaś przeszkoda dla czarnoksiężnika? Nie wiem. Paddington nie potwierdza ani nie zaprzecza. Milczy uparcie, pewnie szykując kolejny atak, który zmusi mnie do wykonania szaleńczego polecenia. Jestem zdany na siebie.

I dobrze. Ten pies złapał trop.

Bratanek Zacharego Berkowitza jest poszukiwanym mordercą, pomimo że jakimś cudem z białego stał się czarnym.

Siadam na fotelu naprzeciwko, nadal milczę. Nie mam zamiaru niepotrzebnym pytaniem rozładowywać strachu, który wypełnia porażone artretyzmem ciało starca. Czekam, aż coś powie, liczę, że sam się zdradzi. Fotografie i pomietą kartkę papieru z rysopisem trzymam na kolanach, rewolwer, wciąż wycelowany w staruszka, w dłoni. Lufa nie drga ani o milimetr.

– A więc już wiesz? – odzywa się w końcu.

– Wiem.

– Nawet szybciej niż przypuszczała, biedny, srający ideałami głupiec. – Stary kręci głową. – Zawsze był taki pełen nadziei. Twierdził, że sam zmieni świat, sprawi, że stanie się lepszym miejscem. – Pozwalam mu mówić. – Ja go wychowywałem, detektywie. Miałem niewielką farmę na południu, rosły tam kolby kukurydzy wielkie jak łapsko niedźwiedzia. Czasy były ciężkie, ale musiałem wziąć gówniarza pod opiekę, kiedy jego stary dostał wylewu. Prawi ludzie nie powinni pracować, kiedy bardziej zdadni do tego Negrzy chodzą samopas i przesiadują na krawężnikach pod sklepem, strasząc swoim widokiem porządne panie chodzące po zakupy. – Wzdycha, jakby pamięć o tamtych czasach sprawiała mu ból. – On zawsze pracował ciężko... Starał się pomagać. Powinien go pan wtedy zobaczyć, detektywie. Wysoki i przystojny blondyn, piękny jak z obrazka. Dumny, chociaż chodził w cerowanych portkach i jednej koszuli, nawet na sumę. To były dobre czasy, detektywie. Klan był silny i dumny, nie tak jak dzisiaj, kiedy zastępują dobre uczynki polityką. A młody wspaniale się sprawował.

Za każdym razem taki wyrywny... Jeśli tylko doszły nas słuchy o Negrze przekraczającym granice dobrego obyczaju, pierwszy brał się do karania. Pięknie paliły się krzyże... – Łzy kręcą się w oczach dziada. – Ich widok napawał nas nadzieją na lepsze jutro.

Błogi uśmiech nadaje mu wygląd wioskowego głupka. Mam ochotę przywołać starego do rzeczywistości, ręce aż mnie świerzbą. Mimo wszystko czekam. Nie chcę mu przeszkadzać, skoro postanowił się przede mną otworzyć.

– Pamiętam tamte dni. Krzyże płonące niczym nasączone ropą żagwie i wysokie do nieba iglaki na ich tle, a my wszyscy czysti, ubrani na biało jak w dniu narodzin, z wypiętą piersią, przekonani, że robimy coś dobrego.

Wreszcie patrzy na mnie. Nie wiem, czy dostrzega na mojej twarzy odrazę, w każdym razie postanawia zakończyć swoje przecudowne wspomnienia i trochę mi ulżyć, przyspieszając swą opowieść.

– Myślałem, że w Klanie jesteśmy jak rodzina, a pewnego dnia jeden z braci, urzędnik bankowy w cywilu, przyniósł mi nakaz zajęcia gruntu. – Wzdycha ciężko. – Zdrada. Jak brat może tak potraktować brata?

Wzruszam ramionami. Prawdziwi bracia potrafią zrobić sobie jeszcze większą krzywdę, więc czegoż się kretyn spodziewał po mordercach?

– Dlatego przyjechaliśmy tutaj, do miasta. Pracowaliśmy w fabrykach, ramię w ramię z Negrami, żółtkami, Meksykańcami i Polaczkami, i z całą masą tego świństwa, które przypływa oceanem razem z gównem ze Starego Kraju. Markus znosił to najgorzej. Czuł pan kiedyś smród spoconego Negra? – pyta nagle.

Nie odpowiadam. Czy uzupełnił mydło w łazience?

– Pewnego dnia spadł Rudy Śnieg. Pamiętam, że cała zmiana wybiegła zobaczyć to zjawisko. Dwustu chłopów wgapionych w niebo jak oseski. Patrzyliśmy, długo patrzyliśmy. Ja chyba pierwszy zauważyłem, że coś dziwnego dzieje się z Jonesem, głupim, ale solidnym majstrem, który nadzorował naszą pracę. Detektywie, on nie oglądał tego śniegu jak my.

Normalnie, z ciekawością. On chłonał każdy płatek. Oczy wychodziły mu z orbit, jakby dostrzegał bramy Królestwa Niebieskiego. Później zaczął się trząść i ryczeć jak niemowlę. Z oczu ciekły mu krwawe łzy, a na ustach miał pianę niczym bydlę do odstrzału. Chciałem coś powiedzieć, ale wtedy on, proszę sobie wyobrazić, pękł. Wybuchł, jakby zamiast salcesonu wepchał sobie w ten tłusty bebzon laskę dynamitu. Bach i go nie ma. Zostały tylko kości i flaki. Markus nie przyszedł tamtego dnia do pracy. Umówił się z dziewczyną. – Nagle milknie. Szybkim ruchem ściera niepokorną łzę. Jego pomarszczona twarz szarzeje, jakby walczył z jakimś wewnętrznym bólem. – Nie widziałem go później przez wiele lat... Dopiero niedawno wrócił. Zapukał do mnie, a ja patrząc przez judasza, rozpoznałem go dopiero po dłuższej chwili. Moja krew w czarnym ciele! – Słodka ironia. – Ale rysy są te same, wygląda jak jego papa – wyrzuca z siebie słowa, w przerwach zanosząc się nerwowym śmiechem. – Musiałem go przyjąć, porozmawiać. Przecież to ten sam człowiek, nadal biały, tyle że wygląda... inaczej. Moja krew. Ale jak rozmawiamy i opowiada mi o tym przeklętym dniu, który zmienił tak wielu ludzi, czuję, jak bardzo się oddaliliśmy... Ja mam dość walki, a on ma plany... Szaleńcze plany... Chce zabijać nasze kobiety. Wiem, to tylko kurwy, jednak są z naszej rasy, chociaż zbłądziły... Dobry bat na takie wystarczy, nie trzeba mordować... A co jeśli się pomylisz, pytam go? A on odpowiada, że na każdej wojnie są ofiary i że chce obudzić to, co w naszym białym narodzie uśpione. I mówi jeszcze, że dlatego cieszy się ze swojego obecnego wyglądu, bo będzie nowym Mesjaszem, Mesjaszem białej rasy. I jeśli biali jeszcze bardziej go znienawidzą, to on weźmie ten kielich, przyjmie go z radością, bo każde uderzenie wymierzone w niego będzie biczem na rozpanoszonych po kraju Negrów.

Zachary milknie. Zapada się w siebie, wyczerpany do cna. Jego oddech jest płytki, pierś ledwie się unosi. Zamyka oczy, czoło błyszczy od potu, a zapach starości, który owija go jak całun, zyskuje na intensywności.

Powoli składam fotografię razem z portretem pamięciowym i wsuwam do kieszeni. Podnoszę się z fotela.

– Gdzie on jest? – pytam, stając nad nim.

– Nie wiem. – Wzrusza ramionami. – Nie powiem.

– Nie wiesz czy nie powiesz? – Podnoszę głos.

– Nie zdradzę. Nie jak tamci – odpowiada wreszcie.

Myli się. Wpycham mu lufę do gęby, wyłamując dwie spróchniałe jedyunki, i odciągam kurek. Berkowitz podskakuje w fotelu, prawie doprowadzając do wystrzału.

– Teraz to na pewno nie powiesz – stwierdzam. Coś mamrocze z lufą w ustach, ale nie sposób go zrozumieć.

Wciskam mu broń do gardła. Starym ciałem wstrząsają nudności i jakaś lepka maź, którą niedawno spożył, ląduje mu na swetrze, przy okazji paskudząc mój rewolwer. Nie tędy droga. Wyciągam broń z ust starego i uderzam go rękojęścią w skroń. Pada na dywan jak długi. Siadam na nim okrakiem, nie całym ciężarem, bo pewnie byłby to koniec przesłuchania, ale wystarczająco mocno, żeby się zatchnął.

– Nie masz już po co żyć, dziadzie? – Facet z trudem łapie powietrze. Z tą spuchniętą gębą wygląda jak ryba wyciągnięta z wody. – Nie dbasz, ile jeszcze kobiet zginie? A ilu ludzi później, jeżeli popierdolony plan twojego bratanka dojdzie do skutku?

– Jesteś... Jesteś... policjantem – sapie.

– Jestem, nie jestem, co za różnica. Mam robotę do wykonania, gadaj!

I niedługo później mówi.

– Dziewczyna, tamta dziewczyna sprzed lat. – Wskazuje na regał z książkami, na album ze zdjęciami.

Wstaję, a on wyrywa się i szorując tyłkiem, wycofuje pod kaloryfer. Drży jak osika. Przysuwam mu album pod nos, a on przekłada strony z niecierpliwością godną dziecka rozpakowującego urodzinowy prezent. Otwiera na przedostatniej stronie.

Jest młodsza, ale nie mam wątpliwości. Sprawa układa się w całość.

– Ona wie?

Mężczyzna przytakuje nerwowo.

– Wtedy, jak przyszedł do mnie, nie był sam.

– W porządku. – Przykuwam go kajdankami do kaloryfera i wyciągam wizytówkę, którą otrzymałem kilka godzin później.

Elegancką wizytówkę Violet Red.

Dzwoniąc do niej z telefonu starego, niczego nie daję po sobie poznać, oddycham miarowo, mówię powoli, z rozmysłem. I z uśmiechem. Uśmiech słyhać również w głosie. Wyznaję, że chętnie znalazłbym trochę czasu i że obydwójce możemy sobie pomóc. Zastrzegam, iż część informacji, których jej udzielię, będzie musiała pozostać między nami, dzięki czemu z pewnością zyskuję na wiarygodności.

W końcu umawiamy się na wywiad.

Mam już wychodzić, kiedy przypominam sobie o przykutym do kaloryfera starcu. Dzwonię do jednostki i nakreślam pokrótce wesołą historyjkę, jak to zostałem napadnięty, i proszę, żeby zamknęli dziada do czasu, kiedy wrócę. Zostawiam go ładnie zapakowanego, gotowego do przejścia od zaraz.

Diner, który wybrałem, przypomina żelazko. Dziwaczna jednopoziomowa budowla w kształcie trapezu i z wielkim sztyldem na dachu, wieszczącym dumnie, że są otwarci dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Wpadam do środka z dźwiękiem dzwonka, a kelnerka w trójkątnych okularach mierzy mnie wzrokiem sekutnicy, której samym przybyciem napsułem krwi skuteczniej niż wszelkie nieszczęścia, jakie spotkały ją w życiu. Przechodzę na koniec pomieszczenia, piszcząc podszwami; ledwie zasiadam w jednej z obitych skórą ław, okularnica jest już obok i stawia na blat pusty kubek, do którego zamierza chyba wlać kawę. Zasłaniam dłonią naczynie i kręcę głową, potęgując jej niezadowolenie.

Zamawiam wodę, ale dziewczyna nadal nie odchodzi; więc dobieram naleśniki z syropem klonowym, których i tak nie mogę zjeść.

Wreszcie zostaję sam.

Popielniczka wygląda jak jeź od wszystkich wetkniętych weń petów. Zważywszy na niewielką popularność tego miejsca, nie najlepiej świadczy to o obsłudze. Kim jednak jestem, żeby narzekać. Lokale z żarciem to dla mnie przeszłość; wpadam do nich, żeby powdychać zapachy. Niestety, węch również nie ten, co kiedyś, bo mieszanka ziołowa od Cyganów psuje go nad wyraz skutecznie.

Zaczynam kurzyć. Kilka stolików dalej jakiś spaślak wciąga jajecznicę z tak potężną porcją bekonu, że prawie nie widać jajek. Wygląda na budowlańca. Umorusany, w sfatygowanych dżinsach przytrzymywanych doszytymi szelkami, z przyciężkim żartem i cudownie prostym życiem, zamkniętym między wysiłkiem a żoną z dużym cycem i uśmiechem przylepionym do gęby. Chętnie bym się z nim zamienił, chociaż na jeden dzień. Podnosi ten swój ryj i maleńkimi świńskimi oczkami przygląda mi się groźnie. Tak, chyba groźnie. Robi to nieumiejętnie. Mierzę go spojrzeniem, aż gubi wzrok w talerzu.

Zastanawiam się czasem, czy umiałbym jeszcze żyć wśród prawdziwych ludzi. A nie wyłącznie z takimi, z jakimi związała mnie praca. No bo w robocie jesteśmy tylko my i oni. Gliny i bandyci. Psy i zwierzyna. Mam problem, kiedy spotykam zwyczajnego obywatela – jak go traktować i do której kategorii zaliczyć? Są tacy jak Pollock, dla których praca to tylko praca i nic więcej. Godzą małżeństwo, przyjaźnie spoza naszego światka z policyjnym fachim i wychodzi im to na dobre.

Chyba za daleko zabrnąłem. Dla mnie nie ma powrotu. Kiedy przyjdzie emerytura, tacy jak ja strzelają sobie w łeb albo próbują zbliżonego zajęcia. Nie umieją odpuścić.

Grubas je grzecznie, nie podnosząc głowy.

Siedzę i czekam. Zegar tyka, wybija godzinę umówionego spotkania, ale rudej wciąż nie ma.

Co zrobię, kiedy stanę oko w oko z mordercą? Pamiętam o słowach Millsa i przyznaję mu rację, bo przecież rachunek jest banalnie prosty – lepiej, żeby zginął jeden, a nie dziesiątki albo setki. Z drugiej strony, kiedy rozmawialiśmy, szef nie wiedział, że morderca jest tak naprawdę Białym, który zamarzył sobie o jakiejś chorej rewolucji. Wiedział, że mamy do czynienia z szaleńcem – a nie ze skończonym popaprańcem, który zdrowy rozum dawno temu zakopał gdzieś na kukurydzianym polu wuja.

Ale co, jeżeli doprowadzę Dentystę na komendę? Co, jeśli usłyszą go ludzie? Kto uwierzy, że to jakiś burak z południa, któremu odbiło po Dniu Rudego Śniegu i który gdzieś zaszył się na lata, żeby nagle wyskoczyć jak dżin z butelki i zacząć wycinać prostytutki? Cholera, założę się, że zaraz pojawią się tacy, którzy wskażą, jak to zmiana koloru skóry upośledziła mężczyźnie umysł, wyciągając na światło dzienne wszystko, co najgorsze. Będzie dla nich żywym dowodem na murzyńskie zło.

Cholera. Jestem na to za głupi.

Jako dziecko zaczytywałem się w centowych zagadkach kryminalnych, które rozwiązywał bystry umysł gliniarza, a ja nie rozwiązałem chyba żadnej trudniejszej sprawy bez przestawienia kilku nosów i przetrącenia paru rączek. Siła, groźba, a nie umysł i skrupulatność. Nie floret, ale nabita gwoździami maczuga.

Nie o takiej pracy marzyłem... Ale kiedy to było? Kiedy to było, że ja marzyłem?

– Skąd ta smutna mina? – Zapach rudej bez trudu wygrywa pojedynek z dymem.

Przywdziała elegancki, szary kostiumik uwydatniający to, co u kobiety najważniejsze. Lepkie myśli same przychodzą do głowy, kiedy siada naprzeciw, wpychając te obfite biodra pod blat. Nachyla się, próbując oślepić mnie dekoltem, i ponawia pytanie.

– Za długo musiałem czekać – odpowiadam.

– Zgłodniałam – wskazuje naleśniki, które pojawiły się na stole, sam nie wiem kiedy. – Smaczne?

– Nie mam apetytu, proszę się częstować. – Przesuwam talerz w jej stronę.

Nie daje się prosić dwa razy. Machinalnie przeciera sztucze jednorazową serwetką i zaczyna pałaszować naleśnik, co rusz podlewając go syropem z maleńkiej sosjerki.

– Wszystko robię w biegu – tłumaczy pomiędzy kęsami. – Ta praca wymaga od człowieka wyzbycia się jakichkolwiek zwyczajów. Każdy dzień jest inny.

– Wiem coś o tym. – Szczerzę się radośnie, pomimo że najchętniej złapałbym za te rude kudły i wytrzepał z cwaniary potrzebne informacje.

Czasem jednak lepiej jednak cierpliwym.

– Właśnie. Tak wiele nas łączy, a wy wciąż traktujecie nas z pogardą, jakbyśmy robili wam krzywdę.

– Chodzi o pijawki.

Unosi głowę znad talerza. Brwi zawędrowały jej prawie do linii włosów.

– Pijawki potrzebują innych zwierząt, żeby przeżyć. Ale kto potrzebuje pijawek?

Reporterka chichocze cicho.

– Gospodynie domowe? – proponuje.

Rozpieram się wygodniej na siedzeniu. Jest całkiem sympatyczna, kiedy tak opycha się bez opamiętania. Nie mam pojęcia, jakim cudem mieści to wszystko, zachowując talię osy.

– Od dawna jesteś dziennikarką?

– Niedługo. – Wzrusza ramionami. Sięga po moją kawę i popija, a potem grzmoci się pięścią pomiędzy obfite piersi, beka bezgłośnie i znowu chichocze. – Nie pamiętam dokładnie... Kilka lat, ale czy to jest długo? Mój

szef mawia, że dobry dziennikarz zjadł zęby na tej pracy, a moje są dalej całkiem w porządku.

Błyska wspaniałym użębieniem – muszę się z nią zgodzić. Są w porządku.

– Pani Violet...

– Panno – poprawia z pełnymi ustami.

– Panno Violet, ja i mój partner zauważyliśmy, że jesteś wyśmienicie poinformowana, jeżeli chodzi o sprawę Dentysty.

– Robię, co mogę, żeby związać koniec z końcem. Ostatnio jestem na fali, nie zaprzeczę.

– Na fali?

– Tak się mówi, staruszk.

Dzieli nas mniej niż dwadzieścia lat, sama jest po trzydziestce, bezczelna.

– Jestem młodszy, niż na to wyglądam – kłamię. – Jakim cudem pojawiaasz się tak szybko przy każdym kolejnym trupie? Czasem przyjeżdżasz prawie równo z nami, jak to możliwe?

– Mam swoje informacje. I na tym skończmy.

– Czy to ktoś z moich ludzi?

– Nie mogłabym powiedzieć, nawet gdybym chciała. Jestem profesjonalistką! Czy ty wyjawiałbyś informatora, gdyby ktoś cię o to poprosił?

– Zależy od okoliczności.

– Doprawdy? Pewnie przestałbyś być popularny na ulicach.

– Nie jestem popularny.

Dziennikarka kończy jeść i rozpiera się wygodnie. Przez dłuższy czas siedzimy w milczeniu, patrząc na siebie jak dwoje pokerzystów, czekających na sygnał zdradzający zamiary przeciwnika. Violet Red sięga do torebki i wyjmuję elegancką papierośnicę, otwiera ją, po czym kieruje w moją stronę. Kręcę głową, zapewniam, że wolę własne.

Pół roku wcześniej zaczęło się od papierosów...

Przygląda się zaciekawiona cygańskim skrętom, ale nie komentuje. Srebrną zapalniczką zapala swojego papierosa, a potem robi to samo z moim. Małe gesty, dzięki którym próbuje przejąć kontrolę nad dyskusją, zyskać przewagę nad rozmówcą... Rzeczywiście, pod pewnym względem jesteśmy podobni, arsenał kuglarskich sztuczek prawie taki sam.

– Czego ty ode mnie chcesz? – Postanawia, że czas na grę w otwarte karty.

– Myślę, że oboje możemy sobie pomóc. Ty pomożesz mnie, a ja odwdziczę się tym samym.

– To zbyt piękne, Ezra. Wybacz. Prowadzisz być może najważniejsze śledztwo w ostatnich latach, z pewnością jedno z najbardziej głośnych, nadzorujesz pracę całego zespołu i ty zamierzasz mi pomagać? Mam uwierzyć, że chcesz karmić mnie informacjami z pierwszej ręki? Co ci z tego przyjdzie?

Strzepuję czubek papierosa do najeżonej petami popielniczki, wywalając przy okazji na blat kilka kipów. Mam cię, Violet Red.

– Za kilka miesięcy dostanę złoty zegarek. – Kącik czerwonych ust rudzielca unosi się odrobinę. Jest domyślna. – Uścisk ręki burmistrza i ewentualnie kolejny medalik do kolekcji. Nie za dużo tych możliwości, nie sądzisz?

– W porządku, do czego zmierzasz?

Od razu do sedna, tym lepiej. Oszczędzisz nam obojgu trochę czasu.

– Ciężko wyżyć, będąc emerytem, w związku z czym planuję otworzyć prywatną praktykę. Mam znajomości w różnych kręgach, wiele osób przekonało się do mnie po sprawie Barnaby, dzięki czemu mogłem wrócić do policji. Moja przyszłość wygląda całkiem obiecująco. Nigdy jednak za wiele dobrej reklamy...

– I tutaj wchodzi ja.

– Czytałem twoje artykuły... No, może jeden czy dwa. Wiem, że nie wyrażasz się w nich pochlebnie o naszej pracy, ale w porządku. Mamy przecież swobodę wypowiedzi i inne tego typu bzdury. – Otwiera usta, chcąc przerwać, ale zamyka je ponownie, widząc, że na razie nie zamierzam dopuścić jej do głosu. – Ja to szanuję. Stoję na straży prawa. Ja i moi koledzy. Nadstawiamy karku, żebyście mogli pisać, jakie z nas skurczysyny. To symbioza. Jesteście naszymi pasożytami, ale i my nie możemy czasem żyć bez was. Chcę mieć kogoś po swojej stronie, a sposób, w jaki piszesz, i to, że przy tej sprawie dołączyłaś do śmietanki dziennikarzy śledczych miasta...

– Nie wiedziałam, że jesteś taki elokwentny. – Zagryza wargę.

– Nie robię się coraz młodszy, a dobra prasa przed otworzeniem praktyki... Nie chcę czekać całymi dniami na klientów.

– Jesteś z wydziału zabójstw. Nie byłbyś moim pierwszym wyborem, gdybym podejrzewała męża o zdradę.

– Dlatego mi się podobasz. – Śmieję się. Mam nadzieję, że nie wychodzi sztucznie. – Nie myślisz jak wszyscy. Ale pamiętaj, że zwykła kura domowa najpierw dałaby zlecenie komuś, kogo zna. Może to być znajomość z gazet. Ważne, żeby się dobrze kojarzył.

– Ale co ja będę z tego miała? – Z sykiem gasi papierosa w ostatnim kawałku naleśnika, jaki ostał się na talerzu.

– To oczywiste. Zostało mi kilka miesięcy pracy, więc nakarmię cię informacjami ze wszystkich ciekawszych śledztw, jakie poprowadzę.

– Śledztw? A co z Dentystą?

Przynęta połknięta, czas wyciągać wędkę.

– Dentystę już prawie mamy.

Nie uchodzi mojej uwagi, że zapiera jej dech. Stara się to ukryć zawstydzonym uśmiechem i dłonią zasłaniającą usta – gest, którym próbuje zamarkować problemy z trawieniem. Poprawia niesforny kosmyk włosów opadający na czoło. Nie z pietyzmem, jakiego bym się po niej

spodziewał, o nie. Przyczesa go szybkim niedbałym ruchem, przez co zaraz opada z powrotem. Sięga po kolejnego papierosa, choć dopiero skończyła poprzedniego. Violet Red nie pali dużo. Papierośnica mieści osiem sztuk, a fajki są eleganckie; założę się, że nie można ich dostać w pierwszym lepszym sklepie.

– Jak to? – pyta całkiem spokojnie.

– Po pierwsze, jest ranny, a my monitorujemy wszystkie szpitale i pogotowia w mieście. – Mam nadzieję, że ktokolwiek zajmował się sprawą Dentysty podczas mojej nieobecności, nie zapomniał o tym szczególe. – Po drugie, wiemy, jak wygląda, i wkrótce będziemy wiedzieć więcej. Mamy świadków i śliczny, szczegółowy rysopis. Pokażemy ten obrazek wszystkim świadkom. Któryś na pewno coś nam powie. Ktoś go na pewno skojarzy.

– Macie rysopis? – pyta i już jest moja.

– Co powiedziałaś na możliwość opublikowania go wcześniej, przed resztą prasy?

Nie odpowiada. Sięgam do kieszeni marynarki i wyciągam pomietą kartkę z rysunkiem. Rozkładam ją ostrożnie, rozprostowuję i przesuwam po brudnym blacie.

– Dam ci to jako przyczynek do naszej współpracy. A kiedy go złapiemy, dowiesz się o tym jako pierwsza. Udzielę ci ekskluzywnego wywiadu, Violet.

Patrzy na obrazek otwartymi szeroko oczyma.

– Nic nie mówisz? Nie dziwię się, to wyjątkowa okazja.

– Dziękuję – duka.

– I pamiętaj, chcę być przedstawiony w jak najlepszym świetle.

– Oczywiście. Jesteśmy umówieni.

– Świetnie. Masz ochotę na deser?

Trochę nazbyt teatralnym gestem spogląda na zegarek i kręci głową z zatroskaną minką. Przypomniała sobie właśnie, że jest umówiona, ale bez

obaw, na pewno dotrzyma słowa. I pozostaniemy w kontakcie. Wszystko będzie świetnie, a ja podjąłem dobrą decyzję. Wstaje, prawie wywracając talerz, o który nieostrożnie zaczepiła brzegiem marynarki.

– A jak wpadłeś na jego trop?

– O tym opowiem ci następnym razem. – Odwracam się i macham na kelnerkę, żeby przyniosła kolejną kawę. Niechże panna Red myśli, że w najbliższym czasie nigdzie się nie wybieram.

Dziewczyna odchodzi, stukając głośno obcasami, a kiedy widzę ją przez szyby, wstaję i płacę, nie zostawiając napiwku.

Na ulicy tłum ludzi, ale ciężko przegapić rudzielca potrącającego jednego przechodnia za drugim. Wściekłe spojrzenia śledzą ją cały czas. Bardzo się spieszy, więc i ja przyspieszam kroku.

Z głównej, zatłoczonej ulicy skręca w zaułek i na chwilę niknie mi z oczu. Docieram do rogu prawie biegiem, ale zatrzymuję się, słysząc ryk silnika. Na szczęście ja również nie zaparkowałem daleko.

Czekam, aż jej wóz wyjedzie, po czym pędzę do swojego, notując w myślach numery rejestracyjne, tak na wszelki wypadek. Wsiadam do Forda i łamiąc kilka przepisów, włączam się do ruchu; liczę, że nie odjechała zbyt daleko. Mam szczęście. Czerwone sportowe auto, jakiś diabelski europejczyk, którego marki nie rozpoznaję, przeciska się pomiędzy pasmami pełznących pojazdów z gracją baletnicy. Mój czarny zdechłak nie pozostaje jednak w tyle.

Omijamy centrum i bogatsze dzielnice, stajemy w korku, ale ona zaraz skręca w boczną ulicę, przez co muszę ratować się jazdą poboczem. Znowu mam szczęście. Los mi sprzyja. A może to miasto? Tak, to pewnie ono – chce pozbyć się robaka zakłócającego spokój. Czas zaprowadzić porządek, zostać poklepanym przez burmistrza i wreszcie się wyspać.

Wyspać? A co z Odrodną siostrą pana demona?

Czasem mam wrażenie, że to się nigdy nie skończy. Kiedy tylko rozwiązuję jeden problem, następny już czeka za zakrętem, żeby

wyszczeryć zębiska w głupim uśmiechu i oznajmić, że to ja jestem tematem dowcipu.

Przynajmniej Paddington nie przeszkadza. Chciałbym wierzyć, że zaakceptował moją decyzję, że da mi spokój i pozwoli doprowadzić sprawę do końca, bo jednak wiem lepiej.

Co to za pomysł, żebym wydlubał sobie oko? Jest tak głupi i niedorzeczny, że tylko komuś nierozumiejącemu kompletnie ludzi mógł przyjść do głowy. Może mnie torturować swoimi wizjami, ale nigdy nie dopuszczę do tego, żebyśmy się jeszcze bardziej związali.

– Zrobimy to po mojemu. Nie myśl, że będę cię potrzebował. Sam dam radę – mamrocę ze złością. – Dorwę bandziora, a on zaprowadzi mnie do niej.

– *Poczekam* – zgrzyta, sprawiając, że prawie podskakuję w fotelu.

Zapalam na uspokojenie. Jej czerwony samochód nadal jest w zasięgu wzroku; przejechaliśmy dobre pół miasta i za chwilę, jeśli dobrze przewiduję, dotrzemy do dzielnic biedoty.

Zerkam w lusterko. Wyglądam jak zawsze. Paskudna gęba, czasem przydatna w zawodzie, w kontaktach z panienkami – diabelny handicap, cóż poradzić. W moich bebechach siedzi metalowy potwór, ale lekarze w szpitalu nie wykryli niczego dziwnego, bo inaczej już dawno siedziałbym zamknięty w izolatce, podłączony do urządzeń rodem z filmów o Frankensteinie, a jacyś kretyni w białych kitlach kiwaliby głowami, wpatrując się w wykresy, chociaż i tak pewnie nic by z nich nie rozumieli.

– Wszystkie radiowozy z okolicy... – zaczyna terkotać radio, więc je wyciszam, żeby nie przeszkadzało. Policja nie ma w tej chwili sprawy ważniejszej niż ta.

To takie dziwne, że Paddington siedzi gdzieś we mnie, potrafi stać się namacalny i prawdziwy, ale przez większość czasu jest tylko złośliwym głosem. Olbrzymi skrzydlaty stwór mieszczący się w zwyczajnym

człowieku. To przecież niemożliwe... No tak, ale magia też jest przecież niemożliwa. Sprzeczna z logiką.

Kiedyś go o to zapytałem. Jego odpowiedź najpierw mnie rozbawiła, a później, kiedy ją przemyślałem, zmroziła do kości.

– *My tworzymy logikę i my ją niweczymy* – powiedział.

Resory uderzają o nierówność, aż zapiera mi dech. Burmistrz ma gdzieś tę dzielnicę i pewnie najchętniej zrównałby ją z ziemią, gdyby nie mieszkańcy, z którymi nie wiadomo, co zrobić. Za mało budujemy w tych czasach, żeby rozdawać lokale socjalne. Nie ma tutaj prawie żadnych aut, więc muszę teraz naprawdę uważać, żeby mnie nie zauważyła. Liczę, że jest tak zaaferowana wieściami, którymi ją nakarmiłem, iż myśli tylko o podzieleniu się nimi z kochasiem. Oczka ma skierowane tylko na niego.

Trzymam rozsądną odległość. Jej czysty samochód i tak ciężko zgubić. Mijam pochylające się, sypiące tynkiem budynki pełne ślepych, zabitych deskami oczu okien. Przecinam kałużę za kałużą; tu wciąż obecne, pomimo że w pozostałych częściach miasta jest sucho jak pieprz. Pewnie biedota dorwała się do hydrantów, bo dla takich jak oni nawet woda jest zbytkiem. Kiedy patrzę po tych ryjach, każdy wydaje się podejrzany. Stary menel w pocerowanym garniturze, którego sam by nigdy nie kupił albo szczyłki w łatanych portkach – wszyscy pewnie kombinują, jak coś ukraść. Można tutaj iść ulicą, aresztując jednego po drugim, i krzywdy się nikomu nie wyrządzi.

Red znika za kolejnym zakrętem. Szukam w pamięci, dokąd prowadzi ta droga...

Magazyny.

Dlaczego tak często kryją się w magazynach?

Czerwone światło na skrzyżowaniu zatrzymuje mnie i zadziwia, że w ogóle działa. Staję i patrzę za jej autem, które opuszcza tę przeklętą przez miasto dzielnicę, łagodnym stokiem zjeżdżając do zbitych z dykty baraków. Jest ich tam całe mnóstwo. Kiedyś służyły do przechowywania materiałów

budowlanych, ale to było dawno i nie mam pojęcia, czemu ktoś się jeszcze tym wszystkim nie zajął. W końcu grunt to grunt, coś musi być wart.

Światło nie zamierza się zmienić, więc z obawy, że zgubię rudą, łamię kolejny drobny, nikomu tu niepotrzebny przepis. Jakiś dziadek z puszką, który zmierzał do mojego auta, staje zawiedziony i wraca na swoje miejsce pod murem.

Dociskam gaz i zjeżdżam w barakowe pole.

Robię się nieostrożny na stare lata. Za długo stałem na światłach. Zdążyła wysiąść. Zaparkowała między dwiema drewnianymi szopami; mogła wejść do każdej z nich.

Nie zwalniając, mijam czerwone auto. Turlam mojego grata ze zgaszonym silnikiem. Niskie tumany kurzu owijają pojazd jak chmura. Skręcam za kolejnym składem i wysiadam z wyciągniętą bronią. Powietrze przesycone jest zapachem zgnilizny, oleju i czegoś jeszcze, kwaśnego i słodkiego. Stoję, nasłuchuję, dostrajam się do okolicy. Nie tylko zapach, ale każdy dźwięk, ruch powietrza na skórze, wszystko to może mnie ostrzec i uratować.

Przyciskam plecy do ściany, sunę obok niej, aż docieram do krawędzi. Przykucam i przyglądam się samochodowi dziennikarki... Żadnego ruchu. Pochylony podbiegam do niego. Zerkam do kabiny, sprawdzam z przodu i z tyłu, aż mam pewność, że jest pusty.

Gdzie teraz? Równie dobrze można rzucać monetą.

Szmer z prawej strony. To decyduje. Ostrożnie podchodzę do drzwi, popycham je lufą. Otwierają się bezgłośnie, a ze środka wybiega szczur.

– *Ależ napięcie* – drwina brzęczy w głowie.

Gadaj zdrów, Paddy. Nie wyprowadzisz mnie z równowagi. Jedziemy na jednym wózku, pamiętasz?

Żałuję, że nie mam latarki. W środku jest ciemno jak na dnie diabelskiego kotła i prawie równie gorąco. Stoją tutaj jakieś drewniane paczki, poukładane dość przypadkowo, niby rzędami, ale naprawdę bez

większego ładu. Przy wejściu ledwie parę, później zrzucona na wielką kupę gromada, dalej kilka rzędów równych jak budowla z klocków, a potem znowu bałagan. Zaś pomiędzy tym wszystkim wąskie alejki, którymi ledwie się przeciskam. Trochę światła wpada przez polepione kurzem okna i szpary między deskami. Mógłby zaciąć się w jednym z zacienionych miejsc i dopaść mnie, nim zdążyłbym mrugnąć.

– *Moje oczy są lepsze od twoich. Oddaj mi jedno, a otrzymasz nagrodę.* –
A ten znowu swoje.

Przesuwam się wzdłuż skrzynek. Na plecach, mimo marynarki, czuję szorstkie drapanie drzazg. Dźwięk jest tak donośny, wyraźny... On już dawno musi wiedzieć, że tutaj jestem.

Wreszcie rząd skrzynek się kończy. Kucam i wyglądam za krawędź. Szybko, bardzo szybko, a później odtwarzam w pamięci, co udało mi się zobaczyć – skrzynki, następne rzędy pieprzonych skrzynek. I nic poza tym. To miejsce jest jak labirynt.

Idę kolejnymi alejkami.

Zmysły napięte do granic możliwości. Słyszę diabelnie wyraźnie, mam wrażenie, że nic nie może mi umknąć. Szuranie butów po podłodze, każde otarcie o skrzynię, stuknięcia dochodzące gdzieś spoza obrębu widzenia i mój ciężki oddech. Zapachy również są mocniejsze. Nawet smród starego tytoniu, który owija mnie jak koc.

Przeciskam się alejkami, aż docieram do wejścia. Źle skręciłem? Sam już nie wiem. Wiem za to, że w ten sposób ich nie znajdę. Powinienem wrócić do auta i poczekać na rudzielca. W końcu będzie musiała przecież wyjść.

Otwieram drzwi, światło słoneczne oślepia na moment, ale to wystarczy. Włoski na karku stają dęba. Powietrze przeszywa elektryczny wizg zakłęcia. Moja dłoń rozczapierza palce bez udziału woli, wypuszczając rewolwer. Colt wzbija suchy obłok piasku.

Na masce czerwonego auta siedzi morderca. Obok niego stoi dziennikarka z przyklepionym do twarzy uśmiechem.

Już po mnie. Teraz byś mi się naprawdę przydał, Paddington.

Milczy.

Tak. Wiem dobrze, czego oczekujesz.

Dentysta unosi naszyjnik z ludzkich zębów, pewnie należących do jego ostatniej ofiary. Na moich oczach jeden z nich, z brunatnego, od zaschniętej krwi, zmienia kolor na czarny, zepsuty. Morderca uśmiecha się, widząc moje zainteresowanie. Wiem już, czyje to zębiska nawlókł tym razem na sznurek. Swoje własne. Szczyrzy się do mnie metalową protezą.

– Oto jest cena. Jeden ząb za jedno zakłęcie. – Puszczą do mnie oko. – Na szczęście na tym świecie jest więcej zębów niż ludzi.

Nie ma szans, żebym doskoczył do rewolweru. Leży zbyt daleko, a on rzuca te uroki w mgnieniu oka.

Zabawne. Załadowałem specjalne naboje, a nie będę mógł ich użyć. Ma niezły powód, żeby mnie załatwić. Widzę wyraźnie czerwoną plamę w okolicy klatki piersiowej, przenikającą przez ubranie. Liczę, że kula siedzi głęboko, gdzieś przy sercu, a jego zejście jest kwestią czasu.

Musieli mnie obserwować. Pewnie ta ruda zdzira... Zagrała ze mną, jakbym miał mleko pod nosem. Taki stary, a taki głupi. Gdzieś znika rozsądek i ostrożność, kiedy czujesz w bebeczach gorący dech demona.

Może to głupie, ale chętnie bym się pomodlił; zmówił prędką zdrowaśkę, żeby ktoś spojrział na mnie przychylniej, kiedy padnę w piach. Widać to prawda, że na chwilę przed śmiercią, kiedy życie zamyka już drzwi, religia wciska but w szparę. Dziadka też co dzień odwiedzał ksiądz, gdy przyszło staruszkowi odchodzić. Schował gdzieś dumę, która broniła mu wejść z powrotem do kościoła po kłótni z proboszczem. Za nic miał swoją przysięgę, że prędzej utopi się we własnych rzygowinach, niż jego stopa postanie w budynku zbudowanym przez ludzi, którzy zabronili mu pochować matkę w poświęconej ziemi.

Cóż, pewnie przy końcu każdy okazuje się tchórzem.

Ale czy powinienem się bać? Przecież Awian mówił, że i tak nie mam duszy, że człowiek nie wykształcił niczego podobnego. Jeśli to prawda, właśnie mijają ostatnie sekundy mojego istnienia. Za chwilę nie będzie już nic. Więc czego tu się bać?

Powiedz coś, demonie. Pomóż mi, do kurwy nędzy.

Ale gnój milczy.

Mam go przeproszać?

– Myślałem, że będziesz błagał. Jeszcze nie jest za późno, żeby uklęknąć. Sплюwam.

– Skąd wiedziałaś, że cię śledzę, piczo?

Ruda nie odpowiada. Gładzi kochanka po ustawionej na sztorc grzywie i zlizuje pot błyszczący na jego czarnym policzku. Przesuwa lubieżnie po udzie mężczyzny, aż dociera do krocza. Łapie i ściska, mocno; rozluźnia uścisk dopiero, kiedy tamten jęknie z bólu. Chyba to lubi, wybrzuszenie w portkach mówi samo za siebie.

– Gdzie się podziała twoja ogłada, Ezra? Taki był z ciebie dżentelmen, aż miałam ochotę wleźć pod stół i wyssać odrobinę kultury z twojego malucha. Nie odpowiesz? Nie odpyskniesz? Nie ma z nim ani odrobiny zabawy, skarbie.

– Jest tylko małym człowiekiem. – Markus wzrusza ramionami. Drobnny skurcz przemyka po jego twarzy, kiedy czerwona plama na ubraniu, i ledwie widocznym pod nim nieudolnym opatrunku, drga. – Nie widzi lasu, tylko drzewa.

– Nie jestem głupia, Ezra. Miałaś przecież rysopis, a ty wcześniej węszyłeś u stryja mojego mężczyzny. Musiał wypaplać. Sentymentalny głupiec!

– Nie widział mnie od lat, ale nadal kochał na swój ograniczony, nieskończenie prymitywny sposób. – Dentysta kręci głową.

– Odwiedziłam go zaraz po twoim telefonie. – Rudzielec przewraca oczami – Zmarniał, nie wyglądał dobrze. Jego stare, sflaczałe ciało drgało

jak w gorączce. Nieźle musiałeś go nastraszyć, detektywie.

– Robię, co mogę.

Dla ciebie z pewnością nie byłbym taki miły.

– Wszyscy robimy, co możemy. Jesteśmy ludźmi czynu. Nie mogłam patrzeć, jak się męczy, więc pomogłam mu.

Violet Red odkleja się od swojego chłopaka i maszeruje na tył samochodu. Otwiera bagażnik kluczykami wyciągniętymi z torebki. Dziwię się, że trzymali starca tak długo w bagażniku, jednak kiedy kobieta trzaska klapą, wiem już, że u tej pary nic mnie nie zaskoczy.

Siada na masce obok kochanka i kładzie głowę Zacharego Berkowitza na kolanach. Nie przeszkadza jej krew spływająca na drogą suknię, na pończochy. Łapie jego usta w palce i zaczyna nimi poruszać, imitując życie. Mrukliwie podkłada głos:

– Jest mi teraz lepiej. Niczym się nie przejmuję. Nie muszę nigdzie chodzić, nie muszę sikać ani srać. Nie muszę jeść, ani pić, a przede wszystkim nie muszę się denerwować. Żałuję jedynie... – Przerzywa na moment, nie mogąc powstrzymać śmiechu. Dentysta patrzy na nią z chorą fascynacją. – Żałuję jedynie, że nigdy nie miałem czasu naostrzyć kuchennych noży.

Teraz oboje wybuchają śmiechem. Nie zwracają na mnie uwagi, zbyt zajęci sobą. Szczęśliwa, zakochana para, aż żal ich rozdzielać.

Bezgłośnie przesuвам się w stronę rewolweru. Zerkam na Violet, ale ona wpija się w usta mężczyzny, kompletnie mnie ignorując. Markus stęka z bólu, jednak ruda zębami ostrymi jak szpilki, rozgryza mu wargę, ssąc krew.

– Dość. Nie ruszać się – rozkazuję, trzymając znów niezawodnego kamrata w dłoni. Jego ciężar jest jak balsam na rozedrgane nerwy. – Wyrzuć to! – Wskazuję na naszyjnik z brunatnymi i czarnymi zębami.

– Chyba nas złapał. – Dentysta zwraca się do kochanki. Nie wygląda na zasmuconego.

– Jest naprawdę dzielny.

– Nie mieliśmy szans!

Ruda kiwa głową.

– Przynajmniej próbowaliśmy.

Wypalam z rewolweru. Celuję obok głowy bandziora, ale z wykrzywioną muszką to wcale nie musi być strzał ostrzegawczy. Część mnie chce, żebym się pomylił.

Kula wybija w przedniej szybie dziurę wielkości piłki futbolowej, a magiczny wir, który nastaje natychmiast po tym, wyłapuje lecące na boki odłamki szkła. Zamraża je w powietrzu, po czym wsysa do środka, nie zostawiając choćby jednego okruszka. Liczę, że zrozumieją to przesłanie.

– Nie mamy wyboru. – Czarny szczyrzy metalowe zęby. Odrzuca naszyjnik na bok, pod ścianę baraku.

– A ty odłóż głowę.

Violet spokojnie rzuca ją za siebie.

– Jak na weselu – komentuje rozbawiona.

Słyszę, jak czerep odbija się od dachu, bagażnika i wreszcie spada z płaskiem na ziemię.

– I co teraz, detektywie?

– Unieść ręce i wstawać! Oboje!

Z ociąganiem zwlekają się z maski auta.

Powinienem mieć w schowku zapasowe obrączki, moje i Pollocka. Skuję ich, ale co później?

Puszczam parę przodem. Zachowują się, jakby to był niedzielny spacer w parku. Szaleńcy. Mężczyźni rozkazują położyć dłonie na masce, a Violet Red otwiera drzwiczki i wyciąga ze schowka kajdanki. Jedną parę odkłada na dach, a drugą zapina sobie z tyłu na przegubach. Jest odwrócona plecami, żebym widział, czy nie oszukuje. Ale jest grzeczna. Niczego nie próbuje. Wie, że się nie zawaham. A może myśli, że czekam, aby

spróbowała czegoś głupiego? Patrzy wyzywająco, kiedy sadzam ją z tyłu samochodu.

Staram się cały czas pilnować mężczyzny, ale zdrętwiała dłoń i ból po odniesionej ranie robią swoje. Kilka razy opuszczam lufę niżej, aniżeli bym chciał; do właściwego poziomu unoszę ją z trudem. Pot wypływa spod kapelusza na czoło i do oczu. Mrugam.

Daję mu kilka niezłych okazji.

Wielki z niego chłop, silny, widać, że ciężka praca zrobiła z niego kawał atlety. Co prawda jest ranny, niemniej mógłby spróbować, powinien spróbować. Jestem przecież tak cholernie nieuważny.

Zatraskuję drzwi, pozostawiając dziennikarkę w kabinie. Ręką, w której trzymam broń, zgarniam kajdanki.

– Prawa do tyłu, za plecy.

Dociskając lufę do ciała mężczyzny, zatraskuję obrączki na jego przegubie, pomagając sobie przy tym zranioną ręką. Idzie niezdarnie, ciężko, ale on tego nie zauważa.

– Możemy teraz porozmawiać, detektywie – odzywa się nagle; mało brakowało, a wypaliłbym mu dziurę w plecach.

Wycofuję się kilka kroków, po czym zezwalam, żeby się odwrócił.

– O czym mielibyśmy gadać? – pytam.

– Na pewno jest wiele rzeczy, które chciałbyś wiedzieć. Pytaj więc. Z chęcią odpowiem. „Dlaczego?“, „po co?“ i „za ile?“. Wiem, że chciałbyś wiedzieć.

– Powinienem cię odstrzelić. Przysłużyłbym się społeczeństwu.

Krzywi się, wzrusza ramionami. Przekręca głowę jak zaciekawiony psiak i patrzy na mnie z ukosa.

– Nie da się tego zrobić. Dobry anioł mnie strzeże.

Anioł? Zabawne. Mnie strzeże demon.

– Anioły nie strzegą takich jak ty.

Coś w jego butnej postawie każe mi odciągnąć kurek. Nie wiem, czy chcę nacisnąć spust... Na pewno chcę zobaczyć, jak się poci. Chcę widzieć jego strach, prośbę schowaną w szklistych oczach.

Za łatwo, poszło za łatwo. Powinienem leżeć w tym piachu, zbierając flaki z powrotem do dziury w brzuchu i wypluwając resztki życia w towarzystwie przekleństw. Tymczasem mam dwójkę morderców. Dostałem ich na tacy. Brakuje tylko jabłek wetkniętych w usta i farszu ciekącego z tyłka.

Jakieś sugestie, Paddy?

– *Musisz znaleźć Marybone, tracisz czas.*

– Dlaczego to robiłeś? – Niech mówi. Tym mi nie zaszkodzi. Co najwyżej zaszkodzi sobie. Nie wie tego, ale właśnie odbywa się rozprawa. Jestem prokuratorem, ławą przysięgłych, sędzią. Katem, jeśli zajdzie potrzeba.

– Dlaczego? – Unosi brwi i szczyrzy zęby. Widzi, jak im się przyglądam, bo widok jest niezapomniany: kupa szarego żelastwa wyprofilowana na kły rodem z koszmaru. Kłapie nimi jak kleszczami i bawi go moja skrzywiona mina. – Cieszę się, że zacząłeś od tego pytania. To jedno z najciekawszych.

Nagle siada na pochyłej, przypominającej orli dziób masce samochodu. Zapiera się nogami o błotnik i wdrapuje wyżej. Wstaje. Blacha auta ugina się pod ciężarem zwalistego cielska.

– Ja chciałem, żeby było dobrze i żeby dobrzy ludzie dobrze żyli na świecie pełnym dobra – mówi szybko, ale już jestem przy nim. – Chciałem stworzyć Raj, alleluja.

Łapię go za nogawkę i ściągam na dół, aż potyka się i pada. Wali mordą o glebę. Dociskam lufę do karku psychopaty tak mocno, że krztusi się piaskiem. Krztusi i chichocze. Gnida.

– Myślisz, że zamkną cię w zakładzie? – Odwracam go na plecy, pomagając sobie kopniakami. Jego twarz jest w połowie pokryta żółtą

ziemią, a nos robi za granicę. Wygląda jak artysta cyrkowy. Niedokończony klaun. – Że się wywiniesz? Nie dopuszczę do tego.

– I kto jest wariatem? Nie zamierzam się z niczego wymigiwać. Przecież wcale nie chcesz mnie doprowadzać do aresztu, prawda? Nie planujesz mnie jako wycinka z gazety, którym będziesz mógł pochwalić się wnukom. Wolałbyś, żebym zniknął.

Wpycham broń za pasek i podnoszę drania zdrową ręką. Nie opiera się, wstaje posłusznie. Nie protestuje również, kiedy pcham go do auta.

– Byłem Hiobem, któremu wszystko zabrano. Będę wzięty prosto do Raju.

– A śmierć tych kobiet?! – Popycham go, rozprasowuję na drzwiach.

Wewnątrz kabiny dziewczyna przesuwają się, żeby zrobić kochankowi miejsce. Otwieram i wpycham bandziora do środka, prawie rozbijając mu łeb o dach.

– Nie jest grzechem wypełnianie życzeń anioła. – Z rany na czole, którą mu właśnie zrobiłem, tryska krew. Czerń, czerwień i żółty, karykatura jakiejś obcej flagi na jego gębie.

– Nie mów za dużo, skarbie. – Słyszę rudą, kiedy tylko wsiałam za kółko.

Odpalam silnik i ruszam powoli, kołując wokół czerwonego auta i leżącej w pobliżu głowy Berkowitza. Zakręcam w kierunku wyjazdu z cmentarzyska baraków. Wciąż nie wiem, co powinienem z nimi zrobić. Violet to nadplanowa zmienna w tym równaniu. Nie uciszę jej, musi pójść tam, gdzie jej facet.

Patrzę w lusterko wsteczne. Wygląda jak na fotografii, jedynie pigment skóry jest dużo bardziej ciemny. Nawet oczy nie są już jasne, tylko ciemnobrązowe. Biały, który wygląda jak Czarny. Najgłupszy adwokat z łatwością przekona ławę przysięgłych, że łatwiej sfabrykować zdjęcie niż człowieka. Ludzie nie chcą wierzyć w takie czary. Nie zaprzeczają, będąc

świadkiem samospalenia człowieka, ale przecież nikt nie zechce uwierzyć, że można zmienić kolor skóry przez wybryk pogody.

Dlaczego powiedział, że nie dowiozę go do aresztu? Nie mógł przecież wiedzieć o mojej rozmowie z szefem.

Dlaczego?

– Mam ochotę zeznawać, panie bohaterze. – Dobiega mnie z tyłu jego ochrypły głos. – Zaoszczędzi to panu papierkowej roboty.

– Nie próbuj wodzić mnie za nos, synku.

– Nie będziesz wodził na pokuszenie, zostało zapisane – oznajmia teatralnym szeptem. – Ależ dzisiaj mam kiepski dowcip, nieprawdaż, kotku?

– Czarny humor. – Chichocze.

Mężczyzna śmieje się krótko, a potem odchyła głowę w tył, kładąc ją na brzegu oparcia. Ta dwójka przypomina kiepskich aktorów, nijak nieumiejących sprzedać swoich ról.

– Bez obaw, bohaterze – mówi Markus. – Niczego nie chcę w zamian, a opowiadać mogę w czasie podróży. Pójdźmy tylko na jeden kompromis...

– Żadnych kompromisów, śmieciu – przerywam.

Coś się we mnie gotuje.

– Śmieciu? – podłapuje dziennikarka.

– Właśnie! Nazwał mnie śmieciem!

– Rozumiem. Dlatego nie chce kompromisu.

– Detektyw, nie chce pertraktować ze śmieciem. Jest rasistą!

Nie mogę już wytrzymać.

– Zawrzeć gęby! – przerywam przekomarzanie.

– Cicho, skarbie. Pan bohater jest zły... Ona już nie będzie przeszkadzać. Ja wszystko opowiem... Proszę tylko nie włączać policyjnego radia. Nie chcę, żeby jakiś bezsensowny komunikat zniszczył suspens w mojej historii.

Nachyliam się i uruchamiam policyjny nadajnik. Krótki gwizd do towarzystwa z następującym po nim szumem wypełniają kabinę. Kręcę inną szpulą. Zakłócenia ustają. Jest cicho.

Podejmuję decyzję.

Wjeżdżamy na powrót do biednej dzielnicy, ale tym razem olewam światła i prę naprzód w kierunku przeciwnym do centrum miasta, zamierzając ominąć gigantyczne korki godzin szczytu. Policyjny odbiornik wyrzuca przyciszone komunikaty, ale ignoruję każdy z nich. Nie mam zamiaru odpowiadać, myślę zupełnie o czymś innym.

– Włączył radio – szepcze Violet Red.

– A niech to!

– Teraz na pewno się dowie, co z jego partnerem. I żoną...

– Wpadliśmy!

Lodowa szpila godzi w serce, jednak zimno promieniuje na całe ciało. Chłodny pot wilży kapelusz, a palce zaciskają się na kierownicy jak kloce imadła. Muszę użyć całej siły woli, żeby je rozewrzeć i przesunąć do nadajnika. Nie czuję pokręteł, jakby ktoś pozbawił mnie zmysłu dotyku. Palce ześlizgują się po walcu odpowiedzialnym za głośność jak po soplu i trafiam dopiero za którymś razem. Dźwięki, szum radia na nowo wypełniają kabinę. Ci z tyłu milczą jak dwoje szkolnych łobuzów, którzy zmalowali coś naprawdę strasznego.

– Jedenastka. Gdzie Pollock? – Suchy głos, jakby należał do kogoś obcego. Ale jest mój. – Powtarzam, tu jedenastka...

– Ezra... – Eli Frick nie potrafi utrzymać emocji na wodzy, a przecież jest chłodna jak gład.

– Co? – pytam, choć wcale nie chcę usłyszeć odpowiedzi.

– Od godziny próbuję cię złapać... Nic nie wiesz?!

– Gadaj, co się dzieje? Gdzie Pollock?

– Zniknął. Jego żona również.

– Co się stało?

- Sprawdzają teraz jego dom.
- Jadę tam.
- Ezra...
- Tak?
- To nie wygląda dobrze.

ROZDZIAŁ VII – W młynie

Wspomagając się wściekłym rykiem syreny, przebijam się przez miasto. Rozganiem automobile, których kierowcy pospiesznie zmieniają pas albo wpadają na chodnik, żeby tylko ująć z drogi czarnemu wrakowi. Miasto wspiera mnie, jak może, i każde światło, które widzę zawieszona na pałakach skrzyżowań, zawsze jest zielone. Gdyby było czerwone, i tak bym nie stanął.

Zdenerwowanie pompuje adrenalinę do żył i jestem jak pieprzona lokomotywa, której maszynista nawrzucał za dużo koksu i węgla, nagrzewając blaszane płuca do granic. Ciężko oddycham, jakbym ciągnął setkę ton wagonów, serce kłuje i bije jak marszowy werbel.

– Jeżeli włos spadnie mu z głowy, będziesz się modlił o śmierć – warczę.

– Gliniarze często grożą, skarbie. – Odbicie Violet w lusterku wzrusza ramionami.

– Niech grozi. Jego groźba jest jak obietnica polityka.

Dziewczyna unosi brwi.

– Bez pokrycia – wyjaśnia Dentysta.

Zaciskam zęby tak mocno, aż zgrzytają i czuję gorzki proszek na języku. Mięśnie szczęki bolą, jakbym właśnie przegryzł kokosa.

– Racja, bohaterze?

Naciskam hamulec, pisk opon i bandzior uderza o zagłówek. Milknie nareszcie, zajęty zlizywaniem strużki krwi, która wycieka mu z nosa.

– Proszę się tak nie zachowywać – mówi po dłuższej chwili. – To nie jest zachowanie godne funkcjonariusza.

– Zdecydowanie niegodne – wtóruje mu ruda.

– Jesteśmy w posiadaniu polisy, której wolałbyś nie stracić, detektywie. Chcesz czy nie, będziesz musiał wykonywać moje polecenia.

Milczę. On wie, że cisza równa się zgodzie. Nie mam wyboru. Muszę wziąć udział w przygotowanej przez wariata szaradzie.

– Doskonale – przerywa ciszę. – Po pierwsze, pod żadnym pozorem nie wolno ci się zdradzić, że tak ważna dla policji persona jak ja jest twoim gościem.

– O mnie też ani słowa – wtrąca Violet. – I bez tego wkrótce będę sławna.

– Nie przerywaj mi. To ważne.

Dziewczyna odsuwa się naburmuszona i odwraca do okna. Patrzy na mijane, rozmazane pędem krajobrazy wielkiej metropolii i nieważnych ludzi, przemykających między tytanami z betonu i stali.

– I kolejna sprawa, detektywie. Nie jedziemy do domu Pollocka.

Dentysta wybucha śmiechem, jakby zobaczył kołaczące mi w głowie pytanie.

– Tak, wiemy, jak się nazywa twój partner. Znamy jego żonę. Nawet sikałem do jego ogródka. A wiesz dlaczego?

Kręcę głową.

– Bo obserwujemy cię od dawna, bohaterze. Jeszcze zanim wyprawilem pierwszą z tych szmat do piekła.

– Dokąd? – Wszystko się we mnie kotłuje, ale nie pozwolę, żeby dostrzegł jakąkolwiek oznakę słabości.

– Hyde Park, na wielką rekonstrukcję koła Ferrisa.

Redukuję bieg, wciskam hamulec, doprowadzając do rozpaczliwej cwaniaczki, który jadąc za mną, liczył na ominięcie korków. Skręcam w pierwszą ulicę na wschód, siejąc popłoch wśród przechodzących przez pasy ludzi. Serce skacze do gardła na widok babci przed maską auta. Duszę klakson. Brak czasu na więcej. Na szczęście jakaś kobieta odciąga ją na bok.

– O mały włos – zauważa morderca. Wyraźnie czuć zawód w jego głosie.

– Mamy trochę czasu, więc z chęcią zabawię cię opowieścią o moim życiu.

Nie chcę, żebyś się zanudził, lawirując pomiędzy samochodami, a dobra historia umili nam ten kwadrans dzielący nas od celu.

Piętnaście minut? O tej porze będzie dobrze, jeśli zmieszczę się w trzydziestu.

– Kwadrans? – szepczę.

– Kwadrans! – Wskazuje dłonią zegar umieszczony na czubie wieży wystającej ponad morze budowli. – Spiesz się.

Dodaję gazu i wpadam pomiędzy szeregi niskich domów. Dwu, trzy, najwyżej czteropiętrowych, udekorowanych tandetnymi płaskorzeźbami.

– Musisz dojechać do piątej. Powiedziałbym ci wcześniej o limicie czasowym, ale tak jest przecież znacznie zabawniej.

– Oj, zabawniej. – Rudzielec rechocze.

– A jeżeli nie dam rady?

– Pożegnasz przyjaciela.

Wpadam na przeciwległy pas. Rozrzucam na boki auta, które pędzą mi na czołówkę. Rozstępują się jak moźeszowe morze przed opętańczym zawodzeniem syreny. Nagle widzę olbrzyma. Ciężarówka z otwartą naczepą wyładowaną beczkami. Tym razem ja uciekam. Wykręcam kierownicą. Mięśnie zdrowego ramienia naciągnięte są jak postronki. Gruchot wyje potępieńczo, koła piszczą. Wymijam ją, ocierając się błotnikiem. Zerkam jeszcze w lusterko. Kolos hamuje, staje w poprzek, blokując trzy pasy drogi.

– *I jak podoba ci się moja propozycja teraz?* – odzywa się stary znajomy. Jeszcze jego mi brakuje.

Słyszę huk. Parka na tylnym siedzeniu podskakuje podniecona i rzuca się do tylnej szyby. Ja używam lusterka – coś grzmotnęło w ciężarówkę, beczki wyłamały drewniane wsporniki naczepy i fruną jak wystrzelone z armaty... Spadając, wgniatają dziurę w dachu jakiegoś Europejczyka, łamią uliczną lampę, tłuką szybę w czyimś mieszkaniu.

– Szkoda – mruczy Dentysta, rozpoznając ciecz wyciekającą z rozbitych pojemników.

– *Niewielkie poświęcenie rozwiązałyby twoje problemy.*

Niechże chociaż jeden się zamknie!

Wjeżdżamy w wąskie gardło. Depczę po hamulcu tak mocno, że prawie wybijam dziurę w podłodze. Kierownica boleśnie obija żebra. Udręczone jęki policyjnej syreny rozsuwają ślamazarne samochody na boki, jednak nie dość szybko.

– Dziesięć minut. – Dentysta brodą wskazuje duży zegar umieszczony za szkłem wystawy sklepowej.

Dlaczego w tym mieście ludzie wszędzie muszą wybierać się samochodem?

– Dobrze byłoby, gdybyśmy się lepiej poznali, nim dojdzie do pojednania z twoimi przyjaciółmi, panie bohaterzku gliniarzu.

Rozglądam się desperacko, ale nic nie mogę poradzić. Nie wpadnę na chodnik, który jest zapchany ludźmi jak trybuna stadionu, na dodatek większość przechodniów przygląda mi się, jakbym jechał na czele świątecznej parady. Mam nadzieję, że zwięźnienie nie ciągnie się do Hyde Parku, bo nigdy nie zdążę.

Ależ mam ochotę zapalić.

– *Jesteś głupcem, Ezra. Każdy inny zwierz-pies-człowiek mógłby uczyć się od ciebie głupoty. Jesteś idiotą bez skazy mądrości, studnią prymitywizmu, studnią bez dna.*

– Przyjechałem z południa. Ze stryjem, którego miałeś już okazję poznać, a którego głowę śliczna Violet trzymała niedawno na kształtnych kolankach.

– *Gdybyś tylko przyjął moją propozycję... Ale nie. Ty byłeś mądrzejszy, ty sam sobie ze wszystkim poradzisz, chociaż maleńkim rozumem nie jesteś w stanie pojąć, kogo gościsz w swym wnętrzu. Trkt.*

Zamknijcie się wszyscy!

– Stryj często opowiadał, że nas zdradzili. Wykupili ziemię... Nie wiem, czy to prawda. Byłem młody i niewiele mnie to obchodziło. Najważniejsze, że w końcu przyjechaliśmy tutaj, do miasta. Miałem wtedy osiemnaście lat. Zatrudniliśmy się w fabryce, gdzie poznałem piękną dziewczynę. – Rudzielec rży z zadowolenia, Paddington nadal mnie wyzywa, a Markus ciągnie swój monolog, chociaż przez hałas wyjca na dachu oraz jazgot w głowie, ledwie go słyszę. – Długi czas byłem zanurzony w szarej masy przeciętności, podbijając karty zmianowe, żyjąc rytmem bawołu, dla którego słońce każdego dnia wstaje tak samo. Nieświadomy, że zostałem przeznaczony do większych rzeczy, a niebiosa, jak Hioba, poddają mnie próbie.

Przeciskam się pomiędzy dwoma Fordami T; na ich czarnym lakierze doskonale odznaczają się kurz i brud. Jadę tak, że biała linia dzieląca ulicę na pasy przebiega dokładnie przez środek mojej kabiny. Jeden z kierowców nie ma żadnej możliwości ucieczki, żadnego pola manewru, więc szturcham go lekko. Metal zgrzyta jak zarzynane bydło, a silnik warczy, jednak przesuwam na bok tonowy złom. Kosztem przedniego błotnika i kulistego reflektora, który wśród deszczu iskier wpada na maskę trąconego samochodu. Odbija się i trafia w szybę, zostawiając na niej pajęczynę, zakrywającą wściekłą gębę faceta z wąsikami.

Widząc wypadek, kierowcy wszystkich samochodów z większą ochotą zjeżdżają mi z drogi. Niektórzy nawet z nazbyt dużą – jak ten, który zawadza o hydrant, kąpiąc bok mojego auta w wodzie pod ciśnieniem. Niedomknięta szyba sprawia, że w ułamku sekundy każdy z nas jest mokry jak szczur. Rudzielec piszczy z zachwyty, zaś stalowożęby potwór kontynuuje swoją opowieść, jakby nic się nie wydarzyło.

Rzucam kapelusz na siedzenie, przecieram palcami włosy i ze zgrozą dostrzegam czerwone światło, które ukazuje się między pakami dwóch wysokich ciężarówek, ustępujących mi z drogi powoli jak teatralna kurtyna.

– *Jesteś trybikiem puszczonej w ruch maszyny wszelkiej kreacji, maleńkim i nieistotnym, a jednak koniecznym, żeby dzieło mogło powstać. Ty wpadłeś pomiędzy wielkie koła przeznaczenia, nieważny jak ziarnko piasku, a jednak niezbędny, ażebym mógł zwyciężyć.*

Przednią szybę mija niesiona wiatrem gazeta. Frunąc, uderza stronicami jak wielkie ptaszysko skrzydłami. Na chwilę przysiada na oknie. Puszczam kierownicę i przesuwam wajchę wycieraczki. Ta rozrywa cienki papier i znowu dobrze widzę.

Ale wolałbym nie...

Dwa strumienie kolorowych samochodów na prostopadłej drodze skrzyżowania przed nami. Dwa pełne pasy pędzących jednotonowców gotowych sprasować mojego gruchota, kiedy tylko do nich dołączymy. Złapać nas jak w imadło.

Czerwone światło błyszczy nad ustępującymi mi ciężarówkami. Jak płachta drażniąca byka. Dodaję gazu. Żałuję, że nie mogę pogłośnić syreny. Zaciskam zęby. Zamykam oczy... Ale oszukuję, podglądam.

– *Głupcze.* – Paddington syczy, klakson piszczy. – *Wypuść mnie* – rozkazuje, ale nie zamierzam go usłuchać.

Bo teraz liczy się tylko Pollock.

Wpadamy ze skrzekiem policyjnego wyjca na skrzyżowanie. Rozganiamy w metalicznym jęku cierpienia auta zmierzające nam na spotkanie. Wszystko trwa ułamek sekundy, ale dostrzegam każdy szczegół – czerwony Fiat pędzący z piskiem opon zakręca, mijając nas o włos. Jego zawieszenie protestuje. Pęka i wywraca eleganckie cacko, wyrzucając w górę kołpak.

– Zostałem poddany wielu, wielu próbom, aż w końcu anioł odnalazł mnie, ukochał i wskazał drogę – spokojnie ciągnie swoją opowieść Dentysta.

Metalowe koło zahacza o nasz dach i pogniecione jak papier upada gdzieś daleko.

– Nie poszedłem tamtego dnia do pracy. Obudziłem się rano obok mej Violet i pojąłem, że nie zamierzam wychodzić.

Jak szalony szarpnię kierownicą, widząc Taunusa, który chyba chce mnie staranować, bo pędzi wprost na prawy bok. Nie próbuje żadnych manewrów, wali jak strzała.

– Byłem śpiący, ale coś kazało mi wstać i podejść do okna. To był impuls, którego nie umiałbym zagłuszyć, choćbym próbował ze wszystkich sił.

Potęźnie grzmocę stopą w pedał gazu. Dociskam go do podłogi tak mocno, że mój but powinien wylądować na jezdni. Silnik warczy wściekle jak zwierzę, które dobry pan nagle zaczął katować. Skręcam jeszcze mocniej kierownicę i grawitacja unosi mój tyłek nad siedzenie. Dwa koła odczepiają się od szosy.

Opłaca się.

Omijam Taunusa. Prawie omijam. Zanim urywa mi tylne światło, dostrzegam twarz mężczyzny za kółkiem. Starszy pan z wywieszonym językiem, bezwładny jak marionetka, martwy ze strachu.

Wreszcie wyjeżdżam ze skrzyżowania. To odpowiednia chwila, żeby się pomodlić, ale słowa więzną mi w gardle.

– Odgarnąłem zasłonę, ażeby dostrzec na zewnątrz niezwykły widok. Oto śnieg spadał, a miał kolor krwi.

Uspokajam się odrobinę, ruch jest mniejszy i mogę swobodnie manewrować. Zegar zawieszony na metalowym ramieniu doczepionym do ściany mijanego budynku mówi, że mam jeszcze kilka minut, a Bank Hyde już majaczy na horyzoncie. Zaraz za nim, za kolejnym zakrętem, dojrzę rekonstrukcję Koła, i groźba, czy też sadystyczna gra Dentysty, straci znaczenie.

– Stałem jak urzeczony. Nie wiem, ile czasu minęło. Rzadkie, pojedyncze czerwone płaty tańczyły w powietrzu niczym baletnice, wciąż unosząc się

w górę, niesione podmuchami wiatru. Prawie nie opadały na dół. To była czarowna chwila.

Zwalniam odrobinę. Uspokajam rozdygotany samochód.

– Stopniowo pojawiało się ich więcej i więcej, aż wkrótce padały gęsto jak ślubny ryż. Cały świat widziany z okna motelu stawał się czerwony, a potem rudy, kiedy płatki śniegu rosily brudną ziemię. Rude czapy rosily w oczach, żeby wkrótce nakryć wszystko grubym kozuchem. I przyglądając się temu cudowi, zasnęłam.

Budynek Banku rośnie w oczach. Jego długie i wąskie okna, wyżarte w szarej bryle cegły, przypominają pionowe pasy na spodniach noszonych ostatnio przez makaroniarzy. Zgniłozielony dach odcina się od szarzyzny, mając pewnie dodać odrobinę radości smutnej budowli, a wywołując raczej odruch wymiotny. Kiedy na niego patrzę, nie mogę uwierzyć, że ma dopiero dziesięć lat. Wygląda na więcej.

– Ocknąłem się na podłodze obudzony jej krzykiem. Piękna twarz Violet wykrzywiona przerażeniem, włosy w nieładzie. Drgającym nerwowo palcem wskazywała na mnie, jakby moje ciało toczyła jakaś choroba. – Dentysta trajkocze niegorzej od radiowego lektora. Mógłby odczytywać historie na czwartkowej antenie, zamiast zabijać niewinne dziewczyny. – Uciekła, a ja popędziłem w ślad za nią. Byłem nagi, pewnie dlatego wzbudziłem nie lada zamieszanie na korytarzu. Już niemal wybiegłem na dwór, kiedy w odbiciu szyby wystawowej zauważyłem, jak wyglądam.

Szukam na ścianie banku małego blaszanego domku, gdzie zamknęli zegar. Za pięć piąta, odczytuję, a do wycia mojej syreny dołącza następna.

Zza rogu wyjeżdża radiowóz. Nie tajniak, jak mój, ale policyjne auto przybrane w nasze firmowe kolory. Z facetami w czarnych mundurach i kwadratowych czapkach.

Dociskam gazu i silnik znowu protestuje.

Mijam prostopadłą ulicę, a radiowóz siada mi na ogonie. Dociera do mnie, że z przyciszonego odbiornika wciąż dobiega to samo polecenie.

Eli Frick prosi, żebym się zameldował.

Nie mogę, Eli.

– Upadłem. Cała siła mnie opuściła. To było tak, jakby Bóg w jednej chwili spuścił na mnie wszystkie plagi egipskie. Chciałem wrzeszczeć, płakać... Wyglądałem jak Negr. Nie. Ja byłem Negrem.

Markus jest tak zajęty opowiadaniem swojej historii, że nadal nic nie zauważa. Powinienem zgubić radiowóz. Chociaż... może przydać mi się wsparcie.

– Porządni ludzie chcieli mnie zlinczować. Nagi Negr goniący białą kobietę... Proszę, wyobraź sobie, bohaterze, jakie święte i zasłużone oburzenie wzbudziłem. Złapał mnie jeden z waszych, jeden z niebieskich. Też heros. Sam stanął przeciw wściekłemu tłumowi i mnie wybronił. A potem zamknął w areszcie, zaś dobry sędzia po szybkiej rozprawie wysłał na tułaczkę po zakładach zamkniętych.

Skręcam w przecznicę za budynkiem banku i wreszcie widzę Koło. Właściwie rekonstrukcję Koła Ferrisa, ponieważ oryginał rozłożono i pocięto na żyłki lata temu, kiedy nikt nie przypuszczał, że znajdą się jeszcze fundusze, aby wskrzesić ten „symbol życia i śmierci”, jak o nim niegdyś pisano. A dzisiaj, ponad trzydzieści lat po wysadzeniu dynamitem resztek starego koła, rekonstrukcja porusza się w próbnym jazdach, chociaż jest jeszcze zamknięta dla gości.

– Kiedy przypominam sobie to wszystko, nie mogę nie dostrzec niebiańskiego palca sterującego moim losem. Cierpienie, zastrzyki, elektrowstrząsy i nocne odwiedziny sanitariuszy, pragnących wyżyć się na Negrze, który usiłował zgwałcić białą... Myślałem o odebraniu sobie życia. Ale nie miałem jak.

Tysiące ton żelastwa obraca się powoli, dostojnie. Poruszane cierpliwym wysiłkiem ogromnych silników. Koło karuzeli z prawie czterdziestoma wagonikami widokowymi, mogącymi pomieścić do dwóch tysięcy ludzi na raz, a ważące ponad tysiąc dwieście ton – kiedy przypominam sobie słowa

z prospektu rozsyłanego pocztą przez miasto, metaliczny gigant robi jeszcze większe wrażenie. Prawie zapominam, że gdzieś tam czeka mój partner z żoną.

Radiowóz podjeżdża za blisko, widzę wyraźnie w lusterku podniecone gęby. Młokosy. Czy to nie tamci, którym ledwie kilka dni temu pokazałem, jak prowadzić więźnia? Nie mają szczęścia, wetknęli nos w coś, co ich przerasta. Prawie siedzą mi na tyłku, błyskają światłami.

– Pewnego dnia do celi obok przynieśli anielicę. Usłyszałem, jak mówią, że jest zamknięta w swoim wewnętrznym świecie. Obserwowałem przez kratkę w drzwiach, kiedy ją prowadzili... Od razu, od pierwszej chwili, gdy jej brązowe oczy spoczęły na mnie, wiedziałem... Oto znalazłem zbawienie. Zrozumiałem, że byłem poddawany próbie.

Nagle kończą się budynki i jak kobierzec rozwija się wielki plac budowy, nad którym góruje Ferrisowe koło. Teren zamknięty, szlaban przy jedynym wjeździe opuszczony, a budka – widzę nawet stąd – jest pusta. Strażnik wybył, ani śladu po nim.

– Jedź. Staniesz pod kołem – mówi Violet.

– Przychodziła do mnie, mimo ścian. I opowiadała, rozwiewając wątpliwości, dając prawdziwą nadzieję. Powiedziała, co powinienem zrobić, żeby naprawić ten świat. Wyjaśniła, jak mogę stać się iskrą, która wznieci płomień oczyszczenia.

– Jedenastka... – Odbiornik skrzeczy, trzeszczenia połykają co któreś słowo. – ...jadą za tobą... Pomoc...

Są takie dni, że wszystko idzie źle.

Pasażerowie jednocześnie spoglądają w tył i widzą nieopierzonych gówniarzy. Kiedy zwracają się ku przedniej szybie, dostrzegam odbicia ich twarzy w lusterku i krew ścina mi się w żyłach.

– Proszę o pomoc, skarbie. – Dentysta zwraca się do dziewczyny, a ta z uśmiechem uderza twarzą w nagłówek fotela.

Raz.

Drugi.

Wali jak cholerna maszyna, a piękna buźka zamienia się w czerwonosną miazgę.

– Przestań! – warczę.

Dłoń sama wędruje do kabury. To odruch, bezmyślny odruch.

Dojeżdżam do szlabanu. Pochyłam głowę i ściskam mocno kierownicę, jednocześnie dociskając do dechy pedał gazu.

Wstrząs, aż dzwonią zęby.

Drewniana sztanga pęka w deszczu drzazg, ale zgniata maskę jak wachlarz, przysłaniając mi prawie całą szybę. Ledwie widzę mijane w pośpiechu drewniane baraki robotników i szopy narzędziowe, ciężki sprzęt, dźwigi, koparki i bęben wciąż mielący beton. Wszystkie migają jak obrazy w kalejdoskopie, kiedy podskakujemy na wertepach. Kątem oka dostrzegam zakrwawioną dziewczynę – krew ucieka nosem i zamkniętymi ustami jak nieszczelnym kranem. Markus nachyla się, odwraca w jej stronę spięte kajdankami na plecach dłonie. A ona pluje.

Zęby – pojmuje nagle.

Czasem zawieszam rozum na kołku, jak każdy. Ale nie refleks, nie odruchy, te są ze mną zawsze. Dlatego hamuję mocno, aż samochód z policjantami pakuje się nam w dupę i, mimo zaciśniętych klocków hamulcowych, jedziemy wprzód kilkanaście metrów, ryjąc stojącymi kołami w podłożu.

Broń wypada mi z dłoni. Wpada gdzieś pod nogi, kiedy uderzam twarzą w twardą kierownicę, budząc klakson do ryku. Otrząsam się niemal natychmiast. Czuję, jak nos puchnie, i nie mogę nim dłużej oddychać.

Nic to.

Wymacuję znajomy kształt na podłodze. Odwracam się w tył, a na gębie gości mi uśmiech papy obdarowującego pociechy wigilijnym prezentem. Oto wujek Ezra odstrzelił wam kupry, dzieciaczki.

Broń wypala. Kula przebija szybę, zasysając w nicość odłamki. Leci gdzieś w świat, a mój świeżo napuchnięty nos wita się z nowym bólem. Czarny wali jak młot kowalski i wypadam razem z drzwiami na zewnątrz.

Violet wybiega za mną. Tańczy na tych chudych nogach jak pijana dupodajka. Twarz rozgniecionej śliwy i potargane włosy upodabniają ją do stracha na wróble. W dłoniach trzyma dwie pary otwartych kajdanek.

– Stać! Ręce do góry! – Dwójka młodych bohaterów przystępuje do akcji przepisowo.

Nie spuszczają oka z dziewczyny, pewnie zaraz któryś zapyta mnie, czy wszystko w porządku. Ale nic nie jest w porządku. Nie mogę zebrać myśli, a cały świat wiruje. Śmieci, połamane cegły, kawałki desek oraz żelazne nity, wśród których leżę, wirują jak kule w bębnie loteryjnym. Żółć i woda podchodzą mi do gardła, ale przed wymiotami powstrzymuje mnie potworny ból klatki piersiowej. Macam, czy żebra nie są połamane. Przynajmniej próbuję wymacać, bo moje kończyny jakby należały do kogoś innego.

Głowa jednego z policjantów eksploduje deszczem różowoczerwonej tkanki, jego oczy pękają chwilę przedtem. Świat zwalnia tempo. Na ułamek sekundy wszystko wygląda jak kolejny obraz hiszpańskiego wariata... Zanim drugi gliniarz nie brudzi się tkanką mózgową kolegi. Chłopakowi chyba odbiera rozum. Trze dłońmi mundur, twarz, zrywa czapkę, próbując pozbyć się resztek partnera. Wrzeszczy, jęczy. Zapomniał o broni i ta wypada mu z rąk – nawet nie zwraca na to uwagi. Gnat mógłby nie istnieć, nic nie jest ważne, poza tym, że chciałby znowu być czysty.

Dentysta wychodzi z samochodu. Porusza się powoli, dostojnie jak król na inspekcji wojska, za to metalowe zębiska szczyrzy jak pirania. Dzieciak go nie widzi albo nie chce zobaczyć. Próbuje krzyknąć, ruszyć na ratunek... zrobić cokolwiek, ale nic nie mogę poradzić. Jestem jak sparaliżowany. W myślach wzywam Paddingtona. Proszę go o pomoc. Jestem gotów przystać na wszystkie warunki.

On jednak nie odpowiada.

A może mówi? Mówi, tylko ja go nie słyszę przez ten diabelny pisk w uszach.

Morderca unosi otwartą dłoń i chociaż leżę kilka metrów dalej, a cały świat przed moimi oczami wydaje się niekształtną siekanką, to on jest wyraźny. Wyraźnie widzę trzy zęby, które trzyma. Dwa są już poczerniałe, ale jeden, ten ostatni, wciąż pozostaje biały, choć umazany we krwi. Potężny mężczyzna mruczy coś, ledwie poruszając mięsistymi ustami, a wokół zęba formuje się półprzezroczysta kula czystej energii. Prawie niewidoczna, przypomina trochę meduzy, jakie widziałem, kiedy kąpałem się w oceanie.

– Nie – jęczę cicho niczym letni wicherek.

Lufa mojego własnego rewolweru przyłożona do czoła zamyka mi usta. Violet Red stoi nade mną, patrzy pozbawionymi litości źrenicami i kładzie palec na zakrwawionych, podobnych do tatara, wargach. Milczę więc, z ciężkim sercem obserwując egzekucję.

Markus dmucha w nowo ukształtowaną kulę, a ta frunie w stronę policjanta, który wreszcie ją zauważa. Zasłania się rękami, jednak te pękają przy zetknięciu z mroczną energią. Rozszczepiają się, rozrywając wpierw skórę, później czerwoną tkanę, pozostawiając obrane do białości kikuty. Meduza prze dalej. Wnika w klatkę piersiową mężczyzny, powtarzając tę samą operację. Widzę jego bijące serce zamknięte w klatce bladych żeber. Uderza raz, drugi, trzeci. I staje.

– Brawo, skarbie – piszczy Violet. Odrobinę trudniej ją zrozumieć bez przedniej klawiatury. – Czasem przechodzisz samego siebie – cieszy się.

Dentysta podchodzi do nas. Całuje ją w policzek. Nachyla się, łapie mnie wpół i unosi w górę równie łatwo, jakbym ważył niewiele więcej od poduszki.

– Wstań, bohaterze. Nie wolno się tak łatwo poddawać. – Puszczą mnie i pozwala oprzeć się na dziewczynie, która z uśmiechem przytyka mi broń

do brzucha. – Szkoda, że nie zdążyłem powiedzieć ci najważniejszego o anielicy z celi obok. Szkoda, naprawdę szkoda, bo chciałem, żebyś dowiedział się więcej, zanim poznasz ją osobiście.

– „Przybądź, Paddington” – wzywam go w myślach, ale Awian nie odpowiada, zupełnie jakby odszedł na zawsze i zostawił mnie samego.

Powinienem się cieszyć, ale ten jeden raz wołałbym, żeby tutaj był.

– Jest bardzo tajemnicza – opowiada Violet, prowadząc mnie przez plac budowy, pomiędzy sztabami opasanymi grubym łańcuchem a wykopem ze świeżo wylanym do środka cementem.

Maszyny wciąż mruczą pracującymi silnikami. Jedna z nich sunie powoli na kołach i wpada do dziury szuflą naprzód, po czym wywraca się na dach, miażdżąc lichą nadbudówkę. Co jest, u diabła?

– Bardzo tajemnicza – potwierdza Dentysta. – Jednak ja wiem, że to anioł, który zstąpił z nieba, żeby pokazać nam drogę. Tak jak mnie pokazała. – Kiwa głową. – Tak, tak. Bo to dzięki niej nauczyłem się korzystać z daru, który otrzymałem wraz z przekleństwem ciemnej skóry. Ona nauczyła mnie magii.

– Ta. Zjadłeś na niej zęby – syczę.

Nie mogę liczyć na pomoc demona, muszę więc radzić sobie sam. Może jeśli uda mi się go sprowokować...

– Racja, panie bohater. – Morderca ryczy ze śmiechu. Lufa spluwy drga na moim brzuchu, kiedy jego towarzyszka dołącza się i raz jeszcze tworzą radosny chórek. – Każdy potężny czar wymaga poświęcenia, powinieneś wiedzieć.

– Słuchaj, jeszcze nie jest za późno... – Próbuję coś naprędce wymyślić, ale mężczyzna kładzie dłoń na moich ustach.

Każe milczeć.

– Oto dzieło mojego anioła – mówi z estymą, kiedy wychodzimy spomiędzy hałd i nasypów wprost na podstawę gigantycznego koła, jednego z największych cudów ludzkiej inżynierii.

Nie.

Nie.

Zatrzymuję się mimowolnie, nie mogąc zrobić choćby kroku, nie umiając ruszyć żadną, najmniejszą częścią ciała. Zastygam, jakbym był z kamienia.

Moim oczom ukazuje się przerażający widok. Wśród smrodu fekaliów i zgnilizny leżą dziesiątki trupów, nad którymi chmary much unoszą się niczym sępy. Bzyczeniem doprowadzając do szaleństwa, wygrywają drobnymi skrzydłami radość z gigantycznej uczty, która stała się ich udziałem. Zwłoki leżą rzędami, jakby ludzie zostali zabici jakimś niesamowitym sposobem, wynoszącym mordowanie do skali przemysłowej.

Pchają mnie naprzód. Potworny smród wywraca mi wnętrzności, uderza do głowy jak czysty spirytus. Chwieję się, ale idę naprzód. Buty ślizgają się w krwistym błocie. Patrzę pod nogi, nie mogąc dłużej znieść tych porozrywanych ciał, ale niewiele to pomaga. Nie umiem ominąć palców leżących mi na drodze. Słyszę trzask, kiedy depczę upierścieniony kciuk twardą podeszwą.

Idziemy dalej.

Widzę leżące w błocie oczy, które nadal patrzą oskarżycielsko. Idealne galaretowate kule koloru brązowego; jestem pewien, że należały niegdyś do pięknej kobiety.

Violet chichocze jak nienormalna, kopiąc stopę uciętą równo przy kostce – wariatka zagrywa nią, jak gdyby była to pieprzona, krwista piłka. I rechocze. Zaraz wyduszę z niej ten cholerny śmiech... Ale lufa wciąż tkwi przy brzuchu, więc odzyskuję spokój. Z najwyższym trudem.

– Przy niej jestem ledwie nic nieznaczącym pyłem, któremu w swojej nieskończonej łasce nadała honor bycia uczniem. – Markus jest zachwycony.

Przechodzę przez pole i widzę dziesiątki naszyjników z zębów. Identycznych jak te, które morderca zostawiał przy ciałach swoich ofiar.

Teraz dostrzegam, że każdy zabity ma otwarte usta, a dziąsła pozbawiono zębów. I chociaż ciała są zmasakrowane przeróżnymi sposobami, to ten jeden element się nie zmienia.

– Żeby miała nastać światłość, wpierw musi być ciemność – bredzi niczym obłąkany kaznodzieja.

Muchy bzyczą koło głowy. Siadają, gdzie popadnie, łążą po twarzy, uszach i policzkach. Jedna wpada do nosa, aż się krztuszę.

– Nie ruszaj się – rozkazuje Violet, a jej mężczyzna zbiera pozostawione mu naszyjniki.

Dopiero kiedy wszystkie wiszą już na jego szyi, możemy iść dalej, pozostawiając śmierć i muchy.

Wspinamy się na schody prowadzące do wagoników dekorujących Koło Ferrisa. Nad głową sterczą nam wielotonowe, ostre jak piły tarczowe zębaki. Rekonstrukcja nit do nitu atrakcji, którą wyburzono bodajże w 1906, jest już na ukończeniu. Spojrzenie w górę może zawrócić w głowie, bo koło wysokie na dwadzieścia sześć pięter wydaje się sięgać chmur.

Gdzieś w oddali słychać syreny.

– Ezra... – Pollock chrypi, jakby nie pił od wielu, wielu dni.

Siedzi z żoną przy wejściu do wagonika. Oboje związani jak bożonarodzeniowe szynki. Ubrani elegancko, w ciuchy, na jakie nie stać rodziny przeciętnego policjanta. Modelowi ludzie, którzy nagle przestali być piękni. Ich twarze są zmęczone, poszarzałe i przerażone – wielkie oczy wetknięte w czarne koła patrzą na mnie z nadzieją... Nadzieją, której, cholera, sam nie posiadam.

– Wydostanę nas stąd – mówię jak bohater powieści za pięć centów i tak się czuję. Może i mnie wybawi zrządzenie losu, jak tych, którzy żyją na kartach książek.

– Wiem – przytakuje mój przyjaciel. – Wiem.

– „Demonie, słyszysz mnie? Pomóż mi, gnoju. Gdzie jesteś? Dlaczego się nie odzywasz? Potrzebuję cię, do cholery. Potrzebuję cię!”

– *Milcz, głupie bydlę* – odpowiada wreszcie. – *Sprawiliś, że jestem słaby, a to złe miejsce. Powinieneś dać mi...*

Klap, klap, klap. Coś stuka. Rozglądam się, próbując znaleźć żartownisia udającego widza teatralnego przedstawienia, jednak jesteśmy sami. Nasza piątka i nikogo więcej.

Klap, klap, klap.

Drzwi wagonika otwierają się ze stukiem, wypuszczają niewysoką dziewczynę. Ubrana w łachmany, na plecach nosi wycięte z tektury, pomalowane na srebrno skrzydła. Jej twarz i fragmenty ciała wystające z łachów są jedną wielką, jęczącą się raną, do której (chyba chcąc nieudolnie zatamować krwotok) ktoś poprzyklepał skrawki gazet. Papiery lepią się do czoła i policzka, ukrywają połowę twarzy, jednak czerwony kolor barwiący stronice wcale nie zachęca do zajrzenia pod spód.

– Cierpienie – mówi niskim, nieziemskim głosem dziewczę.

– Byłaś tam. – Przypominam sobie brązowe oko, którym mrugała spod sterty papierów w burdelu.

– Cierpienie równa się przyjemności. Przyjemność nie jest równa nudzie.

– *Ona jest szaleństwem.*

– „Więc wychodź, Paddy. Wyłaż i załatw ją”.

– *To nie jest takie proste.*

– Nic nie jest proste – wtrąca Odrodna Marybone.

Słyszała naszą rozmowę? Czyta w myślach?

– *Nie, tego nie potrafi. Może jedynie mnie usłyszeć.*

– Ależ to wystarczy, najdroższy bracie, który zawsze gardziłeś mną, chociaż jedynym mym grzechem było to, iż różniłam się od was, dwóch idealnych potomków Protoplasty.

Dentysta i Violet przysłuchują się rozmowie, niczego nie pojmując. Lufa rewolweru opada trochę, nie przylega tak ściśle do mojej marynarki,

jednakże wciąż mi zagraża.

– Braciszku, w ciele tego samca jesteś jak więzień. Spróbuj tylko czegoś, a moi słudzy pozbawią cię życia, zanim zdołasz rozprostować skrzydła. Jeden mój gest, a obaj pożegnacie się z życiem.

– Nie rozumiem, pani? – wtrąca Dentysta. – Kim on jest?

Kobieta kiwa palcem, każąc nam się zbliżyć. Kątem oka dostrzegam, jak Pollock szarpie się, próbując poluznić więzy. Mina partnera mówi wszystko. Sznury trzymają mocno. Jego żona nic nie mówi, nic nie robi, patrzy tylko gdzieś w dal, w miejsce niedostępne dla innych. Po jej policzkach płyną czarne łzy.

– On jest moim bratem – mówi z czułością, gładząc mnie po twarzy.

Wrzody i strupy pokrywające dłoń papierowej damy drapią jak wysuszona deska.

– Nie dotykaj mnie – cedzę przez zęby. – I chuchaj proszę w inną stronę.

Cios rzuca mną o ziemię. Słyszę w głowie kościelne dzwony, aż mózg mi pęka. Wypluwam coś, pewnie krew, ale nie tracę opanowania. Jestem dokładnie tam, gdzie chciałem.

– „Słyszysz mnie, pieprzony demonie?” – zapytuję Paddingtona, ale on nie odpowiada. A może ten niewyraźny szept należy do niego? Nie mam pewności. Zgrzytliwy głos jest zbyt cichy.

Doskonale. Chyba właśnie poznałem wasz słaby punkt.

Markus podnosi mnie za kołnierz i wrzuca do wagonika. Upadam na kolana, a później na łokcie, jakimś cudem osłaniając twarz, której dość już się dzisiaj oberwało. Słyszę, że Marybone rozkazuje parce zakochanych morderców zostać na dole i pilnować Pollocków. Słyszę jeszcze mojego przyjaciela, który płaczliwym głosem krzyczy, powtarzając moje imię trzy razy, jak w bajce.

Trzask i łomot padającego ciała ucinają tyradę. Podnoszę się na kolana, niesiony złością, ale cichy jęk przyjaciela uspokaja. Pollock wciąż żyje. A póki żyje, istnieje jeszcze nadzieja.

– *Nie jest dobrze* – głos Paddingtona wraca. Głośniejszy i wyraźniejszy, kiedy dochodzę do siebie po niedawnym ciosie. – *Unieś głowę.*

Wykonuję polecenie. Rozglądam się po wagoniku i chociaż nie jestem specjalistą, ta odrobina magii, którą podpatrzyłem u Awiana, wystarczy, żeby rozpoznać, w jak lepkie i grząskie łajno wdepnąłem.

Ściany karta ozdobione są symbolami wyrwanymi wprost z moich snów. Podobnymi do tych, które zdobiły metal-ciało mojego demona, a jednak odmiennymi, bardziej wynaturzonymi i powykręcanyymi – ich karykaturami. Na sam widok robi mi się niedobrze.

– *To jej miejsce mocy, Ezra-człowieku. Trkt. Stworzyła własne miejsce na twojej zaplutej planecie. Nie będę mógł się tu objawić, o ile Odrodna Marybone nie pozwoli.*

– Nie rozumiem.

– To mój kawałek wszechświata, człowieczku. – Dziewczyna wchodzi do środka i zatrzaskuje drzwiczki. – Tutaj ja jestem władcą. Tutaj obowiązują moje reguły.

Koło rusza. Zrekonstruowane kawałek po kawałku, sztaba po sztabie, nit po nicie, gwóźdź po gwóździu. Kopia oryginalnego, pierwszego w świecie Wielkiego Koła, stworzonego pod koniec ubiegłego wieku, rusza ponownie. Stukając, dysząc ociężale jak parowa lokomotywa, silniki poruszają tysiactonowym ciężarem i pchają nas w górę. Wagonem szarpie na początku, ale z każdą mijającą chwilą, kiedy panorama miasta zaczyna rozwijać się dalej i dalej, kołysanie traci na gwałtowności.

Podchodzę do jednego z okien. Wiatr wyje donośnie, kiedy wychylam głowę na zewnątrz. Nie wpada do środka, chociaż nie wstawiono jeszcze szyb. Kolejny cud, który złożyć trzeba na karb magii.

Pole budowy mruga światłami. Widzę radiowozy i wypadających z nich policjantów, teraz wielkości mojego kciuka. Przebiegają między wykopami, trzymając długą broń. Ciężko mi rozpoznać z tej odległości – czy to

pompki, czy karabiny Tommy. Pewność zyskam dopiero, kiedy karabiny zaczną śpiewać.

Widzę Dentystę schodzącego z podestu, stojącego pomiędzy trupami. Unosi ręce i intonuje jakąś ponurą pieśń, której nie powinienem z tej wysokości słyszeć. Ale słyszę. Jego głos wznosi się i opada, tworząc trzeszczący rezonans. Z ziemi zaczyna wypływać niezdrowa, podobna do mgły poświata. Pełza po jego nogach, plecach, owija się jak kochanka wokół klatki piersiowej, aż skrywa mężczyznę szczelnie niczym pośmiertny całun. Jej blask przyprawia o mdłości.

Morderca unosi dłonie w górę, a później klaszcze, rozpraszając światłość w jednej sekundzie.

– Chyba coś mu nie wyszło... – mruczę.

– *Zgnilizna* – warczy Paddy.

Z początku nie rozumiem, co ma na myśli, lecz nagle wszystko staje się jasne. Oto zmarli, tak straszliwie okaleczeni, zaczynają powstawać.

– Zmartwychwstają.

– *Wypluj to słowo, głupcze. Ledwie ślamazarna reanimacja, najbliższa ze sztuk.*

– Ale na twoim psie robi wrażenie – ucina Marybone.

Patrzę na nią. Nie mogę się nadziwić. Jest malutka, niepozorna, cała poraniona. Skąpana we krwi, wzbudza raczej odruch współczucia niż grozę. A jednak odpowiada za rzeź na dole i na jej usługach jest para psychopatów. Dziewczę przechadza się po wagoniku, rozsypując wokół kawałki gazet. Splata tłuste, grube włosy w warkocze i co jakiś czas spogląda na mnie swoim brązowym okiem.

– Odnalazłam cię dawno temu, Paddingtonie. Wiedziałam, że jesteś ode mnie potężniejszy, więc musiałam poczekać. Poczekać na dzień, kiedy nici Egzystencji splecą się odpowiednio i wpadniesz w me sidła.

Opętana staje w pół kroku, ale zaraz na nowo podejmuje swój marsz. W tę i z powrotem. W tę i z powrotem.

– Nie jestem tak głupia, za jaką mnie masz, Paddingtonie. Ukryłam się, zamiast wikłać w konflikt, którego mogłabym uniknąć. Tych dwoje obserwowało cię od dawna... A ja wyciągałam wnioski. Nietrudno było zrozumieć, że wybierając nosiciela, popełniłeś błąd, że nie w pełni kierujesz ciałem tego zwierzęcia, samca, mężczyzny. Znam cię. Całymi dniami szukałbyś nas, mnie i Lissona, zamiast udawać człowieka. Cóżeś uczynił, o mądry i wszechpotężny Paddingtonie. Zamiast wybrać półmartwy lub oszalały umysł jednego z tych zwierząt, ty wziąłeś zdrowego i opornego cielca.

– *Zmilcz, niegodna! Nigdy wśród Awian nie było tak plugawej istoty, jaką ty jesteś!*

– Zawsze byłam gdzieś obok. Tuż za twym zasięgiem. Czekałam, aż nadejdzie odpowiednia chwila. Zabijajcie dla mnie, powiedziałam.

Morderstwa jej planem, żeby dostać Paddingtona? Jest szalona, ale też niebezpieczna, śmiertelnie niebezpieczna.

– Wiem, o czym myślisz, Paddington. Zastanawiasz się, dlaczego jeszcze żyjesz? – Wyciąga kawał gazety z łachmanów, zwilża dokładnie śliną i nakleja sobie na czoło w miejsce, skąd chwilę wcześniej odpadł kawałek. Nagłówek artykułu krzyczy: „Hitler!”. Reszty nie sposób odczytać. – Markus i Violet dostarczyli cię aż tutaj. Nie pozwolili zrzucić wierzchniego odzienia z Ezry w czasie podróży, a teraz utkwieś w środku mojego miejsca mocy i nie możesz wyjść, choćbyś nie wiem jak bardzo próbował.

– *Wygrałaś, Marybone* – mówi tylko.

Paddington, wielka gaduła, ogranicza się do dwóch słów.

Mam kłopoty.

Na dole rozlegają się strzały. Trajkotanie karabinów i skrzek pompowanych strzelb mogą przyrównać do próby instrumentów perkusyjnych przed koncertem, w wykonaniu zbieraniny przypadkowych dziadów z ulicy. Hałas orzeźwia, daje nadzieję. Mówi: nie wszystko jeszcze skończone.

Spoglądam w dół i widzę dzielnych chłopców, utrzymujących pozycję przed hordą nacierających zombie. Stają jak żołnierze z dawnych dni, z czasów walki o wolność. Ramię w ramię. Wałą, opróżniają magazynki jeden za drugim, nie cofając się ani o krok. Ciało reanimowanych truposzy kroczą powoli, ciężko, wyciągając śmierdzące łapska jak armia potworów Frankensteina, która ledwie zeszła z kliszy filmowej. Jeden traci głowę – pęka jak przejrzały arbuz. Innemu strzał łamie nogę w kolanie. Kolejnemu wywala dziurę w klatce piersiowej, a zepsute fragmenty wnętrza brudzą następnego, krocącego z tyłu. Chłopcy walczą dzielnie, ale żaden ze złych się nie zatrzymuje.

– Powstrzymaj ich – mówię, wywołując jedynie pusty śmiech wariatki.

– Myślisz, że możesz mi rozkazywać, zwierzaczu? Psie bez duszy, ty zbitko kości, mięśni i smrodu, bez szansy rozwoju, bez możliwości ewoluowania na jakikolwiek wyższy stopień niż ten, w którym żeś zrodzony. Ty, napisany od początku do końca, bezwolny pyle, któremu przeznaczone jest nic nie znaczyć. Umrzeć i być zapomnianym. Ty pragniesz mi rozkazywać?

Podbiega do mnie w mgnieniu oka, popycha otwartą dłoń, a ja przewracam się.

Przy niej jestem słaby jak niemowlę. Grzmocę plecami o żelazną podłogę i tracę oddech. Duszę się jak wyrzucona z wody ryba. A ona się uśmiecha. Spod papierów i krwi, uśmiecha się.

– Jesteś niczym, rozumiesz? Zawrzyj cuchnącą gębę, nie odzywaj się. Nie ciebie tutaj zaprosiłam.

– *Czego chcesz?*

– Dlaczego wciąż żyjesz, o to pragniesz zapytać, bracie?

Milczy. Kiedy ja zbieram pogruchothane ciało z podłogi, on milczy, przyznając jej rację.

– W naszym świecie obowiązuje wiele praw.

– *Praw, które łamałaś, skazując się na pogardę!* – ryczy wściekle, aż bębni mi w głowie.

– Jest też prawo najważniejsze, prawo ustanowione przez pierwszego Protoplastę, stwórcę nas wszystkich. Prawo, którego nawet ja nie ośmieliłabym się naruszyć.

– *A jednak zamiast walczyć honorowo, zawlekłaś mnie tutaj, gdzie jestem bezsilny. Gdzie nie mogę ukazać swego prawdziwego bytu.*

– Kiedy czas Protoplasty dobiega końca, wystawia swoich potomków na próbę. To prawo Gry. Ten, który wyjdzie ze starcia zwycięsko, zostaje kolejnym twórcą i kształtuje świat wedle uznania. Od początku czasu jesteśmy zsyłani na obce planety i tylko jeden powraca. Stajemy naprzeciw siebie i walczymy, żeby rozstrzygnąć, kto jest najbardziej godny.

– *Znam prawo, Odrodna siostrze. Od początku mego istnienia, kiedy Protoplasta tchnął w mą skorupę iskrę życia, zawsze stałem na straży naszych przekonań, naszych praw. Trkt. Po co ta lekcja? Chcesz pokazać, jak bardzo możesz się zniżyć, żeby osiągnąć cel? Jak bardzo jesteś niegodna?*

– Głupcze! Nigdy nie wyrosłeś poza mrzonki. W swej dumie uśpiłeś rozum, stanąłeś w miejscu i zamiast przeć do przodu, widzieć następującą przemianę, stoisz po stronie tradycji.

– *Którą ty łamiesz.*

– Nie ma już Protoplasty. Protoplasta został zniszczony.

– Łżesz!

W moim wnętrzu rozpętał się sztorm. Ciska się, rozrywając ciało, sprawiając fizyczny ból. Głowa pęka. Słyszę skrzypienie mięśni, jakby coś próbowało się wydostać. Chociaż nie może.

Chociaż spętany, walczy, rwie, ciska się jak wściekły zwierz w klatce, bijąc ciałem o kraty. Jakbym umierał, tak właśnie się czuję. Jestem o krok, o uderzenie serca od śmierci i chcę, żeby nadeszła, pragnę jej jak niczego wcześniej. Żeby tylko się skończyło. Niech ból odejdzie i niech wszystko

idzie w diabły. Niech przyjaciel na dole umrze, niech ten świat umrze i niech umrze każdy człowiek, żeby tylko przestało. Niech stanie się ciemność.

I nagle ból ustaje. Paddington uspokaja się i odczuwam rozkosz. Rozkosz płynącą z braku cierpienia.

– Brat Lisson zniszczył go, chcąc zająć miejsce na tronie – mówi Marybone, a mój demon słucha i nie protestuje więcej. – Po tym, jak zostałeś zesłany na tę cuchnącą planetę, po tym, jak ja przygotowałam się do drogi i zamierzałam pójść w twe ślady, przyszedł do mnie. Obróciłem Protoplastę w niwecz, oznajmił butnie. Żadnych gier, żadnych głupich praw, od dzisiaj stworzę rzeczywistość od nowa.

– *Nie dopuściłby się takiej zbrodni. Nie Lisson.*

– On nie stał w miejscu jak ty. Przez wieczność planował, myślał, jak ulepszyć dzieło stworzenia, a kiedy nadszedł czas Gry, postanowił działać. Wiedział, że ty nigdy na to nie przystaniesz, więc poczekał, aż opuścisz nasz świat, pragnąc uniknąć konfrontacji, która wstrząsnęłaby naszym domem. Mnie dał wybór. Mogłam do niego dołączyć albo zginąć.

– *Nie wierzę.*

– Znał mnie, jak ty znasz. Wiedział, że łamię prawa Stwórcy. Że bawię się życiem podrzędnych istot i za nic mam wiele z przykazań. Wiedział, że do niego dołączę.

– *A jednak jesteś tutaj? Jeśli twoja historia zawierała choć ziarno prawdy, jakim cudem jesteśmy tutaj razem?*

– Kiedy zasiadł na tronie, próbując połączyć się z Księgą Egzystencji, zrozumiał, że popełnił błąd. Oto Gra zaczęła się toczyć i chociaż jej reguły zostały złamane, nie mógł zjednoczyć się z Księgą. Nie, dopóki konkurenci żyli.

– *Więc uciekłaś? Bałaś się sama stawić mu czoła? Chcesz połączyć siły i powrócić?* – Mój bies drwi.

– Powrócić? Tego nie potrafię. – Wzdycha. – Z biegiem czasu może odnajdziemy sposób, a do tej pory pozostaniemy razem na tej planecie. We dwoje stanowimy wystarczającą siłę, żeby nie mógł nas pokonać.

– *Brat jest honorowy. Twoja opowieść nie ma sensu...* – Paddington zaczyna...

– Jeżeli myślisz, że zrobisz sobie plac zabaw z mojego miasta, to grubo się mylisz, kreaturo – a ja kończę.

Dziewczyna uśmiecha się niewyraźnie. Polepione gazety przesuwają się na półeczku i odpadają w łamliwych, stwardniałych strzępkach. Podchodzi do jednego z okien i patrzy w dół, zapewne w stronę dwójki swoich szalonych uczniów.

– Jesteś niewielkim problemem, człowieku. Myślisz, że coś znaczysz? Ja nie jestem Paddingtonem. Nie jestem zamknięta w twoich flakach. Ja kontroluję w pełni mojego nosiciela. Mogę użyć swej mocy, złamać cię jak gałązkę, wyczyścić umysł, dając bratu wolność. Czyż to nie byłaby wspaniała nagroda? Paddingtonie, daj słowo, że do mnie przystaniesz, a nigdy więcej nie będziesz musiał układać się z tym zwierzęciem.

Nie poruszam się. Czekam na zgodę Paddingtona jak na wyrok. Ale on milczy.

– Wahasz się? Przecież go nienawidzisz – dziwi się. – Dam ci w prezencie coś, co docenisz. Cierpienie Ezry.

Demonica wychyla się za okno. Mówi. Szepcze. Nie słyszę jej głosu, ale jestem pewien, że ci, do których kieruje swoje słowa, rozumieją.

Wstaję powoli. Idę. Krok za krokiem. Mam nadzieję, że Paddington jej nie ostrzeże, że jest ze mną w tej rozgrywce.

Wciąż odwrócona, spogląda w dół.

Biegnę. Krok za krokiem.

Stukot na metalowej podłodze – tak głośny, że nie wierzę, aby nie dosłyszała.

Wszystko trwa chwilę, ale ta rozciąga się w wieczność.

Wyciągam rękę. Prawie łapię tę pieprzoną kurduplicę...

Bum. Rozlega się wystrzał. Diabelnie wyraźny na tle kakofonii karabinów w oddali.

Blisko. Na dole. I to moja broń.

Pollock... Tracę pęd, nogi plączą się nagle jak u pijaka. Ona się odwraca. Szybko i bezgłośnie, zbyt prędko, żebym zdołał umknąć. Łapie mnie za szyję i unosi w górę, jakbym nic nie ważył. Majtam nogami w powietrzu.

– Głupcze – syczy zmijowato.

Złamię nam kark? Czy da jeszcze szansę bratu?

Nagle majaczy mi w głowie pomysł. Koncentruję się jak nigdy wcześniej. Wypycham całość mojej magicznej rezerwy. W wagoniku mój Awian jest bezsilny, ale kto obroni ją przed sztuczką?

Kilka płomyków wybucha przy niej. Część znika natychmiast. Trzy łapią zeschnięte gazety i rosną, liżąc jej ciało gorącym. Nie powinna ubierać się w podpałkę.

Działa instynkt – wypuszcza mnie niemal natychmiast. Nie mam wiele czasu. Ułamki sekund. Wiem jednak, że będąc w ciele człowieka, a nie w swojej prawdziwej formie, posiada ograniczenia. Sięgam do kieszeni, szukając czegoś, co wzmocni siłę ciosu. Macam zapalniczkę ojca. Ściskam ją w garści i walę potworzycę z całej siły w ten polepiony papierami ryj.

Cofa się o krok. Opiera o balustradę.

Pamiętam wszystkie razy, kiedy dostałem w głowę. Pamiętam dzwonięcie w uszach. Pamiętam, że oszołomiony nie mogłem usłyszeć głosu Paddingtona, a nawet więcej, nie czułem jego obecności. Jakbym nagle pozostał sam.

Ciebie też nie usłyszy, suko!

Tłukę jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze. Aż czuję gruchotanie palców, aż zapalniczka topi się we krwi. Mojej krwi. Biję dalej. Wreszcie

dostrzegam, że nie tłukey już potwora, ale jakąś biedną, zapłakaną dziewczynkę.

Waham się, ale to wystarcza. Dziewczynka gdzieś znika. Marybone łapie mnie za ubranie. Uderzam ostatni raz. Nisko, poniżej brzucha. I pcham z całej siły. Unoszę ją i wypycham na zewnątrz wagonika, ale potworzyca nadal mnie trzyma, nie chce puścić. Jej brązowe oko jest pełne łez, patrzy współczująco... Może wybacza?

Powolnie, przez chwilę trwającą wieki, wysuwamy się na zewnątrz. Tracę oparcie, zelówki piszczą na podłodze. Ona trzyma mocno, więc ze wszystkich sił dociskam ją do ściany. Słyszę protest kręgosłupa, kiedy przygnieciona moim ciężarem grzmoci o balustradę. Odrodna zgięta jak scyzoryk przechyla się nad przepaścią.

Dalej trzyma...

– Paddington!

...i oboje wypadamy z wagonu.

Powietrze furkocze wokoło, wciskając się do uszu, rwąc moje ubranie jak harem rozpalonych dziwek. Cała okolica wiruje jak wkręcona w młyn. Na dole, rosnące w mgnieniu oka zakrwawione ciało pani Pollock, i mój przyjaciel, siedzący bez ruchu niczym rzeźba. Rewolwer dymi, a strzały dochodzące z oddali rozciągają się w nieskończoność, trwając o wiele dłużej, niż to możliwe. Świat zwalnia.

Ona wczepia we mnie palce, ostre, szponiaste. Płonące gazety odrywają się od jej ciała; gasnąc jak płomyki świec w przeciągu, ukazują wykrzywioną nienawiścią mordę. Poryte niezagojonymi ranami oblicze wrze, a poruszane ciągiem powietrza policzki drgają febrycznie. Przyciska się bliżej i wtedy jej oczy zmieniają kolor. W jednej chwili brązowe, w drugiej ze złota.

– Paddington!

Wciskam nogę pomiędzy nasze skotłowane ciała i odpycham kobietę. Opadam szybciej, ona jest nade mną, ale przynajmniej za daleko, żeby

mogła sięgnąć pazurami.

– Paddington!

Odrodna rośnie. W ułamku sekundy pęcznieje niczym paskudna purchawka. Resztki gazet fruną na boki, wielkie guzy wyrastają na skórze i wybuchają jak balony.

Puf.

Z jej pleców wystrzeliwiają metaliczne pałaki, wąskie, przypominające oszczepy albo odnóża olbrzymiego owada. Macha nimi jak skrzydłami pieprzonego wiatraka. Trafia i moja lewa dłoń odczepia się od przegubu, odplywa gdzieś w dal, upstrzona purpurowym płynem, wygląda, jakby machała na pożegnanie. Nie ma bólu, raczej zaskoczenie. Zaskoczenie i zrozumienie. Zrozumienie, że jestem jedno uderzenie serca od grzmotnięcia o podest i zakończenia tej farsy, którą nazywałem życiem. Skończy się cały ten syf i wreszcie będę miał spokój. Nie chcę już go wołać. To było tylko ostatnie życzenie topielca, ostatnia głupia nadzieja na ratunek, zupełnie pozbawiona sensu. Bo co dobrego mnie tutaj czeka?

Niech to się wreszcie skończy.

Ale Awian ma odmienne zdanie. Czuję, jak się budzi. Jak wściekły tajfun wypełnia mnie, wypychając wszystkie organy, naciągając mięśnie. Przełamując kolejną granicę bólu. Krzyczałbym, oj, jakbym krzyczał, gdyby usta należały jeszcze do mnie. Już nie należą. On przerzuca Ezrę na tylne siedzenie, na siedzenie pasażera.

W górze eksplodują krew i flaki, ostre kawałki kości ranią moją skórę jak miniaturowe pociski. Z wnętrza wychodzi czysty jak łaza potwór rodem z koszmarów.

Mój potwór też jest blisko. Czuję jak skóra na plecach zaczyna pękać... Jednak jest za późno.

Uderzam w podest, przebijam się przez każdy z poziomów, rozerwanymi plecami wyłamuję kolejne deski. Trach, trach, trach, aż wreszcie huk. Huk, który rwie bębni.

W górze miedziana Marybone łapie metaliczny wysięgnik i wyhamowuje upadek w deszczu iskier. Zatrzymuje się, wczepiona kończynami w Koło Ferrisa. Jest podobna do olbrzymiego pająka z karykaturalnie przerośniętą głową pełną ostrych zębów. Wtedy do mnie dociera. Ostatnia, nieważna myśl umierającego człowieka.

– „Ona nie ma skrzydeł”.

– *Nie poddawaj się. Wracaj, nędzniku-tchórze.* – Teraz się odzywa. – *Zwierzę-bydlę. Nadal. Wciąż możesz żyć!*

Niezły z niego żartowniś. Jak się nazywał?

Trykster?

Wielki Oszust?

Zabawne, że drwi ze mnie nawet teraz, kiedy obaj przechodzimy do historii.

– *Złożyłem ci propozycję. Nie jest za późno.*

O czym on mówi?

– *Oddaj mi oko.*

Kazał mi zjeść własne oko, pamiętam. Zabawne. Boki zrywać.

– *Oddaj mi je, niechaj będzie to twój dar.*

Jak przez mgłę widzę Odrodną Marybone opuszczającą się na dół na błyszczącej nici.

– *Wolę umrzeć, niż zostać twoją kukłą. Wolę umrzeć, niż dać ci ten prezent. Dość cię nienawidzę, żeby umrzeć.*

– *Nie. Nasz układ od pierwszego dnia był odmienny. Jesteśmy razem, czy tego chcemy, czy nie. Daję ci słowo, a wiesz, że nigdy go nie złamię.*

Czy nie lepiej, żeby to był koniec? Czy nie lepiej, żebym zamknął oczy i odszedł?

– *Decyduj się. Sprawilem, że czas płynie dla ciebie inaczej niż dla reszty ludzkiego świata, ale od śmierci dzieli nas okres nie dłuższy od tego, co nazywacie sekundą. Oddaj mi je i żyj.*

Śmierć. Niczego po niej dla nas nie ma?

– *Decyduj!*

– „Zgadzam się!”

Wolę myśleć, że to poświęcenie dla przyjaciela mną kieruje, a nie strach...

Paddington za moim przyzwoleniem uruchamia mój ognisty talent i rozpala niewielką iskrę. Widzę, jak opada. Rozbłyska nad źrenicą. Zabiera mi oko. Wypala je.

Cuchnące więzienie tkanki pęka jak przecięta zasłona, ustępując złotym niciom najczystszej magii, budulca tworzącego światy. Paskudna skorupa znika, słabość ustępuje...

Potworny ból rozrywa skórę. Robi się cholernie jasno.

...Na jej miejsce przychodzi siła, moja własna potęga, której nie równa się nikt we wszechświecie. Precz ścierwo, odejź precz. Niechaj pokażę temu niegodnemu światu prawdziwą siłę. Odejź, głupi człowieku, ustąp miejsca komuś większemu niż ty kiedykolwiek...

Jest brutalniejszy niż wcześniej. Kiedy wyłazi, wyrastając z piersi i głowy, modlę się, modlę, chociaż nie wiem, do kogo. Modlę się o morfinę.

...będziesz. Daj mi rozewrzeć skrzydła, niech zapłoną me spojone mocą tatuaże, kąpiąc tę plugawą planetę w boskich kolorach. Niechże skończy się moje więzienie, niech kraty cuchnących flaków znikną, rozplyną się w parze i niech zostaną tylko ja. Moje niezniszczalne ciało ukształtowane wolą Protoplasty, mój czysty, pozbawiony skazy umysł, niech nie pozostanie nic więcej!

Jak bezimienną dziewczynę jego siostra, tak i mnie Paddington rozrywa na strzępy.

Wolny! Znowu wolny! Wstaję, prostuję się, rozrywając nieudolną budowlę wzniesioną przez niższe istoty. Prostuję skrzydła, a rzędy desek eksplodują i fruną w górę już jako wióry. Rozkazuję resztkom śmierdzącego człowieka zniknąć z mej metalicznej powłoki, a one słuchają – spływają, usuwając swą wulgarność. Wzlatuję bez pomocy skrzydeł, korzystając

z samej energii, odpycham się od ziemi. Wychodzę ze zrujnowanych podestów i staję oko w oko z mą przekłętą siostrą.

Koniec kłamstw i ona to rozumie. Nie marnuje sił na próbę przekonania mnie do intrygi, którą uknuła. Wie, że jestem niezłomny.

Skacze z miedzianej nici. Dziesiątka odnóży skierowana szponami na mą twarz. Z plugawego otworu gębowego kapie kwas, a zielone tatuaże mocy zdobiące jej skórę błyszczą pełną mocą.

Pokaż więc, na co cię stać, Odrodna siostrzo. Nie będę uciekał.

Uderza, ale zasłaniam się skrzydłami. Iskry i płomienie tryskają, kiedy jej odnóża próbują zniszczyć moją barierę. Czuję każde z uderzeń. Czerpię głębiej... Nasze moce płoną. Niebieskie i czerwone barwy Wielkiego Paddingtona i kwaśna zieleń Marybone. Czerpię głębiej... Dodaję kolejne drobiny z nieskończonych pól krążącej we mnie energii i odbijam ją, jakby była niczym. I jest. Przy mej potędze wszystko jest niczym.

Rozpłaszcza się jak wielki owad na topornym kole zbudowanym przez ludzkie zwierzęta, wyłamując je z dźwigarów i puszczając w ruch. Jednak zanim uwolniony z zatrasku olbrzym zaczyna się toczyć, ona znowu jest przy mnie.

Powolny świat wokół nie nadąza.

Frunę naprzeciw siostrze. Metaliczne formy naszych bytów zderzają się w powietrzu, aż ziemia drży w dole. Góry usypanego przez ludzi piasku podskakują.

Uderza wszystkimi z dziesięciu odnóży, jednak blokuję każdy z ciosów.

Odrodna Marybone, Protoplasta, tworząc cię, wiedział, że nigdy nie będziesz godna fruwać wśród chmur, dlatego nadał ci ciało robaka. On wiedział.

Igły porastające moją głowę stają dęba. Lśnią czystą kwasosyną. Kieruję je w stronę siostry i rozkazuję zabijać. Rozlega się wizg. Marybone wywija pokraczynym ciałem, unikając większości z nich; kilka jednak trafia, dziurawiąc pancerz prawie bez oporu.

Jedna para ostrych odnóży odczepia się od tułowia, ale wściekłość i ból dodają jej sił. Chwyta mnie, zaplata w kokonie pozostałych ośmiu kończyn, miażdżąc me członki i skrzydła w śmiertelnym uścisku. Spadamy pomiędzy baraki i ożywieńców. Wzbijamy tumany kurzu. Kotłujemy się szczepieni w boju, rozbijając, cokolwiek stanie nam na drodze, aż wreszcie lądujemy poza placem budowy, wprost pod turlającym się młyńskim kołem.

Odrodna Marybone nie dostrzega kolosa gniotącego szosę. Całą moc skupia, żeby utrzymać mnie w ryzach. Jestem silniejszy, mam dużą rezerwę i wyprzedzam ją o krok, pracując na kilku polach jednocześnie. Tatuaze skrzą, rozbijając obronę termiczną siostry. Czuję, że jej wierzchni pancerz mięknie, topi się, a później zaczyna spływać po moim srebrnym ciele. Jednocześnie modyfikuję własny kształt, uruchamiając kolejne strumienie w kończynach. Tworzę nowe równanie, dodając sobie sił. Trzaski przekształcanych trybów nakładają się jeden na drugi.

Otwiera gębę, ukazując rzędy pił taśmowych, nachyla się ku mnie, przekłeta! Napinam się i szarpię, pomagając sobie skrzydłami. Moja szyja wyciąga się, a później wysuwa, dobudowując wciąż nowe segmenty. Uciekam ostrzom, a nowe mięśnie mych ramion już działają. Wyrrywam odnóża pajęczycy. Odrzucam je. Nikną w powietrzu zamienione w obłoki pary, pozbawione życiodajnej siły awiańskiego ciała.

– PRECZ! – krzyczę i czysta moc uderza z mych ust, odrzucając plugastwo siostry. Jej okaleczone ciało przewraca się i sunie betonem, krzesząc snop iskier.

Próbuje powstać. Macha tymi połamanymi odnóżami, które jej jeszcze pozostały, ale ja nie zamierzam czekać, nie zamierzam dawać żadnych szans. Wskazuję na pędzące koło i na Odrodną Marybone. Sięgam ku potrzebnym równaniom i wytwarzam pomiędzy nimi połączenie, potężny elektromagnetyczny łuk, który łapie moją przeciwniczkę w pułapkę. Koło przyspiesza, wyrzucając spod siebie kawały gruzu. Ona próbuje ostatniego desperackiego zaklęcia, ale rozpraszam je leniwym gestem. I tytan wpada

na nią. Przygniata i wbija w szosę. Huk trzęsie okolicznymi budynkami w posadach, stojące i uciekające w oddali ludzkie automobile ryczą, jakby chciały pożegnać Odrodną siostrę ostatnim śpiewem.

– Pollock – rozlega się cichy głos.

Zwierzę-Ezra? Czyżby zawarty pakt zbliżył nas zanadto?

– Uratuj Pollocka – powtarza raz za razem, ale nie zamierzam go słuchać.

Człowiek jest jednak uparty. Trajkocze w tym śmiesznym języku, drażniąc, rozpraszaając mą koncentrację. Cóż może on, bydlę-robak, uczynić lepszemu od siebie?

– Uratuj Pollocka.

Błyszczące mocą tatuaże zaczynają gasnąć jeden po drugim i wiem już, że nie mogę go całkowicie zignorować. Myśl, że staliśmy się sobie zbyt bliscy, że takie coś przestało być dla mnie jedynie służką, przeraża.

Ciesz się, póki możesz, bo kiedy ukończę Grę i będę mógł powrócić do swojego świata, z pewnością poświęcę chwilę, żeby rozerwać cię na strzępy. Kiedy już poczujesz się bezpieczny, kiedy poczujesz się wolny...

– Uratuj Pollocka – mówi, a ja się zgadzam.

Uderzenie skrzydeł wyrzuca nas w górę. Plac budowy jest teraz ruiną nakrytą obłokiem kurzu i pyłu, przez którą nie sposób przebić się wzrokiem. Dlatego też zmieniam swoje oczy, żeby odbierały fale energii właściwe każdej kreacji, bo wszystko we wszechświecie pochodzi od Księgi Egzystencji. Plac budowy eksploduje barwami i bez trudu znajduję kobietę zwaną Violet Red i mężczyznę-Pollocka.

Pikuję w dół, przebijając chmury jak ostrze. Rozwieram skrzydła, wyhamowuję, rozpraszaając kurz. Ląduję na zniszczonym podeście. Violet Red zaskakuje mnie szybkością reakcji – strzela z ludzkiej broni, jednak bez trudu odginam tor lotu pocisku i zaraz potem rozbrajam ją. Jej prymitywna broń frunie do mojej dłoni. Nim zwierzę-Red rozumie, co się stało, krótkim rozkazem zmieniam równowagę lokalnych ciśnień, wywołując podmuch

powietrza, który wyrzuca ją w dal, pomiędzy kłęby kurzu. Podchodzę do Pollocka, dotykam jego więzów i pozwalam im się postarzyć o setki lat, aż odpadają kompletnie bezużyteczne.

Mężczyzna nie reaguje, zresztą nie dziwię się. Widząc moją potęgę, najrozsądniej udawać głupca.

– Jest nieprzytomny. Co z jego żoną? – odzywa się uciążliwy Ezra.

Jest martwa. Czyżbyś nawet takiej oczywistości nie umiał pojąć?

– „Nie możesz jej uratować? Nie możesz ożywić albo... Sam nie wiem”.

Bawi mnie jego głupota.

– Czy ty potrafiłbyś ożywić kamień?

Celuję z broni Ezry w ukryty pod obłokiem kurzu plac, pomiędzy reanimowane trupy i kilku żyjących jeszcze, którzy przybyli nam na pomoc. Znajduję mordercę, którego detektyw szukał tak zapamiętane, a lufa ustawia się w tym kierunku. Kilkoma słowami zabraniam kuli chybić. Bęben przekręca się, kurek uderza i przeklęty nabój przecina dym, a później uderza w pierś mężczyzny nazywanego Markusem-Dentystą.

Kiedy on pada na kolana i wypluwa śmierdzącą posokę nosem oraz ustami, ja nurkuję już pomiędzy gruzy Koła Ferrisa. Odrzucam blachy i znajduję zniszczony pancierz siostry. Rozrywam wewnętrzną zbroję i wyciągam jej Istotę. Ta forma przypomina krzyżówkę ludzkiego niemowlęcia i owada. Więc tak wyglądasz naprawdę...

Twa ohyda nie znała granic.

Setka zielonych i brązowych oczu mruga, a maleńkie jak czubek mego palca usta otwierają się, żeby przemówić.

– Nie jest za późno... Daruj życie... Razem powrócimy... Może... Kiedyś... Do domu...

– Święte prawo naszego współzawodnictwa mówi jasno, że powrócić może tylko ten, który pokona pozostałych i sam pozostanie na placu boju.

– Jesteś naiwny... Brat Lisson...

– Dość twej szarady. Poczekam na Lissona, a kiedy przybędzie, zabiję i jego.

– Głupcze, on nigdy nie przyjdzie.

Unoszę ją w górę, jakże bezbronną, z łatwością mieszczącą się w dłoni. Marybone próbuje rozewrzeć moje pokryte iglastym pancerzem palce. Przykro mi, siostrze. Źle mi z tym, że giniesz na tej planecie na końcu wszechświata, obrzydliwej i prymitywnej. Żal mi, że zrodzona z tego samego rdzenia, kończysz w ten sposób. Z ustami opaskudzonymi kłamstwem, szkalując naszą dynastię i brata, za którego ręczę sobą samym.

Czemuż nie mogłaś być jak my dwaj? Poddać się Grze, jak rozkazał nasz Stwórca i pozwolić, żeby jej wynik zdecydował o tym, kto połączy się z Księgą Stworzenia i zasiądzie na tronie. Tak bardzo chciałbym, żeby twoje ostatnie chwile wypełnione były chwałą godną najwyższego rodu Awian. Choć nigdy nie miałaś szans w walce ze mną i z Lissonem, mogłaś odejść w sposób, który kolejne pokolenie wspominałoby z dumą. Wybrałaś inaczej.

– Czas to zakończyć – Odrodna Marybone nie zasłużyła na więcej. – Czas umrzeć.

– Wysłuchaj mnie chociaż raz! Zostaniesz uwięziony w miejscu, którego nienawidzisz! Lisson nigdy do ciebie nie zejdzie! Nigdy! Wymyśli sposób, żeby cię zniszczyć i połączyć się z Księgą, ale nigdy nie zaryzykuje pojedynku!

– Twoja logika ma pewną wadę, siostrze – oznajmiam chłodno. – Gra się toczy. Ja w niej uczestniczę. A dopóki toczy się Gra, dopóty nie ma nowego Protoplasty i żaden uzurpator nie zdoła zjednoczyć się z Księgą.

Moja siostra milczy. Zaprzestała prób oswobodzenia się, leży bez ruchu, mrugając tylko setką szmaragdowych oczu. Myślę, że wreszcie pogodziła się ze swym losem.

– Czas odejść...

Marybone wykrzywia usta w grymasie parodiującym uśmiech. Przemyka niektóre ze swych oczu. Czuję, jak pozostałe tatuaże na moim ciele gasną,

dając do zrozumienia, że niewiele energii pozostało i wkrótce będę musiał powrócić do więzienia ciała, do wnętrza śmierdzącego człowieka.

– Pożegnaj się ze światem, Marybone.

– Obaj jesteście głupcami! Obaj! On znajdzie sposób... – Zaciskam pięść. Jej głos milknie na zawsze. W końcu spokojna, moja droga siostrzyczka.

Na pożegnanie tworzę termiczną sferę, zamykam w niej pozostałości tej ostatniej z form Odrodnej siostry i dezintegruję je. Później niszcę pozostałości jej zbroi, żeby nie dostały się w brudne, zwierzęce szpony... I raz jeszcze spoglądam na gruzy. Odniosłem zwycięstwo, ale jedyne, co odczuwam, to pustka.

Zaczynam tracić prędkość. Świat wokół zaczyna mnie doganiać. Ludzie poruszają się prawie równie szybko jak ja. Upadam na kolano, gaśnie ostatni tatuaż i wiem, że moja moc jest wyczerpana.

Czeka mnie odpoczynek.

ROZDZIAŁ VIII – Końce i początki

Zginęło czterdzieści osób. Trzydziestu robotników na placu Ferrisa, których pozamieniano w żywe trupy, ośmiu mundurowych w strzelaninie i dwóch cywilów. Kilkanaście osób rannych i zniszczenia idące w grube miliony.

Koło Ferrisa zniszczone, tak jak i budynki, o których ściany zawadziło podczas swojej krótkiej wędrówki.

Czterdzieści trupów, wdowy i bliscy pogrążeni w żałobie, ogromne zniszczenia, milionowe straty, tragedia, która wstrząsnęła nie tylko miastem, ale i całym krajem. I jeden bohater.

Minął miesiąc i media, wszy dziennikarskie, politycy-sprzedajne suki oraz każdy, kto nie ma lepszego tematu, wciąż nawijają o tamtych wydarzeniach. Wciąż nie mogę się nadziwić, na ile sposobów można memlać o tym samym. Polityczni macherzy biją się w piersi, obiecują dokładniejsze pilnowanie zarejestrowanych ofiar Dnia Rudego Śniegu, bardziej radykalni proponują okresowe badania, a ci ze skrajnym świrem jakby od niechcienia rzucają pomysły stworzenia zamkniętych obozów. Zaczęła się też kontrola księgarń ezoterycznych i cenzurowanie co bardziej niebezpiecznych dzieł. Jeżeli o mnie chodzi, powinni to zrobić dawno temu. Dzisiaj, lata po tamym Dniu, każdy świr, który miał ochotę magicznie wypruć flaki sąsiadowi, dawno kupił odpowiednią lekturę.

Zapominają, że to nie jest takie proste. A może pamiętają, tylko o tym nie mówią, bo są przecież dziennikarzami, są politykami i żyją z tego, ile razy obrócą w mediach jadaczką. Zapominają, że niewielu jest czarowników, bo ogromna większość obdarowanych posiada jeszcze bardziej żalosne umiejętności niż ja. Markus Berkowitz był prawdziwie wyjątkowy – pewnie dlatego Marybone go wybrała.

Są jeszcze religijni fanatycy, następni, którzy doprowadzają mnie do szału. Zbyt wiele było doniesień o skrzydlatym człowieku, poruszającym się pośród ruin Koła Ferrisa, żeby mogli to zignorować. Przecież nic nie robią, tylko czekają w tych swoich jamach i dziurach, żeby obwieścić kolejny koniec świata, zgarniając kilka dolców przy okazji. Niech zielone osłodzą nam ostatnie dni, amen.

Uspokaja mnie dopiero „Tribune” dzisiejszego ranka. A raczej fakt, że artykuł pod wstrząsającym tytułem „Czy magia może być bronią masowego zniszczenia?” umieszczono na piątej stronie. Nie na pierwszej, nie na drugiej, nie na ostatniej... No dobra, to byłoby niemożliwe, bo z tyłu zawsze jest sport. W każdym razie pierwszy raz jedna z najważniejszych gazet w mieście zdecydowała się na umieszczenie artykułu nawiązującego do Tragedii Ferrisa na jednej ze stron, których nikt nie czyta. Czyli idzie ku lepszemu.

I przynajmniej kolejna moja fotografia nie szpeci łamów dobrej gazety.

Czterdzieści ofiar i jeden bohater. Musiał być przecież bohater, żeby ludziom żyło się lepiej. No i znaleźli go. Znaleźli nieprzytomnego detektywa z rewolwerem o dymiącej lufie nakierowanej na zwłoki zbrodniczego Dentysty. W świeżych ubraniach odtworzonych przez Awiana. Znaleźli mnie. Paddington potrafi zadbać o swoje interesy.

Byli świadkowie, naturalnie. Zazwyczaj oprócz twardych dowodów potrzeba choćby jednego, wiarygodnego świadka, żeby przygwoździć sprawę, żeby być pewnym wyroku. W tym wypadku im ich więcej widzów, tym lepiej – to nie była przecież zwykła sprawa, tylko wybitnie cholernie prestiżowa.

Dwóch gliniarzy potwierdziło wersję, podszeptaną mi przez demona. Nie widzieli może wiele, jednak wystarczająco dużo. Opowiedzieli o dramatycznej obronie przed nieumarłymi. O tym, jak ostrzeliwali ich martwe korpusy setkami kul z Thomsona, a ci dalej parli naprzód. Bronili się z partnerem z za wykopu i sprawy wyglądały kiepsko, kiedy koło Ferrisa

uwolniło się z zaczepów, rozpoczynając szaleńczy pęd ulicą. Wywołany tym kurz nakrył ich niedługo potem. Podobno zaczęli się wtedy modlić. Żywe trupy, magiczne błyski – pewnie niejeden w takiej chwili nabrałby na to ochoty.

Przestali strzelać. Nie wiedzieli, że tylko oni dwaj pozostali przy życiu, a widoczność ograniczała się do jakiegoś metra. Z powodu pyłu oddychali z trudem. Nie mieli gdzie uciekać. Broń nie robiła wrażenia na przeciwniku, pozostało więc czekać na nieuniknione i modlić się, żeby było w miarę bezbolesne, kiedy już nadejdzie.

Wtedy huknęło Koło Ferrisa i nastąpiła cisza. Zamarli. Świat jakby zastygł w miejscu, z nimi tkwiącymi pośrodku. I żaden nie zauważył trupa, który widać cichszy od reszty, podszedł mundurowych i stanął na wykopie, gotów powyciągać im bebechy. Powiedzieli, że wtedy usłyszeli strzał. Jeden wystrzał pośród całkowitej ciszy, charakterystyczny karzący odgłos krzyczącego Colta M1917. I koszmar się skończył. Potwór zwiotczał i upadł, grzebiąc ich pod swoimi, tym razem na pewno martwymi, zwłokami.

Kiedy kurz się rozwiął, poza martwymi kolegami i robotnikami, znaleźli i mnie. Zaczęli klepać po pysku i pytać, czy żyję... Ktoś powinien się zająć szkoleniem nowych rekrutów. W każdym razie sami, widząc Ezrę trzymającego dymiącego Colta, dopowiedzieli większość historii, z którą stanąłem przed komisją.

Znowu miałem „szczęście”.

Co do mnie... Moja opowieść, w pewien pokrętny sposób niewiele mijala się z prawdą. Część tylko z tej prawdy najprawdziwszej postanowiłem przemilczeć.

Powiedziałem, że dostałem anonimową informację i jak każdy dobry ogar zacząłem węszyć, póki trop był gorący. Niestety nie zdążyłem zawiadomić nikogo ani poinformować nikogo o moich odkryciach, bo para psychopatów porwała mnie i zawiozła na plac budowy. Tam Markus

Berkowitz, jego konkubina Violet Red i jakaś dziewczyna, której nikt mi nie przedstawił szykowali miasto piekło. A ja i małżeństwo Pollocków mieliśmy zostać świadkami orgii zniszczenia, zanim i nas nie załatwią. Powiedziałem, że mieliśmy zostać ukarani przykładowo, bo przecież to my dwaj ścigaliśmy Dentystę przez ostatnie tygodnie.

Kupili to bez większych wątpliwości.

Co do tego, jak się uwolniłem, tu również niewiele pozostawiłem dla wyobraźni. Wypadłem z wózka razem z zamaskowaną dziewczyną. Cudem przeżyłem, czego o niej nie można powiedzieć. Niestety jej ciało zaginęło w wielotonowym gruzowisku i niewielkim pożarze, który mój prywatny demon wywołał chyba na wszelki wypadek. Panna Red zabiła żonę Pollocka, ale udało mi się ją obezwładnić i zastrzelić jej konkubenta. Ot, cała historyjka.

Niezbyt korzystnie wyglądał fakt, że pani Pollock zginęła z mojej broni, jednak ślady prochu i krwi na ubraniu nieprzytomnej dziennikarki, potwierdziły, że ona za to odpowiada. Obecnie, po spiesznym procesie, Red przebywa w Cook County Jail i uparcie odmawia zeznań. Chyba tylko przez to nie umieścili jej w kaftanie, w zakładzie z gumowymi ścianami. Zbyttno się nią nie przejmuję – papla czy nie, i tak nikt jej nie uwierzy.

Mnę gazetę.

Pollock milczy. Milczał przez cały czas, kiedy pakowali nas na nosze, nie odpowiadał na pytania lekarzy ani policjantów. Wpatrywał się w ciało żony. Patrzył na jej potworną ranę, jakby bał się spojrzeć w martwe oczy. Obskoczyli go, obrzucili pytaniami, ale nie powiedział ani słowa.

Kiedy wyszedłem ze szpitala, próbowałem go odnaleźć. Z początku bezskutecznie, aż wreszcie dowiedziałem się, że jest w zakładzie zamkniętym na terapii. Podobno poszedł na własne życzenie. Ja nie wiem, bo lekarz nie pozwolił mi go zobaczyć.

Pamiętam, jak na mnie spojrział, kiedy na jedną jedyną chwilę oderwał wzrok od jej ciała. Ja na jednych noszach, on na drugich. Pamiętam...

Rzucam gazetę na siedzenie obok i rozglądam się po okolicy, jakbym był tu po raz pierwszy. Kwadratowe domki na przedmieściach, jeden podobny do drugiego. Tego słonecznego dnia są wyjątkowo pięknie. Wsiadam i oddycham czystym powietrzem, czystszy niż to, którym oddycham na co dzień u siebie.

Od tamtych wydarzeń minął miesiąc, dopiero dziesięć dni temu wypisali mnie ze szpitala. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, za dwa tygodnie wrócę do pracy. Na te kilka miesięcy, których brakuje mi do emerytury.

Przecinam ulicę. Nie rozglądam się na boki, czy coś jedzie. Tutaj jest tak spokojnie, prawie jak na cmentarzu. Czasem widać spacerowiczów albo grupę dzieciaków biegnących za piłką. To jakby małe, bardzo małe miasteczko pod bramami dużego. Zbyt spokojne, żeby w nim żyć, ale miłe, jeśli je odwiedzać.

Wchodzę na chodnik, a później na podjazd wyglądający jak szara rzeka z betonu, płynąca przez trawnik. Przeklinam bolącą nogę i wspomagając się laską, pokonuję trzy niewielkie schodki. Dzwonię do drzwi.

Nawet nie pamiętam, kiedy złamałem nogę. To musiało być przy upadku. Na szczęście goi się nieźle i łapiduch daje sobie rękę uciąć, że za trzy tygodnie będę biegał.

Daje sobie rękę uciąć... Zabawne. Podpieram się na lasce prawą dłońią, a lewą, tę samą, którą straciłem pod ciosem Marybone, duszę jeszcze raz dzwonek.

Słyszę po drugiej stronie ciche kroki i uśmiecham się na myśl, że znowu ją zobaczę. Chociaż dzisiaj nie chcę myśleć o dłoni, którą jakimś sposobem odzyskałem i w której całkowicie brak mi czucia. Która nie do końca należy już do mnie. I o moim nowym lewym oku, którym widzę lepiej, niż widziałem tym prawdziwym.

Nie chcę o tym myśleć. Nie chcę sobie przypominać tamtego dnia, nie dzisiaj. Bo dzisiaj będę się cieszył i będę szczęśliwy.

Drzwi się otwierają i staje w nich Olga.

Rany, chyba pięknieje z każdym dniem.

Rzuca mi się w objęcia, całuje miękko w policzek, zostawiając na nim wilgotną plamę. Łapie za lewą dłoń i ciągnie do środka. Szkoda, że nie czuję tego dotyku.

Wchodzimy do przedpokoju. Zdejmuję płaszcz i buty, a później pozwalam się prowadzić do kuchni, gdzie czeka już przygotowany obiad. Mijamy jeszcze duży pokój – słyszę odbiornik radiowy grzmiący tenorem lektora, czytającego jakąś głośną powieść.

– Cześć – rzucam do siedzącego przy partii szachów poważnego młodzieńca.

Blondynek poprawia okulary, patrzy na mnie i odpowiada:

– Cześć, Ezra.

To miły chłopiec, nad wyraz dorosły jak na swój wiek.

– Alek już jadł – wyjaśnia Olga. – Obmyśla właśnie jakieś posunięcie w tej swojej grze, więc lepiej mu nie przeszkadzajmy. Za pół godziny masz być gotowy! – krzyczy do syna.

– Tak, mam. Będę.

Kuchnia jest schludna i praktyczna. Tanie, ale dobrze utrzymane szafki porozstawiane pod ścianami, wkomponowany w nie duży zlew i stół z kraciastym obrusem pośrodku. Na nim misa z zielonymi jabłkami, którą dziewczyna odstawia na bok, zachęcając mnie, żebym usiadł. W pomieszczeniu roznosi się rozkoszny zapach.

– Tęskniłam – mówi, odwrócona plecami, nachylona nad garem.

– Ja podobnie – zapewniam, sięgając po paczkę fajek.

Słyszając kliknięcie zapalniczki, Olga otwiera okno i za chwilę stawia mi przed nosem lśniąca popielniczkę z rżniętego szkła.

– Wolałabym, żebyś nie palił przed jedzeniem. To źle wpływa na smak.

Uśmiecham się. Jest prawie jak żona.

Wspomnienia same kierują się ku rodzinie, którą niegdyś miałem, ale odpycham je, bo dzisiaj zamierzam odpocząć i nie chcę pamiętać

o wszystkich rzeczach, których mi brakuje. Chcę cieszyć się tym, co mam. Tym, że wreszcie mogę mieć nadzieję. Bo dlaczego nie, skoro Paddington zabił pierwszego konkurenta do tronu i pozostał mu tylko ten Lisson. Może to wszystko wkrótce się skończy?

Co prawda demon groził, że kiedy nasz układ dobiegnie końca, on z radością rozerwie mnie na strzępy, ale... Kiedyś powiedział też, że po zakończeniu Gry odejdzie i wróci na należne mu miejsce, więc nie sądzę, aby miał czas i ochotę zajmować się wtedy kimś tak mało ważnym jak ja. Przynajmniej na to liczę, a w mojej sytuacji, kiedy brak mi jakiegokolwiek alternatywy, tylko to pozostaje.

Zresztą czasem myślę, że taki koniec nie byłby najgorszy. Przynajmniej nie musiałbym wysłuchiwać jego zgrzytliwych narzekań. Ale póki to nie nastąpi, zamierzam korzystać z życia i doprowadzić jak najwięcej rzeczy do porządku.

– Proszę. – Dziewczyna kładzie na stole talerz z aromatycznym gulaszem. Chwytam łyżkę i zaczynam pałaszować posiłek ze smakiem.

Oddałem mu oko, jak żądał, i pomogłem pokonać Odrodną Marybone, za co Awian poszedł na pewne ustępstwa, choć niechętnie. Stwierdził, że nie zamierza być dłużnikiem takiego ścierwa, więc pozwala mi na więcej. Mogę teraz zjeść, jeśli ma dobry humor. Pozwala też wypić, ale pamiętając o problemach z alkoholem, jakie miałem wiele lat i o jego rozmowie z Odrodną, w której stwierdzili, że łatwiej panować im nad słabymi umysłami, staram się nie korzystać z tego przywileju.

– Smakuje?

– Bardzo dobre, jesteś wyśmienitą kucharką. – Uśmiecham się z nad gulaszu, a ona przysiada na stole, napinając niebezpiecznie spódnicę na krągłym udzie.

– No nie oblizuj się tak. – Wybuchają śmiechem. – I pospiesz się z jedzeniem, musimy jeszcze pójść do kościoła.

Jest wierząca, a mi to nie przeszkadza. Człowiek potrzebuje oparcia, żeby pchać się przez życie.

Znalazła mnie w szpitalu po tygodniu. Zobaczyła koszarne zdjęcie na szpaltach jakiegoś szmatławca, napisy krzyczące, że uratowałem miasto od niewątpliwej apokalipsy, i skojarzyła, że gazetowy bohater to ten sam facet, który kupował u niej lizaki. Przyjechała, powiedziała, że jest moją dziewczyną i jakimś cudem udało jej się dostać do sali. Przyniosła cały kosz słodczy.

Okazało się, że szef jej nie zwolnił i dalej pracuje w sklepie z cukierkami. Później odwiedzała mnie każdego dnia, a od kiedy zostałem wypisany, kontynuujemy tę znajomość bardziej zażyłe. Odwiedzam ją co dwa dni, polubiłem malca. Niech to, jest prawie tak jak...

Nabieram ostatnią łyżkę, kiedy do kuchni wchodzi Alek. Ubrany jest w elegancki, czarny garnitur, w którym wygląda, jakby wybierał się na pogrzeb. Ciuch pasuje do wypisanej na twarzy powagi.

– Już czas – oznajmia grobowym głosem, aż mam ochotę parsknąć śmiechem.

Miesiąc temu nie umiałbym sobie tego nawet wyobrazić. Ja parskam śmiechem?

Olga podbiega do chłopca, poprawia mu krawat, co oczywiście spotyka się z pomrukiem niezadowolenia. Patrząc na nachyloną kobietę, nie mogę się doczekać dnia, kiedy wreszcie zaciągnę ją do łóżka.

Odkładam talerz do zlewu, wycieram usta chustką i idziemy do przedpokoju. Kiedy się ubieram, Alek obserwuję moją Fedorę z niekłamanym podziwem, więc zapewniam go, że kiedyś kupię mu podobną.

Idziemy przez osiedle poskładane z identycznych, parterowych klocków. Co jakiś czas mijają nas ludzie, a większość z nich przygląda mi się z ciekawością. Nie mogę się doczekać, kiedy rozgłos przycichnie i przestanę być rozpoznawany przez każdego szmondaka w stanie.

– Opowiesz mi jak rozwaliłeś Dentystę, Ezra. – Alek przypomina sobie o tym w najmniej odpowiednim momencie.

– Rozwaliłeś? Kto cię nauczył tego słowa? – Matka patrzy na niego ze złością.

– Tak mówią w radiu.

– Radio, ciągle to radio. I te kryminalne słuchowiska. Posługują się tam rynsztokowym językiem bez żadnej kontroli – grzmi urażona.

– Ta. – Wolę nie angażować się w tę dyskusję.

Na szczęście jesteśmy już pod kościołem, przed tyradą ocaliła nas niebiańska interwencja.

Przed drzwiami budynku jakaś zahukana okularnica prosi mnie o autograf, więc wpisuję się w jej notatniku i wreszcie możemy wejść. To niewielki przybytek, tak jak niewielka jest wspólnota parafian w tej okolicy. Bardzo prosty, pozbawiony wyszukanych ozdób, bez najmniejszych oznak bogactwa. Odmienny od kościołów, do których uczęszczałem w dzieciństwie.

Zajmujemy jedną z tylnych ławek, chociaż młodzieniec ciągnął do przodu. Wolę unikać niepotrzebnego zainteresowania po mszy, więc staram się pozostać niezauważony.

– Wracasz do pracy?

– Za kilkanaście dni. Chcę jeszcze popracować przed emeryturą.

– Nie jesteś za młody? – Olga przygląda się, a później odgarnia z mojego czoła jakiś niewidoczny kosmyk włosów.

– Policjantowi odpoczynek przysługuje szybciej. Jesteśmy wrakami o wiele wcześniej niż inni. Należy nam się.

– Jesteś jeszcze całkiem młody. – Miłe kłamstwo. – No i mam nadzieję, że nie jesteś takim wrakiem.

Delikatny kuksaniec w bok i już dzielam jej nadzieję.

– Pół roku i zdaję odznakę. Otworzę praktykę detektywistyczną. Już to kiedyś robiłem, kiedy miałem... Kiedy miałem przerwę w pracy. – Olga nie

pyta, i dobrze. Ta kobieta zawsze wie, co powinna powiedzieć, zawsze wie, kiedy zmilczeć. – Wtedy nie był to dochodowy interes, ale dzisiaj jestem rozpoznawalny, więc nie sądzę, żebym miał problemy z brakiem klientów.

– Będą walić drzwiami i oknami. Pewnie wiele kobiet wynajmie cię do śledzenia niewiernych mężów. Pięknych kobiet. – Podszczypuje mnie w bok.

Wzruszam ramionami. Mimo wielu zalet czasem mam jej dość.

Dzwon grzmi i wchodzi ksiądz. Alek wyjaśnia mi, że dzisiaj nie będzie proboszcza, ponieważ w zeszłym tygodniu poważnie zachorował i najprawdopodobniej dobry Bóg zawezwie go do siebie. Starzec odmówił wyjazdu do szpitala i dogorywa w budynku przykościelnym.

Wszyscy wstają, odmawiają modlitwę. Mały podsuwa mi otwartą książkę i mechanicznie odczytuje widniejące na wskazanej stronie słowa.

Chór śpiewa. Kołyszę się w rytm melodii.

Olga szarpie mnie za rękaw. Podążam za jej wzrokiem na ambonę – ksiądz prowadzący wycofuje się, spoglądając na staruszkę w pidżamie wchodzącego na absydę. Ministranci są równie poruszeni, jeden nawet klęka i pośpiesznie kreśli znak krzyża.

– Co się dzieje? – pytam.

– To proboszcz.

– Ten chory?

– Był sparaliżowany. To cud!

Jakaś rozemocjonowana parafianka krzyczy głośno „Alleluja”. A może śpiewa? Szum podniesionych szeptów niesie się przez nawę jak podmuch wiatru, a ludzie nie mogą ustać w miejscach. Tymczasem proboszcz staje przed mównicą. W porównaniu z księdzem prowadzącym mszę jest maleńki, obły, łatwiej takiego przeskoczyć niż obejść. Obfity wianek siwych włosów okalający błyszczącą łysinę drga przy każdym ruchu.

Coś jest nie w porządku.

Lewe oko, to, które straciłem i zyskałem na nowo, zaczyna boleć. Jakby ktoś wbijał gwóźdź w oczodół – mam ochotę je wyrwać z czaszki, żeby przestało. Paddington nie odzywa się, zresztą ostatnimi czasy milczy, jak gdyby stracił ochotę na dręczenie mnie. Tym razem nie potrzebuję jednak jego rady. Wiem, co robić. Starczy, że zamknę oko, które należy tylko do mnie i spojrzę na starego klechę tym drugim, nieprawdziwym.

Natychmiast widzę obłędnie wyraźnie.

– Bracia i siostry! – zaczyna podnieconym głosem proboszcz. – Dzisiaj zostałem dotknięty boskim palcem i moja choroba ustąpiła. Rany trapiące duszę zasklepiły się i znów mogę chodzić po świecie jak każdy z was.

– Alleluja – wyrywa się jeszcze raz kobiecie.

Olga przyciska się do mnie bliżej, Alek również. Zupełnie jakby tylko ta dwójka z wszystkich zebranych pojmowała, że w tym cudzie nie ma nic cudownego.

– Dzisiaj zstąpił na ziemię anioł i namaścił mnie, żebym stał się jego sługą na ziemi.

Cudownie. A miał to być taki piękny dzień.

Proboszcz rozpościera ramiona. Lewym okiem demona widzę kręgi magii formujące się pod jego stopami i korpulentny mężczyzna wzlatuje na trzy stopy w górę. Tumult narasta. Niektórzy żegnają się. Wygląda na to, że wielu mu wierzy, ale znakomita większość nie wie, co myśleć. Nie takich cudów nam dzisiaj potrzeba. Będziesz się musiał bardziej postarać, Lisson.

– Wychodzimy – mówię do mojej dwójki, a oni kiwają głowami.

– *Popęłniłem błąd* – Słyszę nieznośny terkot w głowie.

– „O czym ty mówisz?”

– *Ona nie kłamała. To nie Lisson przybył. To jest ktoś inny. Lisson nie przyjdzie.*

Niech to wszyscy diabli.

Oficyna wydawnicza RW2010

proponuje:

Antologia „Kryminalna 13” to jedyny w swoim rodzaju projekt, firmujący pierwszy konkurs literacki organizowany przez Oficynę wydawniczą RW2010. Znaleźliśmy 13 specjalistów od zbrodni, 13 sprawdzonych fachowców od literackiej mokrej roboty i umieściliśmy ich zabójczo świetne opowiadania w jednym zbiorze. Zarazem poprosiliśmy szanowne autorskie grono, aby wzięło udział w pracach profesjonalnego, kompetentnego i niezależnego jury.

Medialny patronat nad konkursem objęła redakcja „Świtu ebooków” oraz serwis literacki „Książka zamiast kwiatka”, platforma „Maszyna do pisania”, serwis „E-fantastyka”, „Kawiarenka kryminalna”, Portal Rynku Wydawniczego „Wydawca”.

Zapraszam do lektury naszej antologii. Prezentujemy wysmakowany zestaw opowiadań kryminalnych i sensacyjnych, podlanych tajemnicą, doprawionych szczyptą fantastyki, zbiór tekstów na wskroś współczesnych oraz sięgających w przeszłość, a nawet dotyczących wydarzeń i postaci historycznych. Przed Wami ponad 250 stron, 13 autorów i jeden motyw...

Maciej Żytowiecki: Szuje, mątwy i straceńcy

Od kryminału po urban fantasy. Od science-fiction po dramat. Jedenaście fantastycznych tekstów i jeden autor.

Latająca wyspa plemienia Wilg i Polska okresu PRL-u. Mroczne zaułki Chicago i obca planeta zamieszкана przez nadistoty. Nieodległa przyszłość i czasy barbarzyńców. Poznań i tajemnicza Asylea, gdzie osiadł pewien upiór.

Trzymajcie się mocno.

Jedenaście opowiadań. Dziesięciu bohaterów. A wszyscy to szuje, mątwy albo straceńcy.

Tomasz Mróz: Fabryka wtórow

Wielki ponury budynek w centrum miasta, ginący w szarej kotłownianinie chmur. Nikt w okolicy nie wie, co się tam mieści, i nikt tego wiedzieć nie chce. Ci, którzy dostali się do wnętrza dziwnej budowli, znikają, by po jakimś czasie powrócić – ale zupełnie odmienieni. Strażnik Instytutu przegania wścibskich natrętów, lecz jeśli już ktoś pozna

tajemnicę, nie ma drogi odwrotu. Co się wydarzyło setki lat temu na dalekiej Syberii? Kim jest człowiek w czarnej pelerynie biegnący do tramwaju? Czy można przekazać swe życie komuś innemu?

Wedrzyj się do „Fabryki wtórów”, poznaj jej sekrety. Lecz pamiętaj, kto przekroczy progi Fabryki, już nigdy nie będzie taki jak wcześniej.

„Fabryka wtórów” to powieść kryminalna z elementami thrillera i science-fiction, tradycyjnie dla serii z Komisarzem Wątrobą, okraszona dużą dawką humoru i kpiny. Komisarz swoim zwyczajem nie daje za wygraną, dopóki nie dotrze do istoty problemu.

Tomasz Mróz: Przejście A8

Kryminał nie z tego świata. Mamy tu: tajemnicze zabójstwa, kuszenie, cyrografy, złote sztabki, walkę dobra ze złem, satyrę i pełne ironii obserwacje rzeczywistości..

Przejście A8 to kryminał paranormalny, w którym miesza Nowak. Znowu spotykamy komisarza Wątrobę (w roli kuszonego), posterunkowego Chwiejczaka (niezłomnego) i nieśmiertelną ławeczkową trójcę (Pająk, Marian i Stalowy), która postanawia iść... do pracy. Cud boży? Raczej szatańskie sztuczki.

Co zrobić, kiedy w twoim życiu pojawi się Nowak? Jak uchronić się przed jego knowaniami, bandą arabskich górników oraz fanatyzmem Bolka z działu marketingu? Jakie zalety ma mały mózg w dużej głowie? W „Przejściu A8” zostały połączone rzeczy straszne i śmieszne, płytkie i głębokie oraz wysokie i niskie. Wynik jest zaskakująco pozytywny oraz pozytywnie zaskakujący.

Katarzyna Uznańska: Ziemią wypełnisz jej usta

Królewskie miasto nie zasypia nigdy, ale dopiero po zmroku budzą się jego upiory. Łowca, skryty w cieniu starych kamienic, poluje na samotne kobiety, by podzielić się ich ciałami z rzeką. Ta noc będzie dla niego wyzwaniem – z prześladowcy stanie się ofiarą. Utarty schemat życia Łowcy rozpadnie się w pył, gdy mężczyźni przyjdzie zmagać się z podobną mu, choć o wiele potężniejszą istotą – estrią. Stare legendy czasem ożywają, by zawładnąć ludzką wyobraźnią. Na żydowskim Kazimierzu czają się one tuż pod powierzchnią życia, wystarczy tylko zeszkrobać nieco tynku z zaniedbanych ścian, poruszyć luźną cegłę, wejść do małego antykwarium pełnego rupieci, by znaleźć się w innej epoce i czasie minionym. Ina – polska szlachcianka – egzystuje od wieków pod postacią żydowskiego demona; czuje jednak, że jej czas dobiega końca. Wybrała Łowcę na powiernika swojej historii, a może kogoś znacznie więcej...

Radosław Lewandowski: YGGDRASIL. STRUNY CZASU

Struny czasu opisują zmagania kilkudziesięcioosobowej średniowiecznej społeczności, przeniesionej przypadkowo i bezpowrotnie w okres paleolitu środkowego, w czasy gdy po ośnieżonych równinach dzisiejszej Europy wędrowały olbrzymie stada reniferów, dzikich koni i ciągnących w ślad za nimi drapieżników. Potężne mamuty nie miały godnych siebie przeciwników, z wyjątkiem mrozu i prymitywnych słabo uzbrojonych łowców, którzy równie często występowali w roli myśliwego co ofiary.

Wraz z mieszkańcami wioski, w przeszłość zostaje przeniesiony niewielki oddział Wikingów, najemników, których Thor wystawił na najcięższą próbę w drodze do Walhalli. Temporalni podróżnicy, a wraz z nimi cała ludzkość, stają w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa.

Kontynuacja serii w powieści *Yggdrasil. Exodus*.

Joanna Łukowska: Pierwsza z rodu: Znajda

To opowieść o skrzatach i ludziach, radzących sobie w świecie bez słońca. Estera pisze pamiętnik, licząc, że ktoś go przeczyta; o ile po latach mroku ktoś jeszcze będzie umiał czytać. Rosa, młody przywódca skrzatów z Boru, rozmyśla o nieciekawej sytuacji swych pobratymców. Wielebna Maura czyni wyrzuty pozbawionej uczuć Pustej z powodu zagubienia Obiektu. Jakim sposobem dzieciak wymknął się z sieci? A jakim cudem ociemniały świat wciąż trwa? Czyżby dało się oszukać los? Czy ziarnkiem piasku, zgrzytającym w żarnach przeznaczenia, może być dziwna zielonooka dziewczynka? Milczy i uśmiecha się szczerbato, odważnie patrząc w mroczną twarz Boru. Skrzatów też się nie boi, choć nie należą one do codzienności ludzkich szczeniąt. Kim jest to dziecko?

„Znajda” to opowieść o wyborach, wolnej woli, różnych obliczach miłości, o tym, że Droga jest ważniejsza od Celu. Bo choć przeszłość jest jedna, niezmienna, ścieżek prowadzących do przyszłości może być wiele...

Agnieszka Hałas: DWIE KARTY cykl Teatr węży, tom 1

Wszystkie anioły umarły, a bogowie odeszli. Magia dzieli się na srebrną i czarną; ta druga jest skażona, wyklęta. Po ziemi grasują demony, czyhające na dusze śmiertelników.

W Shan Vaola nad Zatoką Snów pojawia się obłąkany człowiek, który twarz ma pociętą ranami, a ze swej przeszłości pamięta jedynie urywki. Walcząc o byt w światku żebraków i przestępców, stopniowo buduje sobie nową tożsamość. Jego perypetie splatają się z losami całej gamy postaci – bezdomnego chłopca imieniem Znajda, alchemika, na którym ciąży paskudna klątwa, szczurołapa, którego córkę uwiódł i porzucił pewien nicpoń, arystokratki, której brat zginął zabity przez srebrnych magów... A w tle toczy się intryga uknuta przez Otchłań.

Mroczne, lecz bez epatowania makabrą, pełne plastycznych szczegółów obyczajowych, *Dwie karty* otwierają cykl powieściowy o świecie Zmroczy, na który składają się jeszcze powieści: *Pośród cienie* oraz *W mocy wichru*.

Dariusz Kankowski: Płacz przodków

Król spotyka dziewczynę z rasy niewolników, którą natychmiast pragnie pojąć za żonę, by spłodzić z nią dziedzica. Ale to nie bajka, tylko początek horroru. Akcja toczy się w odległych, ponurych czasach, gdzie opowieści rzadko kiedy kończą się szczęśliwie. Ciężeni Gi toczą beznadziejną walkę o wyzwolenie spod władzy swoich okrutnych panów, K'Anu, i ich bezlitosnego władcy, który z chwilą narodzin stał się panem całego znanego świata. Darem, który Neill otrzymał od Wszechrodziców, jest władza nad wszelkimi żywymi stworzeniami. Nikt nie może się mu sprzeciwić. A jednak Liść, prosta dziewczyna z ludu, to zrobiła. Czyżby utracił moc?

To historia walki o wolność i własną duszę, mroczna fantazy opowiadająca o odkrywaniu prawdy o bogach, przeznaczeniu i ludzkich uczuciach. Czy miłość jest silniejsza od przyjaźni, a pożądanie od lojalności? Czym uciszyć płacz przodków, wciąż rozbrzmiewający w głowie?

Marek Hemrling: Pillon i Synowie

Reguły gry zostały ustalone dawno temu przez założyciela firmy – Dominika Pillona. Testament określał je bardzo precyzyjnie. Pillon i synowie. Jego synowie. Niektórzy już odeszli, niektórzy jeszcze się nie urodzili, czekając spokojnie na swoją szansę w bezpiecznych objęciach niskich temperatur. Filip jest po prostu jednym z nich – młodszym Pilonem, Pilonem w fazie szkolenia. Wychowany przez zastępczą matkę, pod czujną, choć dyskretną opieką starszych braci, nie ma jeszcze pojęcia, jaka go czeka przyszłość. Wszystko w swoim czasie.

Jego biologiczni rodzice nie żyją od ponad wieku. Założona przez ojca firma wciąż ma niezłe notowania. Życie bez zbędnej filozofii toczy się normalnym rytmem. Bracia trzymają rękę na pulsie. Dbają o własny interes, realizując przy okazji testament Dominika Pillona.

Tymczasem „Łagodny Olbrzym” wciąż drzemał ukryty w cieniu „Dominium”...